POEZYE

DLA

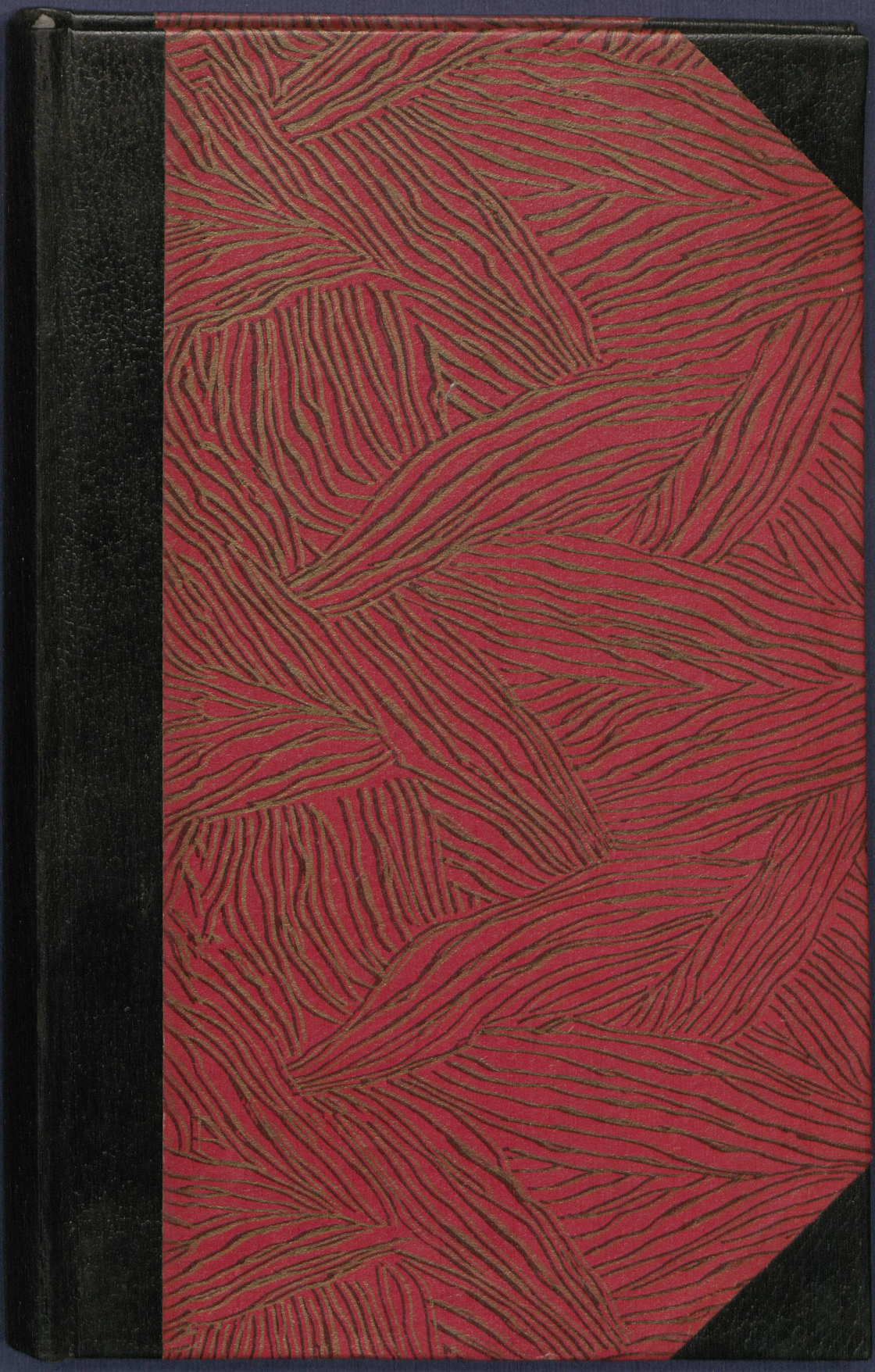
MŁODSZEGO WIEKU

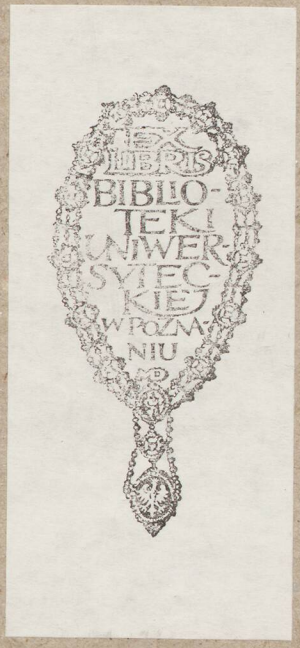
Z ROZMAITYCH PISARZY ZEBRANE

PRZEZ

Profesora Jana Rymarkiewicza,
Doktora Filozofii, Inspektora przy Gimnazyum Św. Maryi Magdaleny w Poznaniu.

POZNAŃ.
NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.
1860.




EX LIBRIS
BIBLIO-
TEKI
UNIWER-
SYTEC-
KIEJ
W POZ-
NIU

POEZYE

DLA

MŁODSZEGO WIEKU

Z ROZMAITYCH PISARZY ZEBRANE

PRZEZ

Profesora Jana Rymarkiewicza,
Doktora Filozofii, Inspektora przy Gimnazyum Św. Maryi Magdaleny w Poznaniu.

POZNAŃ.
NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.
1860.

1411386444

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA POZNAŃ

Poznań, czcionkami M. Zoerna.

Bibl. UAM
87 164

A.

Poezya dydaktyczna

i

liryczna.

a) Bajki czyli Apologi i Allegorye.

Dzieci i żaby.

(Z bajek Krasickiego.)

Koło jeziora,
Z wieczora,
Chłopcy w koło biegali,
I na żaby czuwali;
Skoro która wypływała,
Kamieniem w łeb dostawała.

Jedna z nich śmielszéj natury,
Wystawiwszy łeb do góry,
Rzekła: chłopcy! przestańcie, bo się źle bawicie;
Dla was to jest igraszką, nam idzie o życie.

Ptaszki w klatce.

Czegoż płaczesz? staremu mówił czyżyk młody,
Masz teraz lepsze w klatce, niż w polu wygody! —
Tyś w niéj zrodzon, rzekł stary, przeto ci wybaczę;
Jam był wolny, dziś w klatce, i dla tego płaczę.

Dziecię i ojciec.

Bił ojciec rózgą dziecię, że się nie uczyło:
Gdy odszedł, dziecię rózgę ze złości spaliło.
Wkrótce znowu Jaś krnąbrny na plagi zarobił,
Ojciec rózgi nie znalazł, i kijem go obił.

Pszczółka i gołąbek.

Wpadła w strumyk pszczółka mała,
Skrzydełkami trzepotała,
Już w nich siłę utraciła,
O w jakimże strachu była!
Gołąbeczek śnieżno-pióry,
Na ratunek bliźnich skory,
Spuszcza listek.... pszczółka rada,
Na zieloną łódkę siada,
Skrzydła siłę odzyskały,
I uleciał owad mały.

Nikt o swém nieszczęściu nie wie:
Jakoś wkrótce gołąbek siadł sobie na drzewie,
Spokojny! szczęśliwy!
Aż tu myśliwy
Wymierza strzelbę, chce go zgładzić z świata;
Pszczółka przylata,
Utnie go żądłem w rękę, strzał ptaszynę mija;
Ocalona swobodnie w powietrze się wzbija.
Tak zawsze dobroczynność wdzięcznością się płaci,
Nieśmy pomoc w nieszczęściu dla naszych współbraci.

Skała i kropla.

(St. Jachowicza.)

„Jakież zamiary zuchwałe!
„Ty, miękka kroplo wody, chcesz wydrążyć skałę?“
Rzekła twarda opoka i dumnie spojrzała
Na kroplę, co spadała.
Kropla nic nie odpowiada,
Ale jak pada, tak pada,
I stałością dokazała,
Że wydrążyła się skała.

Kruk żebraczek.

Patrzcie-no: żebraczek!
W téj czarnéj sukmanie,
Głodny nieboraczek,
Gdy zima nastanie.
Dzieci! dzieci! dla przykładu
Dajcie mu téż co z obiadu! —
Tu ucieszone dziecinki
Dalej zbierać odrobinki:
Ochoczo się ubiegały,
By krukowi jeść podały,
Co pod oknem jak żebraczek,
Głodny chodził nieboraczek.
Dobroczynny człowiek, tkliwy,
Nie pyta, kto nieszczęśliwy,
Komu może,
To pomoże;
Boś tak kazał dobry Boże.

Kruk i lis.

Kruk na drzewie siedząc sobie,
Kawał séra trzymał w dziobie.

Lis zapachem przynęcony,
Zrobił nizkie trzy ukłony,

I do niego rzekł niechcący:
„Jakżeś panie zajmujący!
Wysiliła się natura;
Jaka postać, jakie pióra!
Jeśli tylko choć o włosek
Masz piękniejszy od piór głosek,
Wtedy ręczę ci honorem,
Że jak bór ten stoi borem,
Z twą postacią i oczyma,
Piękniejszego ptaka nie ma!“
Kruk nie myśląc, że to zdrada,
Z radości się nie posiada;
Chce zachwycić lisa śpiewem,
Siedzącego tuż pod drzewem,
I szeroki dziób roztwiera,
Wtém wypada kawał séra.
Lis tymczasem za sér chwyta,
„Mości panie! z nami kwita!“
Rzecze wtedy lis do kruka:
„To dla ciebie jest nauka;
Chociaż droga, ale szczera,
Warta przecież kawał séra.“

Wróble.

(Antoni Górecki.)

Siedząc w stadzie wróble szare,
Wiodły uczoną rozmowę,
W każdém stworzeniu znalazły przywarę.
Dudek, mówiły, ma czubatą głowę;
Kraska mniema, że nadobna;
Wilga, doprawdy do drozda podobna;
Gołąb, to niby skromny, a wysoko leci;
Kukawka drugim narzuca swe dzieci;
Gil tam osiada, gdzie największe drzewa;
Szczygieł rozumie, że on pięknie śpiewa;
Pliszka, to czysty waryat; jak nastanie dzionek,
Lata po wszystkich kątach, zadarłszy ogonek;
A ponieważ to wróble sami byli jacy,
Że wszystkich brali na nice?
Byli to sobie próżniacy,
Co jedli chłopków pszenicę.

Kotek, piesek, myszka i ptaszek.

Kotek z ostremi pazury,
Piesek sprzecznéj z nim natury,
Lękliwa myszka, i ptaszek nieśmiały,
Razem się z sobą chowały.
Prześliczna zgoda była między niemi:
Nieraz się kotek z pieskiem położył na ziemi,
A myszka sobie wesoło
Biegała w około.
Ptaszek w górę podlatywał,
I swobodnie wyśpiewywał.
Nawet kiedy jeść im dano,
Poróżnienia nie widziano.

Rzadka w świecie zgoda taka:
Kot ustąpił dla myszy, a piesek dla ptaka.
Powiecie, że to bajka? mylne wasze zdanie:
Tych cudów dokazuje dobre wychowanie.
Pamiętajcież dzieci o tém:
Kiedy pies się zgodził z kotem,
Jakże to będzie nieładnie,
Skoro niezgoda między was się wkradnie.

Mysz i kot.

Mysz, dla tego, że niegdyś całą książkę zjadła,
Rozumiała, iż wszystkie rozumy posiadła.
Rzekła więc towarzyszkom: nędzę waszę skrócę,
Spuśćcie się tylko na mnie, ja kota nawrócę
Posłano więc po kota; kot zawzdy gotowy,
Nie uchybił minuty, stanął do rozmowy.
Zaczęła mysz przemowę: kot jéj pilnie słuchał,
Wzdychał, płakał!... Ta widząc, iż się udobruchał,
Jeszcze bardziéj wpadała w kaznodziejski zapał,
Wysunęła się z dziury. A wtém ją kot złapał.

Czapla, ryby i rak.

Czapla stara, jak to bywa,
Trochę ślepa, trochę krzywa,
Gdy już ryb łowić nie mogła,
Na taki się koncept wzmogła.
Rzekła rybom: — wy nie wiecie,
A tu o was idzie przecie;
Więc wiedzieć chciały,
Czego się obawiać miały.
Wczora,
Z wieczora,
Wysłuchałam, jak rybacy
Rozmawiali: „Wiele pracy,
Łowić wędką i więcierzem;
Spuśćmy staw, wszystkie zabierzem;
Nie będą miały otuchy,
Skoro staw będzie suchy.“
Ryby w płacz; a czapla na to:
Boleję nad waszą stratą.
Lecz można złemu zaradzić,
I gdzieindziéj was osadzić;
Jest tu drugi staw blizko:
Tam obierzcie siedlisko;
Chociaż pierwszy wysuszą,
Z drugiego was nie ruszą.
Więc nas przenieś! rzekły ryby;
Wzdrygała się czapla niby:
Dała się nakoniec użyć,
I zaczęła służyć;
Brała jednę po drugiéj w pysk, niby nieść mając,
I tak pomału zjadając.
Zachciało się nakoniec skosztować i raki,
Jeden z nich widząc, iż go czapla niesie w krzaki,
Postrzegł zdradę — o zemstę zaraz się pokusił:
Tak dobrze za kark ujął, iż czaplę udusił.
Padła nieżywa:
Tak zdrajcom bywa!

Jowisz i owce.

Naprzykrzały się bogom częstemi prośbami
Owce, chcąc wiedzieć, co się stanie z jagniętami.
Rzekł im Jowisz: lepiéj to dla was, że nie wiecie.
Ale kiedy koniecznie przyszłość dociec chcecie,
Godna kary ciekawość w uporze zacięta:
I was ludzie wygubią i wasze jagnięta.
W ścisłym krągu ciekawość naszę trzeba mieścić:
Wie niebo, co nam taić; wie, co nam obwieścić.

Lew i zwierzęta.

Gdy się wszystkie zwierzęta u lwa znajdowały,
Był dyskurs, jaki przymiot w zwierzu doskonały?
Słoń roztropność zachwalał, żubr mienił powagę,
Wielbłądy wstrzemięźliwość, lamparty odwagę,
Niedźwiedź moc znamienitą, koń ozdobną postać,
Wilk staranie przemyślne, jak zdobyczy dostać,
Sarna kształtną subtelność, jeleń piękne rogi,
Ryś odzienie wytworne, zając rącze nogi,
Pies wierność, liszka umysł w fortele obfity,
Baran łagodność, osieł żywot pracowity.
Rzekł lew, gdy się go wszyscy o zdanie pytali:
Według mnie, ten najlepszy, co się najmniéj chwali.

Chłopek z furką siana.

Ubogi chłopek wybrał się w drogę,
Zaprzągł szkapinę niebogę,
I furkę siana przywiózł do stolicy.
Wtém na Bednarskiéj ulicy
Wypada chłopak; cap! za garstkę siana.
„Hej! proszę pana!
„Wszakżeć to moja chudoba.“
„Cóż z tego? a ja wezmę, bo mi się podoba.“ —
„Nie bardzo — rzekł dozórca, nacierając żwawo —
Zkądże to prawo?
Widzisz, chłopek ubogi, masz-że ty sumienie?
Jeżeli ci potrzeba, proś o pozwolenie,
Najmniejsze źdźiebło należy do niego;
A Bóg karze surowo za krzywdę bliźniego.“

Żydek.

Szła ulicą dziecinka, biedna, wynędzniała,
Oczki rączką zasłaniała.

Spostrzega to przez okno dobroczynna pani,
I chleba posyła dla niéj.
Cieszy się już zawczasu myślą pięknéj cnoty:
Bo cóż miléj, jak ulżyć cierpieniom sieroty?
Wkrótce powraca z chlebem służąca zdyszana —
Ah! — rzecze — pani ukochana!
To żydziak, a któż widział, wspomagać żydziaka? —
Dobrą panią uwaga oburzyła taka; —
Ale biedny — odpowie — wesprzeć go potrzeba;
Idź, natychmiast mu zanieś ten kawałek chleba;
On bliźni, cóż tu znaczy w wyznaniu różnica?
Wszak jednakowo słońce wszystkim nam przyświeca!

Tulipan i fijołek.

Tulipan okazały patrzał na to krzywo,
Że fijołek w przyjaźni zostawał z pokrzywą.
Nadszedł pan do ogrodu tegoż właśnie rana;
Widząc, że pięknie zeszedł, urwał tulipana.
A gdy się do bukietu i fijołek zdarzył,
Chciał go zerwać, ale się pokrzywą oparzył.
Patrzał na to tulipan, mądry po niewczasie,
I poznał, że przyjaciel, choć nierówny, zda się.

Chleb i szabla.

Chleb przy szabli gdy leżał, oręż mu powiedział:
Szanowałbyś mnie bardziéj, gdybyś o tém wiedział,
Jak ja na to pracuję, i w wieczór i rano,
Żeby twoich bezpiecznie darów używano.
Wiem ja, chleb odpowiedział, jakim służysz kształtem;
Jeźli mnie często bronisz, częściéj bierzesz gwałtem.

Wilczki.

Pstry jeden, czarny drugi, a bury najmniejszy,
Trzy wilczki wadziły się, który z nich piękniejszy.
Mówił pierwszy: ja rzadki,
Mówił drugi: ja gładki,
Mówił trzeci: ja taki, jak i pani matka! —
Trwała zwadka.
Wtém wilczyca nadbiegła,
Gdy w niezgodzie postrzegła,
Cóżto, rzecze: same w lesie
Wadzicie się!
Więc one w powieść, jak się rzecz działa.
Gdy wysłuchała,

Idzie tu wam o skórę, rzekła, miłe dzieci,
Która zdobi, która szpeci.
Nasłuchałam się tego już to razy kilka,
Nie przystoi to na wilka
Wcale.
Ale
Jak będziecie tak w kupie
Dysputować się głupie;
Wiecie, kto nie zbłądzi?
Oto strzelec was pozwie, a kuśnierz osądzi.

Wróbel.

Wróbel pstry, iż był jeden pomiędzy szaremi,
Ledwo się tykał ziemi,
Tak był zhardział: rozumiał bowiem, iż nad niego
Piękniejszego
Natura wydać nie zdoła,
Nie tylko wróbla, ale i sokoła,
Gdy więc wszystkiemi gardził, rzekł mu jeden z szpaków:
Kto jest pierwszym wśród wróblów, nie jest pierwszym z ptaków.

Bratki.

Nie depc najlichszéj trawki obojętną nogą,
Oto bratki poziome, i te uczyć mogą.
Objawiła mi Flora ich tajemne dzieje,
A ja tę tajemnicę na papier przeleję:
Dwaj bracia, jak te drzewa razem połączone,
Co się z powiewem wiatru w jednę chylą stronę,
Żyli w zgodzie, jedności, w przywiązaniu stali,
Zdawało się, że jedną duszą oddychali.
Trzeci różnił się od nich całą swą naturą,
Niecnotą i postacią odstręczał ponurą.
A że zwykle niecnocie zazdrość tuż przy boku,
Miłość braci dla niego solą była w oku.
Wzrastając w nienawiści, poprzysiągł ich zgubę.
Patrzcie, co może cnota i jéj wdzięki lube!
Ten wyrodek natury, zwierz w ludzkiéj postaci,
Nie mógł być obojętnym na rozkosz swych braci.
Widząc, jak się kochają bez najmniejszéj zmiany,
Zaczyna zwolna pragnąć, aby być kochany;
Mięknieje twarde serce na widok przyjemny,
Gdy brat bratu z zapałem dał uścisk wzajemny;
Nieraz mu nawet z oka tkliwa łza wytryska,
Gdy ich czułym rozmowom przysłuchał się z bliska. —

Utraca już okropność owa zawiść podła,
A cnota z zatrutego bierze życie źródła.
Zawstydzony, krok pierwszy czyni do zjednania,
Chętnie serce cnych braci ku niemu się skłania:
Łączą z szczerem uczuciem dłoń z braterską dłonią.
I w miłém uniesieniu łzy rozkoszy ronią.
Na szacunek zmieniony, trwał ten związek stały:
W przywiązaniu i zgodzie wiek przeżyli cały:
A śmierć sama, szanując węzeł téj jedności,
Wszystkich razem przeniosła na łono wieczności.
Flora ich martwe zwłoki przemieniła w kwiatki
I dla miłéj pamiątki nazwała je Bratki;
By zaś dokładniéj dzieje przypomniały owe,
Jeden listek się różni, a dwa jednakowe.

Gołębnik.

W starym się gołębniku gołębie gnieździły,
Choć niekształtny i szczupły, był im jednak miły;
Bo tam ich karmiły matki,
Tam im się rodziły dziatki. —
Właścicielowi przyszło coś do głowy
Wystawić gołębnik nowy:
Gustownie go wybudował,
Zwierzchu i wewnątrz nawet pomalował,
Nasypał ziarna do téj budowy wspaniałéj;
Gołębie do starego jednak uciekały.
Właściciel kazał stary gołębnik rozrzucić:
Zaczęły się bardzo smucić;
Lecz na zwaliskach jeszcze się gnieździły,
Bo im ten kącik był miły! —
To wzruszyło ich pana, zebrał dawne szczątki,
I dla lubéj im pamiątki
W tém samém miejscu i takiéj budowy,
Ze starego zrobił nowy;
Poznał on, że i w ptakach są uczucia tkliwe,
I że nie wszędzie mogą być szczęśliwe.

Kruk z dzwonkiem.

Nie jest to nowiną żadną,
Że kruki kradną:
Jednak i dla człowieka zda się ztąd nauka. —
Na pewnym dworze wychowano kruka,
A ponieważ go wzięto, ledwo się urodził,
Nie więziono go w klatce; gdzie chciał sobie chodził.

Z pokoju do pokoju, bez żadnéj przeszkody,
Przechadzał się kruczek młody;
A że do kobiet zwykle lgną ptaszęta,
Najbardziéj lubił wpaść między dziewczęta.
Zawsze dzień dobry powiedział im z rana,
Odwiedzał jednak i pana,
Przylatał czasem do dzieci,
Czasem i na dwór wyleci,
Biegnie w ogród dla połowu,
I wraca znowu.
Wszędzie go pełno, wszędzie on się znęci,
A wszędzie figla spłata, gdzie się tylko wkręci. —
Raz u panien igliczka gdzieś się zapodziała,
Lecz igliczka, to rzecz mała,
Na igliczce świat nie stoi,
Wkrótce o szkodzie zapomniano swojéj.
Jakoś znów niezadługo służącéj dziewczynie
Naparstek ginie;
Daléj zginął pierścionek z drogiemi kamyki,
I brylantowe kolczyki.
Tu dopiero rozruch, dom się w piekło zmienia,
Pełno było domysłów, pełno podejrzenia;
A nikomu w myśl nie wpadnie,
Że to młody kruczek kradnie.
Raz się ów panicz zbliżył do stolika,
Porywa srebrny dzwonek i przez okno zmyka.
Dzwoni..... a na ten odgłos służący wybiega,
I na gorącym razie złodzieja spostrzega:
„A tuś mi! ty to ptaszku takie płatasz licho!“
Rzekł, i tuż za złodziejem posuwa się cicho.
Idzie za głosem dzwonka kroki powolnemi,
Widzi, jak kruk nieznacznie spuszcza się ku ziemi,
Jak szuka miejsca tego, gdzie skarby posiada,
Jak do dawnych zdobyczy nową zdobycz składa,
Jak się różnych błyskotek nasyca widokiem,
Jak zazdrośnie przed ludzkiem ukrywa je okiem,
A gdy już ma ulecieć, znienacka go chwyta:
Zawsze być musi zbrodnia przed światem odkryta.

Jaś poprawiony.

Jaś niepomny na przestrogi,
Jakie w domu Tata drogi
Co dzień w pustą kładł mu głowę,
Skoro dostał rzeczy nowe,

Czy spodzienki czy surducik,
Czy czapeczkę czy też bucik,
Nie utrzymał nic w całości,
Wszystko niszczył bez litości.
Cały surdut wziął do szkoły,
A powrócił w nim bez poły.
A dla czego? — Jaś, ladaco,
Nie nabył go własną pracą;
Wszystko, co mu sprawi Tata,
Jaś niebawem drze i płata. —
Ojciec łaje, prosi, błaga;
Lecz to wszystko nie pomaga.
Prośby, groźby ponawiane,
Jakbyś rzucał groch o ścianę.
Ojciec Jasia widząc tedy,
Że ma tyle z chłopcem biedy,
Że on w swoim trwa uporze,
Że poprawić go nie może;
Oddał Jasia, swawolnika,
Do warsztatu sukiennika.
Jaś, co darmo w domu siedział,
Tu dopiero się dowiedział,
Że chcąc mieć kawałek chleba,
Do pracy się wziąść potrzeba.
Ileż to trzeba roboty,
Chcąc na dzień zarobić złoty!
Ileż to potrzeba włókna
Na mały kawałek sukna!
Przez ileż to rąk przechodzi,
Nim gotowy w świat wychodzi!
Jaś, co nie chciał wierzyć Tacie,
Sam to poznał przy warsztacie,
Jaka wartość jest odzieży,
Jak szanować ją należy.
Odtąd chłopiec poprawiony
I z lenistwa wyleczony,
Pracowity i oszczędny,
I porządny i oględny,
Na człowieka wyrosł dzielnie;
Sam już dziś ma rękodzielnie,
Jaś nasz, dziś pan stutysięczny,
Ojcu swemu bardzo wdzięczny,
Że go oddał do warsztatu,
Pożytecznym zrobił światu.

Chłopczyk śród drogi.

Szedł chłopczyk z książkami, bardzo mu ciężyły;
Ten ciężar nie wszystkim zarówno jest miły.
Kazali, cóż robić? iść musiał do szkoły. —
„Stój — z płaczem przemówił do lecącéj pszczoły —
Stój, pszczółko na chwilę i pomów z dzieciną:
Tyś sobie wesoła..... mnie z oczu łzy płyną;
Ja idę do szkoły, tam człowiek surowy,
Ni tam się uśmiechnąć, ni tam z kim rozmowy.
Wstrzymaj się pszczółko, przychylne wskaż oko,
Nauczysz mnie może tak latać wysoko. —
A pszczółka mu rzekła: „wstrzymać się nie mogę,
Powinność mnie wzywa, spieszę w dalszą drogę.
O! muszę dokończyć mego plastru miodu,
Gdy zima nadejdzie, zginęłabym z głodu;
Jak piękną pogodę zesłały nam nieba!
Bądź zdrów, mój chłopczyku, korzystać z niéj trzeba.“ —
Wtém leci jaskółka, a chłopczyk ją goni,
I znowu ze łzami przemawia tak do niéj:
Wstrzymaj się, jaskółko, i zabaw się zemną,
Ja ciebie tak lubię, trzeba być wzajemną. —
Nie, dziecię kochane, wstrzymać się nie mogę,
Powinność mnie woła, spieszę w dalszą drogę;
Mam wiele przyjaciół i wieść im przynoszę,
Że się już wiośniane zbliżają rozkosze;
Niech się téj pociechy dowiedzą odemnie!
Nie, nie mogę chwili tracić nadaremnie. —
I stanął jak wryty ów chłopczyk zdumiały,
I znowu mu z oczu łez krople padały,
I znowu szedł zwolna..... Wtém brytan wypada. —
Mój ty psie kochany! — chłopczyna powiada —
Czy się też pozwolisz przybliżyć dziecinie?
Ja w tobie pociechę pokładam jedynie;
Nie cierpię tych książek..... już ręce zdrętwiały,
Bodaj-to się bawić! swawolić dzień cały!
O! jakże-to wasze przyjemne jest życie!
Biegacie swobodnie, i nic nie robicie. —
O, bardzo się mylisz — rzekł bryś do chłopczyka —
Czy widzisz opodal na polu rólnika?
No widzę! — To pan mój, pracuje on w pocie:
Ale i ja mu ulgę przynoszę w robocie.
Tak, wielkiéj odemnie doznaje pomocy:
On wstaje ze świtem, ja nie śpię i w nocy;
Ja czuwam, by jego nie zmarniał majątek,
I każdy troskliwie obejrzę zakątek,

I wołu przebudzam, co ziemię tę orze,
By plenne dla ludzi zrodziło się zboże.
Tak, pracą się wszystko na świecie ustala,
Gdy głód nam zagraża, praca go oddala,
A każdy przy pracy tak czerstwy, wesoły,
O, porzuć lenistwo, idź dziecię do szkoły!

Grosz wdowi.

W miejscu publicznem była skarbonka przybita,
Nie jeden obojętnie jéj napis przeczyta.
Ofiara dla ubogich — potém się odwróci,
I grosza nie rzuci.
Długo, długo próżną była,
Aż uboga kobieta pierwszy grosz wrzuciła.
Zaraz jakiś pan bogaty
Rzucił dukaty;
Mniéj bogatego wzruszył wzdzięk téj cnoty,
Wkłada złoty.
Znów jakiegoś przechodnia skłania ta ofiara,
Rzuca talara. —
Zkądże ta hojność? Cnoty czarująca władza
Do grosza złoto sprowadza;
Dotądby może jeszcze puszka próżną stała,
Gdyby małéj ofiary uboga nie dała.
Piękny przykład cuda działa.

Skarb ukryty.

Umierając pan winnicy,
Rzekł do synów w tajemnicy:
„Moje dzieci ukochane!
Zanim z wami się rozstanę,
Tajemnicę wam wyjawię,
Skarb po sobie wam zostawię.
Mam w winnicy skarb ukryty;
Każdy więc z was pracowity
Niechaj kopie wciąż z ochotą,
A wykopie z ziemi złoto.....“
— „A gdzie, ojcze ukochany,
Skarb twój w ziemi zakopany?“
Wszyscy razem, jakby w zmowie,
Odezwali się synowie.
„Kopcie tylko pracowicie!“
Rzekł i skończył starzec życie.
Ledwo starca pochowano,
Do motyki się zabrano,
Wciąż synowie bez pomocy
Kopią we dnie, kopią w nocy.
Choć strudzeni nie ustają,
Bo się skarbu spodziewają.
Tak wytrwali i cierpliwi
Pracują coraz gorliwiéj;
Lecz skarbu, co miał grunt wydać,
Jak nie widać, tak nie widać.
Jednakże w pracy wytrwali,
Wnet winnicę rozkopali;
Prawie każdą grudkę ziemi
Przesiewali dłońmi swemi.

Ale chociaż się spocili,
Nigdzie skarbu nie odkryli.
Tu każdy wreszcie się zgodził,
Że ich ojciec próżno zwodził.
Tymczasem piękna, radosna,
Nastąpiła znowu wiosna;
A winnica znowu miła,
Trzykroć piękniéj obrodziła,
I obfity plon wydała,
Bo uprawę lepszą miała.
Tak młodzieńcy wczas poznali,
Że skarb z ziemi wygrzebali,
Że im ojciec prawdę prawił,
Że w winnicy skarb zostawił.

Niewinny żarcik.

Siedział dziadunio, jak gołąbek siwy,
A w koło wnuczki; — ich szczęściem szczęśliwy
Stroił żarciki; aż odmłodniał cały:
Z figielków dziadzi, dziecinki się śmiały.
Wiecie co? jeżeli zechcecie,
To dziś w namiocie wspaniałym będziecie.
Tam szklane ściany, kobierce zielone,
A w którąkolwiek obrócisz się stronę,
Mnóstwo śpiewaków wyuczonych śpiewa;
W środku namiotu rosną kwiatki, drzewa,
W koło zwierciadła. Kazio, szpaczek wielki,
Rzekł: o! to nowe dziadunia figielki.
Ale Jadwisia i mówić nie dała,
Wierzy wszystkiemu, szybko się ubrała:
„Więc chódźmy, rzecze, do owych namiotów!“
Już i braciszek jeden, drugi gotów,
Wybrał się dziadzio. — Idą długą drogą,
I nigdzie dojrzeć namiotu nie mogą.
Stanęli wreszcie na łączce zielonéj,
I długą przestrzeń widać z każdéj strony.
Tu owdzie drzewka i krzaczki wzrastały,
A w krzaczkach ptaszki śpiewały.
Tu kwiatki, każdy jakby malowany.
Otóż to namiot, to są szklane ściany,
To są kobierce, nie prawdaż? wspaniałe?
A te potoki zwierciadła nie małe.
Takie to Pan Bóg dał ludziom namioty,
Oby w nich same zamieszkały cnoty!
Oby w nich dziatki na cześć Boga rosły,
Potem rodzicom pociechę przyniosły.

Przyjaciele.

Zajączek jeden młody,
Korzystając z swobody,

Pasł się trawką, ziołkami, w polu i ogrodzie,
Z każdym w zgodzie.
A że był bardzo grzeczny, rozkoszny i miły,
Bardzo go tam zwierzęta lubiły.
I on też używając wszystkiego z weselem,
Wszystkich był przyjacielem.
Raz gdy wyszedł w świtaniu i bujał po łące,
Słyszy przerażające
Głosy trąb, psów szczekania, trzask wielki po lesie.
Stanął; — słucha; — dziwuje się;...
A gdy się coraz zbliżał ów hałas, wrzask srogi,
Zając w nogi.
Spojrzy się po za siebie, aż dwa psy i strzelce:
Strwożon wielce,
Przecież wypadł na drogę, od psów się oddalił.
Spotkał konia, prosi go, iżby się użalił:
Weź mnie na grzbiet i unieś! — Koń na to: nie mogę,
Ale od innych pewną będziesz miał załogę.
Jakoż wół się nadarzył: — ratuj, przyjacielu!
Wół na to: takich jak ja zapewne nie wielu
Znajdziesz; ale poczekaj i ukryj się w trawie,
Jałowica mnie czeka, nie długo zabawię.
A tymczasem masz kozła, co ci dopomoże.
Kozieł: żal mi cię, nieboże!
Ale ci grzbietu nie dam, twardy, nie dogodzi:
Oto wełniasta owca niedaleko chodzi,
Będzie ci miękko siedzieć.... Owca rzecze:
Ja nie przeczę;
Ale choć cię uniosę pomiędzy manowce,
Psy dogonią, i zjedzą zająca i owcę.
Udaj się do cielęcia, które się tu pasie:
Jak ja ciebie mam wziąść na się?
Kiedy starsi nie wzięli, cielę na to rzekło,
I uciekło.
Gdy więc wszystkie sposoby ratunku upadły,
Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.

Zachód słońca.

„Zaszło słońce i znowu jeden zginął dzionek,
Zgon jego na kościółku ogłosił nam dzwonek;
Jutro, o tymże czasie i o téj godzinie,
Znowu drugi dzionek zginie;
A za drugim pójdzie trzeci,
Aż i życie nam uleci.“ —

Tak dumał starzec, postępując zwolna. —
Cóż on tam mruczy? — dziatwa spytała swawolna.
STARZEC: Wesoło się dziś bawicie,
Lecz nieznacznie spływa życie:
Czy zachód słońca widzicie?
Dzieci! patrzcie w ową stronę,
Gdzie niebo zaczerwienione.
Dzieci patrzą się ciekawie,
Zapomniały o zabawie,
A on starzec w uniesieniu,
Mówił im coś o zbawieniu,
O występkach, o poprawie,
Czasie, co szybko ulata,
O marnéj próżności świata.
Nie bardzo go rozumiały;
Ale przyszedł wiek dojrzały,
A widok słońca zachodu
Przypomniał święte słowa, słyszane za młodu,
I piękne czucia w tkliwych sercach wzbudził.
Już ich świata blask nie łudził.
Chciwość bogactw, marność chwały,
Jakby z wiatrem uleciały.
A gdy się ziemską myślą zająć mieli,
Na zachód słońca wspomnieli.

Pożar.

W obszernym domu, zdawna zamieszkanym,
Lecz, jak się zdaje, na klęski skazanym,
W domu, gdzie mieszkał bogaty i mierny,
Zajął się pożar niezmierny.
Co bardziéj jeszcze powiększyło trwogę,
Że ze trzech stron wiatry srogie,
Wznosząc iskry, dym, płomienie,
Ognistą łuną niebieskie sklepienie
Okryły. Dzielni mieszkańcy atoli
W téj ostatecznéj niedoli,
Miasto rozpaczy, frasunku,
Rzucili się do ratunku;
Porwali się niepomni na własną swą zgubę,
By obronić szczyty lube.
Gaszenia rodzaj wszelaki,
Sikawki, woda i haki,
Co roztropność albo też męztwo znakomite
Kazały, wszystko tam było użyte.

Gdy wszyscy walczą w powszechnéj obronie,
Jeden samolub, w najmodniejszym tonie,
Mniéj dbając, że się dom cały mógł spalić,
Byleby własne tłómoczki ocalić,
Zabrawszy ruchomość swoję,
Wyszedł przez tylne podwoje,
I do obcéj się kamienicy schronił;
Niezmiernie kontent, że siebie obronił,
Tam przez lornetkę i w oknie stojący,
Spokojnie patrzał na dom gorejący.
Nie pierwszy przykład, że zamysł cnotliwy
I hazardy i starania
Skutek wzięły nieszczęśliwy;
Mimo pracy obrońców i usiłowania,
Dom ów ze wszystkiem się spalił,
I szczyt się cały zawalił.
Mieszkaniec, który się go obronić spodziewał,
Smutne popioły gdy łzami oblewał,
I wpośród gruzów zamyślony siedział,
Przyszedł do niego samolub kochany,
I rzekł mu: „Jam to wszystko przepowiedział;
„Nikt wam rozumu tego nie pochwali:
„Co za zamysł niesłychany,
„Biedz do obrony, kiedy dom się pali!
„A potem całe dzieło bez porządku,
„Bez ładu i bez rozsądku:
„Kto widział wodą chcieć ugasić mury?
„Ja na mnie winy téj nie będę składał.....“
Przerwał mieszkaniec: „Wyrodku natury,
„Ty, coś siebie nad dobro powszechne przekładał,
„Kto dzielić z cnotliwymi hazardów się boi,
„Temu zarzutów czynić nie przystoi;
„Nie śmiałeś z nami rzeczy powszechnéj zasłaniać,
„Nie masz dziś prawa naganiać
„Ni zamysłu, ni sposobu.
„Zginęliśmy, lecz z sobą przeniesiem do grobu
„Czułe poczciwych wspomnienia,
„Spokojność i świadectwo własnego sumienia.
„Ty, coś zakładał szczęście twoje w złocie.
„Żyj z niem, żyj razem w hańbie i zgryzocie.“

b) Nauczki, Piosneczki i Pieśni.

Do zdrowia.

(Jana Kochanowskiego.)

Szlachetne zdrowie!
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz.
Tam człowiek prawie
Widzi na jawie,
I sam to powie,
Że nic nad zdrowie
Ani lepszego,
Ani droższego;
Bo dobre mienie,
Perły, kamienie,
Także wiek młody,
I dar urody,
Miejsca wysokie,
Władze szerokie,
Dobre są, ale
Gdy zdrowie w cale.
Gdzie nie masz siły,
I świat nie miły.
Klejnocie drogi!
Mój dom ubogi,
Oddany tobie,
Ulubuj sobie!

Do pana Jana.

(Ignacego Krasickiego.)

Panie Janie!
W każdym stanie
Zyskać można:
Myśl ostrożna
Obrać umie,
Gdy rozumie,
I obiera.
Gdy otwiera
To, w czém treści:
Więc boleści
Się wystrzega,
Zapobiega,
W czém ma stracić,
W czém zbogacić
Ma się snadnie,
Łatwo zgadnie.
Więc ty o to
Zawsze z cnotą
Masz się starać:
Bo ukarać
Insze kroki
Bez odwłoki
Niebo może.
Cnota wzmoże,
A szalbierstwo,
Duma, zdzierstwo,
Źle prowadzi,
Zawsze zdradzi.
Cnota wdzięczy,
Cnota wieńczy,
Kto cnotliwy,
Ten szczęśliwy!

Do dzieci.

Jeśli chcemy być dobremi,
Miejmy miłość dla swéj ziemi:
Na niéj rosną drzewa ciemne,
W letnim skwarze tak przyjemne;

Na niéj ptastwo różnopióre
Podlatuje z pieśnią w górę;
Na niéj zboże, co nas żywi,
Na niéj możem być szczęśliwi.

Jeśli nam ta ziemia droga,
To módlmy się tak do Boga:
Panie Boże, prosim o to:
Nie o srebro nie o złoto,

Lecz o łaskę dla téj ziemi;
Niech się zboże na niéj plemi,
Niech się mnoży w dziesięcioro,
Niech rólnicy plony zbiorą.

A zebrawszy w świętéj zgodzie,
W szczęściu, zdrowiu i w swobodzie,
Niechaj żyją, jakby w niebie,
Panie Boże, prosim Ciebie!

Rzetelnicki.

Nie raz o tym człowieku dzieci usłyszycie,
Co nie skłamał całe życie.
Powiem wam, jak to się stało,
A za prawdę ręczę śmiało.
Kiedy jeszcze był dziecięciem,
Uzbroił się przedsięwzięciem,
By kłamstwo ust nie splamiło.
Z początku mu trudno było;
Lecz choć często chętka brała,
By się jaka rzecz skłamała,
Uczuł w sobie żądzę chwały:
Usta prawdę powiedziały.
A choć czasem i złe zbroił,
Tak się już z prawdą oswoił,
Że największe błędy, wady,
Wyznał szczerze, bez przesady.
Coraz bardziéj wzrastał w cnoty,
Każdy mu chętnie ufał, uwielbiał przymioty.
Żył szczęśliwy i kochany,
Umarł, a jednak słodko wspominany.
Brzmi jego imię w okolicy całéj,
Bo rzetelnością zyskał piękny wieniec chwały.
Dzieci! idźcie jego śladem:
Niech serce wasze będzie prawych uczuć składem,
Niech was wdzięk kłamstwa nie mami,
A szczerość włada ustami.

Macierzyńskie napomnienia.

(Powiastki i bajki Stan. Jachowicza. Warszawa, 1842.)

Synu, mówiła matka, chcesz być moją chwałą,
Kochaj cnotę duszą całą.
Niech się najmniejszą krzywdą twoje serce brzydzi,
Nie czyń złego i wtenczas, gdy cię nikt nie widzi.
Przyrzekł matce chłopczyna, w oczach widać było,
Że szczere przyrzeczenie dziecię wymówiło.
W dni kilka, kilkanaście, nawet więcéj może,
Był on w cudzym ogrodzie, w owéj świetnéj porze,
Gdy róża w całym blasku rozwija swe wdzięki.
Chciałby jeden kwiat zerwać: nie śmie ściągnąć ręki.

Głos jakiś poszeptuje przestrogi do ucha.
Wspomniał na przyrzeczenie, głosu tego słucha.
Ależ znowu głos inny: „co tam kwiatek znaczy!
Nie jest to żadną krzywdą, gospodarz przebaczy;
Pozostawisz nietknięte, to same opadną,
A różyczkę do domu mógłbyś przynieść ładną!
Dosyć tu takich kwiatów, nikt ci nic nie powie.“
O mało nie uwierzył i temu głosowi.
Wtém serce się odzywa: „a coś przyrzekł mamie?
Kto dobry, kto uczciwy, ten słowa nie łamie.“
Oparł się więc pokusie, pozostawił kwiatki,
Usłuchał głosu serca, przestróg dobréj matki.

Do bociana.

(K. Z.)

Pędź, niewdzięczny! lotem strzały,
Tam, gdzie miłe są upały,
Tam, gdzie wiecznie kwitnie maj;
Mnie niech zimno krew tu zetnie,
Nie polecę w strony letnie,
Bo mnie milszy ojców kraj!

Jażbym rzucał lasy, zdroje,
I rodzinne gniazdo moje,
Że je wkrótce śnieg ma skryć!
Niech tam rozkosz będzie raju,
Ja nie rzucę mego kraju,
Tu chcę umrzeć, lub tu żyć!

Słyszysz, słyszysz, jak cię goni
Głos puszcz, gajów i ustroni,
Jeziór, rzek, ustępów, błót:
„Czekaj, synu! w złéj nas doli
„Nie zostawiaj, bo to boli,
„Czekaj, wstrzymaj bystry lot!“

Ty nie słyszysz! — więc niewdzięczny!
Jako promień pędź miesięczny,
Gdy się z czarnych wyrwie chmur;
Kiedy możesz, żyj szczęśliwie
Z obcymi, na obcéj niwie,
Twarde serce twe jak mur.

Bo kto musi w obce kraje
Lecieć, serce mu się kraje,
Łez wylewa gorzkich zdrój;
Ty się cieszysz, ty nie płaczesz,
Klaszczesz dzióbem i kołaczesz,
Jakbyś w kraj powracał swój.

Pędź, niewdzięczny! Pospiech mały
Błyskawicy, gromu, strzały!
Ty pędź szybciéj, nocy dnie.
Daléj! daléj! gdzie daleka
Z szczęściem na cię ziemia czeka;
Ja ci nie zazdroszczę, nie!

Sierotka.

Mamo, mamo! przemów słowo,
To ja sama, córka twoja!
Klęczę, płaczę nad twą głową;
O przebudź się, mamo moja!
Mamo! ty masz zimne ręce,
Tak jak z lodu — o dla Boga!

Nie leż dłużéj w téj trumnience,
Otwórz oczy, mamo droga!
Tyś zasnęła już na wieki,
Mówią ludzie — o! nie wierzę;
Otwórz, mamo, twe powieki,
Przecie ty mnie kochasz szczerze?
Powstań, powstań z tego łóżka,
Co już grobem się wydaje,
Przyciśnij mnie do serduszka;
Ah! bo mi się serce kraje.
O! ty milczysz! mamo złota,
Pozostawić chcesz mnie samą;
Biednaż, biednaż ja sierota,
Rozłączona mam być z mamą!
Byłam zawsze tuż przy tobie,
Więc mnie także weź do siebie;
Z tobą razem tu i w grobie,
Czyż bezemnie chcesz być w niebie?
Ty tak dobra, mamo droga,
Patrz! zalana jestem łzami;
Ty uprosisz za mną Boga,
Bóg nas złączy z aniołkami.

Domek rodzinny.

Witaj domku mój rodzinny,
Dworku biały z facyjatką;
W tychto ścianach wiek niewinny
Przepędziłem z ojcem, z matką....
Biały domku ukochany,
Każdy kącik sercu drogi;
Miłe sercu cztery ściany,
Dziś całuję twoje progi.
Tu mi życie matka dała,
Moja dobra, matka droga;
Tu mnie matka wychowała
I uczyła kochać Boga.
Tu mnie ojciec mój poczciwy,
Dobry ojciec choć surowy,
Czcić nauczał wiek sędziwy,
Słodkiéj sercu uczył mowy.
Witaj domku mój drewniany,
Pełen wspomnień i pamiątek;
Witaj dworku ukochany,
Skarbie drogi świętych szczątek!

Pod tém drzewem rozłożystém
Ptasząt śpiewu ja słuchałem;
Dziecko jeszcze, sercem czystém
Z każdym kwiatkiem rozmawiałem.
W kropli rosy kryształowéj,
Co zdobiła kwiatki, ziółka,
Bóg malował świat różowy,
A jam widział tam aniołka.
O! były to chwile błogie,
Niewinnością dziecka tchnące;
Przeminęły dni te drogie,
Pozostały łzy gorące.
Przeminęła ma jutrzenka,
Dni dziecięcych zwiędły kwiatki;
Lecz mi w duszy brzmi piosenka,
Com ją słyszał od méj matki.
O! czas dąży chyżym krokiem;
Gdzie był uśmiech, dziś mogiły.
Żegnam cię znów łzawém okiem,
Mój rodzinny domku miły!
Żegnam drogie twoje ściany!
Głos przyszłości brzmi z daleka;
Idę, idę w świat nieznany, —
Gdzie powinność, ludzkość czeka....

Czém jesteś.

(Józef Dyonizy Minasowicz.)

Kwiatek zawsze w miejscu stoi,
Ledwo się zachwieje,
Czeka, aż go deszcz napoi,
Wiatr z pyłu obwieje.
Kto ma nogi, chodzić może,
I biegać — ze statkiem.
Dziękuję Ci, Panie Boże!
Że nie jestem kwiatkiem.
I zwierzęta nogi mają,
I nasz Nierusz w budzie;
Ale się nie rozmawiają,
Tak jak z ludźmi ludzie.
Bo jak się rozmówić może,
Szara gęś z prosięciem?
Dziękuję Ci, Panie Boże!
Żem ja nie zwierzęciem.
Jestem człowiek, a nie zwierzę,
Co mówią, rozumiem;
Umiem także i pacierze,
I czytać już umiem.
Starszy więcéj jeszcze może,
Rozumniejszy z wiekiem;
Dziękuję Ci, Panie Boże!
Że jestem człowiekiem.

Mazur od ucha.

My śpiewamy na zagonie,
A nad borem chmura,
Daléj chłopcy! — snopy w dłonie —
Jakby do Mazura!

Już wiatr świszcze, szumi niwa
I kraczą wron stada;
Dołoż nasza nieszczęśliwa, —
Już grad u sąsiada!

Boże, weź dobytek kmieci,
Tylko daj nadzieję,
Że z nas każdy dla swych dzieci
Jeszcze raz zasieje.

Zostaw zboża tylko na to,
By zasiać tę niwę;
Przyjdzie kiedyś lepsze lato
I żniwo szczęśliwe.

A gdy każdy na swéj grzędzie
Garść ziarna uchowa,
Bujném żniwem kwitnąć będzie
Kiedyś błoń Lechowa!

U nas inaczéj.

Bohdana Zaleskiego.

Smutnoż tu — smutno, bracia, za Dunajem,
I w oczach mokro, bo sercami tajem;
Ludzie nas nudzą — i świat cały nudzi;
Cudzo — och pusto — śród świata i ludzi!
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj;
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!
U nas inaczéj! Och! Ojczyzna Lasza,
To wszechsłowiańska królowa i nasza!
Bracia, zginiemy za nią, kiedy skinie,
Ale śnić będziem o swéj Ukrainie:
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj,
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!
U nas inaczéj! I bujnie i miło:
Hej! nie zastępuj na drodze mogiło!
Nie ściel się cieniem! niech sokole oko
Kąpię w burżanach lubo a szeroko!
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj,
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!
U nas inaczéj! Po nad Ukrainą,
Wskroś okolicą jarzącą się, siną,
Boże śpiewaki ciągną w różne strony;
Aż w uszach klaszcze, taki gwar zmącony:
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj,
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!
U nas inaczéj! Co zaśpiewam w dumie,
Co w głowie knowam — brat koń mój rozumie;

Rży po swojemu: — czy tabun pamięta?
Och! za wolnością tęsknimy bliźnięta!
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj,
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!
U nas inaczéj! Wciąż nuta żałoby,
Bo namogilna, bo pomiędzy groby
Ku duchom ojców przygrywa wspaniale
O ich minionych i bojach i chwale.
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj,
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!
U nas inaczej! Jakoś lżéj, weseléj,
Krew gra burzliwiéj: — o! wina mi nie léj!
Samém powietrzem po pianemu żyję;
A kiedy hulam — to na łeb, na szyję:
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj,
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!
U nas inaczéj! Miłość i tęsknota,
To jak dwie prządki naszego żywota.
Bożeż mój, Boże! łzami modlę Ciebie,
Jak umrę, daj mi Ukrainę — w niebie!
Nie ma bo rady dla duszy kozaczéj,
U nas inaczéj — inaczéj — inaczéj!

Stara ale dobra piosnka.

Głód, powietrze, ogień, woda
I wszelaka zła przygoda
Będą temu, ktoby starą
Ojców swoich wzgardzał wiarą!

Zwierz drapieżny do obory,
Między stada czarne mory
Wejdą temu, ktoby starą
Ojców swoich wzgardzał wiarą!

Chorobą się rozniemoże,
I boleści twarde łoże
Zwiąże tego, ktoby starą
Ojców swoich wzgardzał wiarą!

A gdy skona, garści ziemi,
Gdzieby spoczął kośćmi swemi,
Nie dostanie, ktoby starą
Ojców swoich wzgardzał wiarą!

Marnie zginie! Wiatr rozmiecie
Prochy jego po wszem świecie,
Marnie zginie, ktoby starą
Ojców swoich wzgardzał wiarą!

Pieśń żniwiarska.

K. Garczyńskiego.

Jak las wysokie żyto się udało;
Oj będzie za to pieniędzy nie mało!

A pszenica na zagonie
Złocistemi kłosy płonie.

Jęczmień i owies błyska barwą świetną,
Wszystko to, wszystko sierpy nasze zetną;
A pracowne nasze woły
Wszystko zwiozą do stodoły.

Potém wymłócim, a czeladka pańska
W galarach z szyprem powiezie do Gdańska!
Pięknie zboże się udało,
Będzie pieniędzy nie mało.

Więc chłopcy, dziewki, żywo z sierpem, żywo!
Skończmy co prędzéj rozpoczęte żniwo;
Gdy skończymy raźni, żwawi,
Pan dożynki nam wyprawi.

Dziewoja, która przodowała w żniwa,
Wesołą piosnkę przed dworem zaśpiewa,
I wianek z kłosów pleciony
Wstążeczkami ukraszony,

Strojny kaliną i polnemi głogi
Złoży podarkiem przed pańskiemi progi.
Pan wystawi wódkę, piwo,
Grajek zagra piosnkę żywą.

Będziemy śpiewać do samego rana,
Wielbiąc szczodrotę łaskawego pana,
Panien, paniczów i pani,
Jako wierni ich poddani.

Oracz do skowronka.

(Przez Kondradowicza.)

Już ty śpiewasz, skowroneczku, już też i ja orzę,
I my ludzie, i wy ptaszki, wszystko dzieci boże. —
Człowiek w polu gospodarno pracować się sili,
Ptaszek bierze swoje ziarnko z zimowych badyli.
Tyś skowronku, mój towarzysz, choć w nierównéj doli,
O kochaniu jego marzysz twemu sercu gwoli. —
Tyś szczęśliwy i wesoły, gdy jutrznia poranna,
Lecisz w górę, by z anioły zaśpiewać hozanna!

Z twéj piosenki rade nieba i Pan Bóg się cieszy,
Że ptaszkowi mało trzeba i dziękować spieszy, —
Że różnemi gwarząc tony, głosisz w kraj daleki:
„Niech będzie pochwalony, na wieki! na wieki!“

Już ty śpiewasz skowroneczku, już też i ja orzę,
Lecisz w niebo, za oraczem pomódl się nieboże!
Mów, żeś krążąc wedle sioła, widział biedy nasze,
W głodzie wiosna nie wesoła jako wiosny ptasze,
Człowiek świtem ze snu wskrześnie, ale rąk nie dźwiga,
Chciałby śpiewać świętą pieśnię, głodna pierś zastyga. —
Za nic wiosny widok rzewny i kraśna jutrzenka,
Gdy co ranka dzwon kościelny po umarłym stęka; —
Dziatwa jęczy, człek się błąka, z łez świata nie baczy —
Wiosną życie dla skowronka, a śmierć dla oraczy. —
Módl się ptaszku! Bóg wzruszony doda nam opieki,
I niech będzie pochwalony, na wieki! na wieki!!

Treny Jana Kochanowskiego.

Żal I.

Orszulo moja wdzięczna, gdzieś mi się podziała?
W którą stronę, w którąś się krainę udała?
Czyś ty nad wszystkie nieba wysoko wzniesiona,
I tam w liczbę aniołów małych policzona?
Czyliś do raju wzięta? czyliś na szczęśliwe
Wyspy zaprowadzona? czy cię przez tęskliwe
Charon jeziora wiezie? i napawa zdrojem
Niepomnym, że ty nie wiesz nic o płaczu moim?
Czy człowieka zrzuciwszy, i myśli dziewicze,
Wzięłaś na się postawę i piórka słowicze?
Czyli się w czyścu czyścisz: jeśli z strony ciała
Jakakolwiek zmazeczka na tobie została?
Czyś po śmierci tam poszła, kędyś pierwéj była,
Niżeś się na mą ciężką żałość urodziła?
Gdzieśkolwiek jest, jeśliś jest, lituj méj żałości,
A nie możeszli w onéj dawnéj swéj całości,
Pociesz mię jako możesz, a staw się przedemną,
Albo snem, albo cieniem, lub marą nikczemną!

Żal II.

Żaden ojciec podobno bardziéj nie miłował
Dziecięcia, żaden bardziéj nad mię nie żałował.
A też ledwie się kiedy dziecię urodziło,
Coby łaski rodziców swych tak godne było:

Ochędożne, posłuszne, karne, niepieszczone,
Śpiewać, mówić, rymować, jako co uczone;
Każdego ukłon trafić, wyrazić postawę,
Obyczaje panieńskie umieć, i zabawę:
Roztropne, obyczajne, ludzkie, nierzewliwe [1]),
Dobrowolne, układne, skromne i wstydliwe.
Nigdy ona poranu karmie nie wspomniała [2]).
Aż pierwéj Bogu swoje modlitwy oddała;
Nie poszła spać, aż pierwéj matkę pozdrowiła,
I zdrowie rodziców swych Bogu poruczyła.
Zawsze naprzeciw ojcu wszystkie przebyć progi,
Zawsze się uradować, i przywitać z drogi.
Każdéj roboty pomódz, do każdéj posługi
Uprzedzić było wszystkie rodziców swych sługi.
A to w tak małym wieku sobie poczynała,
Że więcéj nad trzydzieści miesięcy nie miała.
Tak wielu cnót jéj młodość, i takich dzielności
Nie mogła znieść: upadła od swojéj bujności,
Żniwa nie doczekawszy. Kłosie mój jedyny,
Jeszcześ mi był nie dojrzał, a ja twéj godziny
Nie czekając, znowu cię w smutną ziemię sieję,
Ale pospołu z tobą grzebię i nadzieję:
Bo już nigdy nie wnidziesz, ani przed mojema,
Wiekom wiecznie zakwitniesz smutnemi oczema!

Żal III.

Pańska ręka mię dotknęła,
Wszystkę mi radość odjęła:
Ledwie w sobie czuję duszę,
I tę podobno dać muszę.

Lubo wstając gore jaśnie,
Lubo padnąc słońce gaśnie:
Mnie jednako serce boli,
A nigdy się nie utoli! [3])

Oczu nigdy nie ususzę,
I tak wiecznie płakać muszę,
Muszę płakać: o mój Boże!
Kto się przed tobą skryć może?

Próżno morzem nie pływamy,
Próżno w bitwach nie bywamy:

1) Nie płakujące, nie dziwaczne.
2) Nigdy rano Orszulka nie żądała śniadania pierwéj, nim zmówiła paciorek.
3) Nie utuli.

Ugodzi nieszczęście wszędzie,
Choć podobieństwa nie będzie.

Wiodłem swój żywot tak skromnie,
Że ledwie kto wiedział o mnie:
A zazdrość i złe przygody,
Nie miały mi w co dać szkody.

Lecz Pan, który gdzie tknąć widzi,
A z przestrogi ludzkiéj szydzi,
Zadał mi raz [1]) tym znaczniejszy,
Czymem już był bezpieczniejszy.

A rozum który w swobodzie,
Umiał mówić o przygodzie [2]),
Dziś ledwie sam wie o sobie:
Tak mię podparł w méj chorobie!

---

1) Uderzenie, przygoda.

2) Umiał pierwéj, przed stratą Orszulki, pocieszać w smutku drugich Kochanowski; piękną, pocieszającą ułożył pieśń „*O śmierci Jana Tarnowskiego*," owego sławnego hetmana, w któréj bardzo wymownie uspokaja syna po stracie ojca. — Nim głęboki żal i ciężki smutek zamieszkał w Czarnolesiu, ułożył Jan Kochanowski pieśń: „*Nadziei nie trzeba tracić*," którą to pieśń wszyscy prawie znają i powtarzają; choć kilka zwrotek z niéj wam przytoczę, bo o niéj niezawodnie myślał poeta, kiedy napisał sam o sobie: „Rozum w swobodzie umiał radzić o przygodzie."

Nie porzucaj nadzieje,
Jakoć się kolwiek dzieje:
Bo nie już słońce ostatnie zachodzi,
A po złéj chwili piękny dzień przychodzi.

Patrzaj teraz na lasy,
Jako przez zimne czasy,
Wszystkie swą krasę drzewa utraciły,
A śniegi pola wysoko przykryły.

Po chwili wiosna przyjdzie,
Ten śnieg znienagła zejdzie,
A ziemia skoro słońce jéj zagrzeje,
W rozliczne barwy znowu się odzieje.

Nic wiecznego na świecie:
Radość się z troską plecie;
A kiedy jedna weźmie moc największą,*)
Wtenczas masz ujrzeć odmianę najprętszą.

Ty nic miéj za stracone,
Co może być wrócone:
Siła Bóg może wywrócić w godzinie,
A ktomukolwiek ufa, nie zginie.

---

*) Największą.

A ja zatém łzy niech leję,
Bom stracił wszystkę nadzieję,
By mię rozum miał ratować! —
Bóg sam mocen to hamować.

Żal IV.

My nieposłuszne, Panie, dzieci twoje,
W szczęśliwe czasy swoje
Rzadko cię wspominamy,
Tylko rozkoszy zwykłych używamy.

Nie baczym, że to z twéj łaski nam płynie:
A także prędko minie,
Kiedy po nas wdzięczności
Nie uznasz, Panie, za twe życzliwości.

Miéj nas na wodzy, niech nas nie rozpycha
Doczesna roskosz licha:
Niechaj na cię pomniemy,
Przynajmniéj w kaźni, gdy w łasce nie chcemy.

Ale ojcowskim nas karz obyczajem,
Boć przed twym gniewem roztajem:
Tak jako śnieg niszczeje,
Kiedy mu słońce niebieskie dogrzeje

Zgubisz nas prędko, wiekuisty Panie,
Jeśli nad nami stanie
Twa ciężka Boska ręka!
Sama niełaska jest nam sroga męka.

Ale od wieku twoja litość słynie:
A pierwéj świat zaginie,
Niż ty wzgardzisz pokornym,
Chocia był długo przeciw tobie spornym.

Wielkie przed tobą są występy moje:
Lecz miłosierdzie twoje
Przewyższa wszystkie złości,
Użyj dziś Panie nademną litości!

Głos z Nieba.

W niebie szczere roskosze, a do tego wieczne,
Od wszelakiéj przekory wolne i bezpieczne.
Tu troski nie panują, tu pracy nie znają,
Tu nieszczęście, tu miejsca przygody nie mają.

Tu choroby nie najdzie, tu nie masz starości,
Tu śmierć łzami karmiona nie ma już wolności,
Żyjem wiek nieprzeżyty, wiecznie używamy
Dobréj myśli: przyczyny wszystkich rzeczy znamy.
Słońce nam zawsze świeci, dzień nigdy nie schodzi,
Ani za sobą nocy niewidoméj wodzi.
Twórcę wszech rzeczy widzim w jego majestacie,
Czego wy w ciele będąc próżno upatrzacie.
Tu wczas obróć swe myśli, a chowaj się na te
Nieodmienne, synu mój, rozkosze bogate! —

Pieśń poranna.

(Franciszka Karpińskiego.)

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywiół wszelki:
Bądź pochwalon, Boże wielki!

A człowiek, który bez miary
Obsypany Twemi dary,
Coś go stworzył i ocalił,
A czemużby Cię nie chwalił?

Ledwie oczy przetrzeć zdołam,
Wnet do mego Pana wołam,
Do mego Boga na niebie,
I szukam Go koło siebie.

Wielu snem śmierci upadli,
Co się wczora spać pokładli;
My się jeszcze obudzili,
Byśmy Cię Boże chwalili.

Pieśń wieczorna.

(Franciszka Karpińskiego.)

Wszystkie nasze dzienne sprawy
Przyjm litośnie, Boże prawy,
A gdy będziem zasypiali,
Niech Cię nawet sen nasz chwali!

Twoje oczy obrócone
Dzień i noc patrzą w tę stronę,
Gdzie niedołężność człowieka
Twojego ratunku czeka!

Odwracaj nocne przygody,
Od wszelakiéj broń nas szkody,
Miéj nas wiecznie w Twojéj pieczy,
Stróżu i sędzio człowieczy!

Kolęda.

(T. L.)

Mizerna, cicha,
Stajenka licha,
Pełna niebieskiéj chwały:
Oto leżący,
Przed nami śpiący,
W promieniach Jezus mały.

Nad nim anieli,
W locie stanęli,
I pochyleni klęczą:
Z włosy złotemi,
Z skrzydły białemi,
Pod malowaną tęczą.

Wielkie zdziwienie,
Wszelkie stworzenie,
Cały świat orzeźwiony;
Mądrość mądrości,
Światłość światłości,
Jezus wcielony.

I oto mnodzy,
Ludzie ubodzy,
Radzi oglądać Pana;
Pełni natchnienia,
Pewni zbawienia,
Upadli na kolana.

Oto Maryja,
Czysta lilia,
Przy niéj staruszek drżący,
Stoją przed nami,
Przed pastuszkami,
Tacy uśmiechający!

Długo czekali,
Długo wzdychali,
Aż niebo rozgorzało:
Piekło zawarte,
Niebo otwarte,
Słowo ciałem się stało.

Śpi jeszcze senne
Dziecię promienne,
W ciszy ubogiéj strzechy;
Na licach białych,
Na ustach małych,
Migają się uśmiechy.

Jako w kościele,
Choć ludzi wiele,
Cisza pobożna wieje;
Oczy się roszą,
Dusze się wznoszą,
Płyną w serca nadzieje.

Lulaj dziecino,
Lulaj ptaszyno,
Nasze umiłowanie;
Gdy się rozbudzi,
W téj rzeszy ludzi
Zbawienie nam się stanie.

Héj ludzie prości!
Bóg z nami gości,
Skończony czas niedoli.
On daje siebie,
Chwała na niebie,
Pokój ludziom dobréj woli!

Radość na ziemi,
Bo nad wszystkimi
Roztacza blask rumiany.
Przepaść rozwarta,
Upadek czarta,
Zstępuje Pan nad Pany.

Pieśń o Najświętszéj Pannie Częstochowskiéj.

Witaj Jutrzenko rano powstająca,
Śliczna jak miesiąc, jak słońce świecąca,
Ty świecisz w miłéj światu Częstochowie,
Gdzie czołem biją świata monarchowie.

Tobie z dwunastu gwiazd koronę dano,
Panią Cię świata wszystkiego nazwano!
Na Jasnéj Górze, jaśniejszéj nad słońce!
Tu lud upada do nóg swéj patronce.

Pocieszycielko ludzi utrapionych,
Do Ciebie, Panno, w nędzach niezliczonych,

Lud się ucieka i prosi serdecznie,
By za przyczyną Twoją żył bezpiecznie.

Pamiętaj, Panno, na polską koronę,
Którąś raz wzięła pod swoję obronę,
Wszakżeś jest polską, Maryo, królową,
Któréj Bóg oddał za tron Częstochową.

Tam Twoje serce, kędy skarb przebywa,
Gdzie królewski stół Twój obraz nakrywa;
Niech odrobiny z niego nam spadają,
Twoi synowie niech głodu nie znają!

Otwórz twój skarbiec, niech mamy twe dary,
Któreś tu synom dawała bez miary;
Niech dziatki Twoje doznają Twéj mocy,
Strzeż nas, o Panno, jak we dnie, tak w nocy!

Lubośmy Boga ciężko rozgniewali,
Jednakżeśmy się do Ciebie udali;
Obróć na nas Twe miłosierne oczy,
Niech nieprzyjacieciel od Twych sług wyboczy!

Zastaw nas, Matko, Twojemi piersiami,
I Syn Twój niech nas zasłoni ranami,
Niechaj gniew Boski w miłość się obróci,
Z złotym pokojem ku nam się nawróci.

A my Cię za to, ludzie utrapieni,
Gdy będziem przez Cię Panno pocieszeni,
Wychwalać będziem tu, póki żyjemy,
A potem wiecznie, gdy w Bogu zaśniemy.

Do Najśw. P. Maryi Ostrobramskiéj.

(Przez Karolinę Proniewską.)

Po nad Anielskie chóry wzniesiona,
Siedem promieni płynie Ci z łona,
Serce Twe wieczną miłością pała,
Jaśniéj nad słońce odziana cała.
W gwiaździstym wieńcu, Boska Dziewico,
Trójcy Najświętszéj Oblubienico,
Lilij białych wonią owiana,
Jaśniejesz Matko Niepokalana,
W Stolicy wiecznéj z Swym Synem w Niebie,
Bogarodzico, wielbimy Ciebie!

Jasny Twój obraz, Matko jedyna,
Od wieków zdobi gród Gedymina,
Ciebie serdeczne ludu modlitwy
Wielbią Królową i Matką Litwy.
Z miłością wieczną rządź dziećmi Twemi,
Błogosław wszystkim wiernym na ziemi;
Bądź Matką ludu w każdéj krainie,
Gdzie z wiarą świętą Twe Imię słynie.

Modlitwa wiosenna.

Ojcze nasz! Ojcze! znowu dajesz wiosnę,
Znów skarby sypiesz dłonią Twą rozrzutną!
Wszystko do koła wesołe, radosne —
Ale nam, Ojcze! nam... smutno!
Śnieżne zimowe gdzieś przepadły chmury,
Już niebo żywszą barwą błękitnieje,
Trawka kiełkuje i pnie się do góry —
Z nią razem nasze nadzieje!
Ziemia odżyła — słychać ptasząt piosnki:
Bo zbawczą rosę dały im niebiosy. —
Panie! a naszych nadziei pierwiosnki
Czyż jeszcze zwiędną bez rosy?
Zamorska ptastwa skończyła się jazda,
Wraca, i zdala już radośnie nóci!
A my tułacze — do swojego gniazda
Czyliż z nas który powróci?
Już nowe słońce dla świata się pali,
Wszystko ożywia potęgą tajemną; —
My!... ni promyka dotąd nie dostali!...
Ciemno nam Ojcze! och! ciemno!
Tóż póki siły, póki tchu nam stanie,
Póki męczarniom nie wymodlim końca,
Głosem milionów wołamy: O! Panie!
Słońca nam! słońca! ach! słońca!

O dobroci Boga.

Czego chcesz od nas Panie, za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.

Złota też, wiem, nie pragniesz: bo to wszystko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.

Wdzięczném Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
Bo nad Cię przystojniejszéj ofiary nie mamy.

Tyś Pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbudował,
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował.
Tyś fundament założył nieobeszłéj ziemi,
I przykryłeś jéj nagość zioły rozlicznemi.

Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przeskoczyć się boi.
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień, a noc ciemna, swoje czasy znają.

Tobie kwoli, rozliczne kwiatki wiosna rodzi:
Tobie kwoli, w kłosianym wieńcu lato chodzi:
Jesień wino i jabłka rozmaite dawa,
Potem do gotowego gnuśna zima wstawa.

Z Twéj łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,
A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie.
Z Twoich rąk wszelkie zwierze patrzy swéj żywności,
A Ty każdego żywisz z Twéj szczodrobliwości.

Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!
Twoja łaska, Twa dobroć, nigdy nie ustanie.
Chowaj nas póki raczysz na téj nizkiéj ziemi,
Jedno niech zawsze będziem pod skrzydłami Twemi.

Modlitwa o deszcz.

Wszego dobrego dawco i szafarzu wieczny!
Tobie ziemia spalona przez ogień słoneczny
Modli się dżdża, i smętne zioła pochylone,
I nadzieja oraczów, zboża upragnione.

Ściśnij wilgotne chmury świętą ręką swoją,
A one suchą ziemię i drzewa napoją
Ogniem zjęte. O który z suchéj skały zdroje
Niesłychane pobudzasz, okaż dary swoje!

Ty nocną rosę spuszczasz, Ty dostatkiem hojnym
Żywéj wody dodawasz rzekom niespokojnym.
Ty przepaści nasycasz, i łakome morze:
Ztąd gwiazdy żywność mają i ogniste zorze.

Kiedy Ty chcesz, wszystek świat powodzią zatonie,
A kiedy chcesz, od ognia, jako pióro spłonie.

Hymn do Boga.

(J. Kochanowskiego.)

Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże!
Kto się Twym sprawom wydziwować może?
Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony?
Gdziekolwiek słońce rzuca strzały swoje,
Po całym świecie słynie Imię Twoje,
A sławy — niebo ogarnąć nie może
Twéj, wielki Boże!
Twój czyn jest niebo, Twoich rąk robota
Gwiazdy te w górze jaśniejsze od złota;
Ty w nocy śliczném światłem zdobisz wdzięczne
Koło miesięczne!
A człowiek czém jest? Wszak Ty niestworzony,
Wszystkiego twórca i pan niezmierzony,
Raczysz nań pomnieć. Czemu syn człowieczy
Godzien Twéj pieczy?
Dałeś w moc jego wszystkie bydła polne,
Dałeś i leśne zwierzęta swawolne.
On na powietrzu ptastwem, pod wodami
Władnie rybami.
Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże!
Kto się Twym sprawom wydziwować może?
Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony? —

Psalm XXVIII.

Ad te Domine clamabo, Deus meus ne sileas.

Królu niebieski, zdrowie dusze mojéj,
Do Ciebie wołam: a Ty twarzy swojéj
Nie kryj przedemną, albo mię już z temi
Licz, co są w ziemi.
Słysz prośby moje, które w każdéj dobie
Posyła człowiek żałosny ku Tobie,
Z płaczem podnosząc ręce ku jasnemu
Domowi Twemu.
Nie kładź mię w poczet z ludźmi nieprawemi,
Nie zatracaj mię pospołu z grzesznemi,
Którzy językiem chęć opowiadają,
Sercem zdradzają.
Zapłać im wedle ich uczynków, Panie,
Uczyń nagrodę, która za ich stanie.
Niech łaskę, jaką zasłużyli sobie,
Znają po Tobie.

Nie chcą rozumieć Pańskiéj rady twojéj,
Że mię podwyższasz Ty sam z łaski swojéj:
Przeto je zniszczysz: a za twoją raną
Już nie powstaną.
Panu bądź chwała, u którego były
Ważne me prośby: to tarcz, to me siły:
Ktemu się zawżdy moje serce kłoni,
A on mię broni.
Ztąd duszy mojéj wesela dostawa,
Ztąd lutnia moja Panu chwałę dawa.
Pan lud swój chowa, Pan jest nieprzebytem
Królowi szczytem*).
Miéj na swéj pieczy, Ojcze miłosierny,
Dziedzictwo swoje, i wszystek lud wierny:
Żyw je w dostatku, i w wadze u świata,
Na wieczne lata.

Psalm XCI.

Qui habitat in adjutorio Altissimi.

Kto się w opiekę poda Panu swemu,
A całém prawie sercem ufa jemu,
Śmiele rzec może: mam obrońcę Boga,
Nie będzie u mnie straszna żadna trwoga.

Ciebie on z łowczych usidleń wyzuje,
I w zaraźliwém powietrzu ratuje:
W cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie,
Pod jego pióry uleżysz bezpiecznie.

Stateczność jego, tarcz i puklerz mocny:
Za którym stojąc, na żaden strach nocny,
Na żadną trwogę, ani dbaj na strzały,
Któremi sieje przygoda w dzień biały.

Ztąd wedle ciebie tysiąc głów polęże,
Ztąd drugi tysiąc: ciebie nie dosięże
Miecz nieuchronny: a ty przecie swemi
Oczyma ujrzysz pomstę nad grzesznemi.

Iżeś rzekł Panu: Tyś nadzieja moja,
Iż Bóg najwyższy jest ucieczka twoja:
Nie dostąpi cię żadna zła przygoda,
Ani się najdzie w domu twoim szkoda.

Aniołom swoim każe cię pilnować,
Gdziekolwiek stąpisz: którzy cię piastować

*) Tarczą.

Na ręku będą, abyś idąc drogą,
Na ostry kamień nie ugodził nogą.

Będziesz po żmijach bezpiecznie gniewliwych
I po padalcach deptał niecierpliwych:
Na lwa srogiego bez obrazy wsiędziesz,
I na ogromnym smoku jeździć będziesz.

Słuchaj, co mówi Pan: „iż mię miłuje
A przeciwko mnie szczerze postępuje;
Ja go też także w jego każdą trwogę
Nie zapamiętam, i owszém wspomogę.

Głos jego u mnie nie będzie wzgardzony,
Ja z nim w przygodzie, odemnie obrony
Niech pewien będzie, pewien i zacności,
I lat sędziwych, i méj życzliwości.“

Psalm CXXXVII.

Super flumina Babilonis.

Siedząc na nizkich brzegach Babilońskiéj wody,
A na piękne Syońskie wspominając grody;
Co nam inszego czynić, jedno płakać smutnie,
Powieszawszy po wierzbach niepotrzebne lutnie.

Lecz poganin niebaczny, w téj naszéj żałobie,
Przed się piosnkę Syońską każe śpiewać sobie.
Prze Bóg! jako to ma być, aby pieśni Pańskich
Głos kiedy miał być słyszan w krainach pogańskich?

Jeźlibych cię zapomniał, o kraino święta,
Niech moja swéj nauki ręka zapamięta:
Niechaj mi język uschnie, kiedy cię przepomnię,
Kiedy cię na początku wesela nie wspomnię.

Pomnij, wszechmocny Panie, co nam wyrządzali
Edomczycy; jako w nasz ciężki dzień wołali:
„Zagubcie ten zły naród, ogniem miasto spalcie,
A ich mury do gruntu samego rozwalcie!“

Ale i ty Babilon, strzeż dobrze swéj głowy,
Bo już wisi upadek nad tobą gotowy:
Szczęśliwy, któryć za nas odmierzy twe winy.
A o skałę roztrąci twe nieszczęsne syny!

B.

Poezya epiczna

czyli

opisowa.

1. Obrazki i Powiastki.

Wiosna.

(Przez T. Lenartowicza.)

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody,
I rzeka porusza się gładko;
Jaskółki szczebiocąc, wybiegły z pod wody,
Całe ich unosi się stadko.
Kręcą się, wiją się, to niżéj, to wyżéj,
Nad czystą jak kryształ rzeczułką;
A coraz to szybciéj, a coraz to chyżéj,
A w kółko, a w kółko, a w kółko.
Na brzegu zielonym, na bujnéj, na trawce
Pasą się dwie krówki, baranek,
A pastuch przygrywa na długiéj ligawce,
I słonko przygrzewa w poranek.
Przelotny wiaterek to trawką zawichrzy,
To w trzcinę, w tatarak się wkradnie,
Zakłóci, zamąci, i cichszy, i cichszy,
W zielonym gaiku przepadnie.
Ligawka przycichnie — to dzwonek z kościółka,
Z za lasu, z daleka zadzwoni;
A dzwonek zamilknie, to złota mi pszczółka
Zabrzęczy na kwietnéj na błoni;
A pszczółka przysiędzie na świeży sasanek,
To piosnka dziewczęcia drzy w wietrze.
O! Boże mój drogi — w wiosenny poranek
Jak wszystko i świeższe i letsze.

Ja siedzę pod lipą odwieczną, schyloną,
Co ledwie że w pączki rozpuka;
I słucham jak w lesie pod sosny koroną,
Kukułka wciąż kuka i kuka.
Kukułko! kukułko! a dużo tam jeszcze,
A dużo naliczysz mi latek?.....
O ptasze ty moje! o ptasze ty wieszcze,
I kiedyż tam będzie ostatek?.....

Już dziesięć, dwanaście, i jeszcze wciąż dzwoni,
Za wiele, moja ty ptaszyno! —
— Nie bój się, nie wiele — w ojczystéj ustroni,
Twe lata jak woda przepłyną.
. . . . . .

Lato.

(Przez T. L.)

Bławatki, kąkole zbielały od słońca,
Gdzie niegdzie się tylko niebieszczą;
A polne koniki we zbożu bez końca
Zwyczajną piosenkę szeleszczą.
Maleńka przepiórka już woła z pod prosa:
Pójdźcie żąć, pójdźcie żąć, co żywiéj!
Bo jeśli w pogodę nie puści się kosa,
To potem się słota sprzeciwi. —
Bóg zapłać przepiórko! twój głosik kochany
Wesoło przypada mi w ucho;
Pójdź koso z komory, pójdź sierpie ze ściany:
Bo w chacie wieśniaka już krucho.
Pocieszcie się dzieci, chléb będzie, chléb nowy,
Nasz chlebek kochany, dar boży;
Matuchna upiecze i na stół dębowy
Jak słońce bochenek położy. —
Wychodzim na kośbę wesołą gromadką:
Chłopaki, dziewczęta, jak róże;
O! chwałaż Ci Boże za nowe za latko.
Hej! chłopcy, dziewczęta, a nuże!
Brzęk brzęku, brzęk brzęku, pospiesznie a chyłkiem.
Śmiech słychać, spłoszyli zająca,
I oto się bielą nad rannym posiłkiem
Pod gruszą, co chroni od słońca.
A niebo tak równe, jakby je wygładził,
A słońce tak jasne, choć małe;
A w łąkach tak kwiecia, jak gdyby nasadził,
Czerwone, niebieskie i białe.

Lato.

(Przez J. Kochanowskiego.)

Gorące dni nastawają,
Suche role się padają,
Polny świercz, co głosu staje,
Gwałtownemu słońcu łaje.

Już mdłe bydło szuka cienia,
I ciekącego strumienia;
I pasterze chodzą za niem,
Budzą lasy swojem graniem.

Żyto się w polu dostawa,
I swoją barwą znać dawa,
Iż już niedaleko żniwo:
Miéj się do sierpa co żywo.

Sierpa trzeba oziminie,
Kosa się zejdzie jarzynie;
A wy młodszy noście snopy,
Drudzy układajcie w kopy.

Gospodarzu nasz wybrany,
Ty masz mieć wieniec kłosiany:
Gdy w ostatek zboża zatnie
Krzywa kosa, już ostatnie.

A kiedy z pola zbierzemy,
Tam dopiero odpoczniemy,
Dołożywszy z wierzchem broga:
Już więc dzieci jedno[1]) Boga.

Jesień.

(Przez T. L.)

Jabłonka i grusza podpórek aż proszą,
Tak na nich i jabłek i gruszek;
Podpórki dziewczątka z podwórka przynoszą,
Gdzie struże dziadulo staruszek.
Gdy spojrzę na dziadka jak z niemi się bawi,
Jak zawsze szczęśliwy jednako:
To cichą modlitwą źrzenica się łzawi,
O! Boże daj starość mi taką.

Na polu omgloném, jak oko zasięga,
Skończone ostatnie roboty;
I cisza w około, a gąsior gdzieś gęga,
I ziemia już tylko a płoty;
Po drodze to wózek podróżny zadudni.
To bydle się przemknie u rowu;
To żóraw wysoki zaskrzypi u studni,
I spokój rozsiada się znowu.
Brat w małym ogródku motyką coś kopie,
Dziadulo wciąż struże i struże,
Dwie siostry przed chatą trą białe konopie
A klekot odbija podwórze.

Jesień.

(Przez T. L.)

Już jesień dżdżysta:
Liść spada z drzewa.
W nagich gałęziach
Ptaszek nie śpiewa.
Pod stopą liście
Szronem zwarzone,

Jak dni młodości
Marnie stracone.
Bezbarwne, suche,
Wiotkie i kruche
Płochy wiatr niesie
Po ciemnym lesie.

---

[1]) Tylko.

A drzewa, drzewa,
Ludziom podobne,
Bezlistne, zmokłe,
Jakieś żałobne,
Czarne w niebiosa
Wznoszą konary,
Jak człek, co wraca
Na drogę wiary!

Zima.

(Przez T. L.)

Bocianie gniazdo,
Zębata brona,
Na wierzchu drzewa
Osamotniona.
O! nago, chłodno,
I nic już niema:
Mroźna, pogodna
Nadchodzi zima.
Jak brylantowe
Drzewa się świecą,
Pyłki srebrzyste
W powietrzu lecą.
Zamarzły wody,
Białe zagony;
Po drodze głodne
Włóczą się wrony.
Śniegi ubite
Pod nogą skrzypią,
A wiatry szczypią
Lice odkryte.
Więc się na komin
Drzewa nakłada,
I z świętą księgą
Przed ogniem siada.
Dwa psy ogary
Przyległszy blisko,
Drzemią spokojnie,
Patrząc w ognisko.

To płomień buchnie,
To iskra pryśnie,
Szabla na ścianie
W półksiężyc błyśnie.
Na okna kwiaty
Zaszły śnieżyste,
Na które miesiąc
Promienie czyste
Rzuca z wysoka
I brylantuje,
Na szklistéj kanwie
Srebrem haftuje.
Izba w pół cieniu,
Wszystko w uśpieniu.

Cisza w około!
Tylko piosenka
Z chałup gdzie drobne
Świecą okienka,
Jakby z za świata
Do mnie dolata.

Tam prządki ciągną
Pod strzechą starą
Ze lnu, konopi,
Długą nić szarą;
A z serca ciągną
Nici srebrzyste:
Długie powieści,
Pieśni ojczyste:
To o księżniczce
Zaczarowanéj,
Niby o naszéj
Polsce kochanéj;
To jak pan Jezus
W ludzkiéj postaci,
Wchodzi do chatek,
Do prostych braci,
I między dzieci
Trzodkę maleńką,
Rozdziela dary
Najświętszą ręką.

Zima

(Przez T. L.)

Na ziemię, jakby całun, śnieżna padła szata,
Złoty blask słońca czarne przesłoniły chmury;
Wszystkie kwiaty powiędły — i gaj już ponury:
Bo w nim umilkła ptasząt gromada skrzydlata!
Ale nie długo wiosna na ziemię powróci,
Słońce ją opromieni i ze snu ocuci,
Niebo znów przyoblecze swą szatę błękitną;
Słowik zacznie piosenkę, i róże rozkwitną
Pośród szmaragdowego młodych łąk kobierca!
— A mnie, czyż nowa wiosna zawita do serca? —

Cztery pory roku.

(Przez Adama Naruszewicza.)

Wiosna.

O jak wesołe nastały czasy,
W śliczną się barwę przybrały lasy,
Słońce się coraz wyżéj pomyka,
Ledwo śnieg widać, lecz i ten znika.

Szumny Akwilon skrzydły mroźnemi
Gdzieś do Lapońskiéj zaleciał ziemi;
A lekki Zefir na lekkich cugach
Po rozłożystych sieje kwiat smugach.

Słodki szum czynią, gdy wiatr powiewa
Papużym liściem ozdobne drzewa;
Gdziekolwiek pójdziesz, wiosenne dzwonki.
Kwilą piskliwym głosem skowronki.

Tu wełnonośnych owiec drużyna
Młodziuchne trawy ząbkami ścina;
Owdzie z wiernemi u nóg ogary
Nadyma pasterz huczne fujary.

Wisła okowy zdarłszy warowne,
Pędzi do morza statki ładowne;
Czeka gospodarz, by mu za żyto
Hollender złotą brząknął kalitą.

Daléj do pługów uprawiać ziemię,
Daléj do wołów robocze plemię;
Gdy nie zasiejem za dobréj chwili,
Przez całą zimę będziem pościli.

Lato.

Patrz, jak na środek wzbiwszy się nieba
Ogniem tchną żywym rumaki Feba;
Trudno się ukryć, gdzieby upały
Okrutne z góry nie dosięgały.

Pełne wód przedtém płynących rączo
Ledwo się miałkiém dnem rzeki sączą;
A gdzie koń bystry ledwo wpław chodził,
Widziałem, jako lada pies brodził.

Smutne kwiateczki ze mdłemi ziółki
Zwiędłe ku ziemi chylą wierzchołki,
Czekając, rychło z różanéj dłoni
Perłowéj rosy Hesper[1]) uroni.

Zemdlony żniwiarz upałem srogiém
Dysze w południe, leżąc pod brogiem;
Zamilkły wdzięczne ptasząt okrzyki,
Tylko się w chróstach swarzą koniki.

---

[1]) Wieczór.

Często skopcone mglistemi kiry
Ciska grad niebo i ogień szczéry,
Dnia za chmurami nie widać we dnie,
Wszystko od trwogi stworzenie blednie.

A ja pod moim słomianym dachem
Starym się wesół posilam Bachem.
Niechaj się niebo, jako chce, sroży,
Czystego serca nic nie zatrwoży.

Jesień.

Minęły słońca letniego skwary,
Łaskawa jesień dzieli swe dary:
Gdziekolwiek tylko wzrok się mój toczy,
Jest czém ucieszyć i napaść oczy.

Ciągną na wozach ogromne woły
Snopki, któremi rwą się stodoły;
Wesołe dziewki, raźni młodzieńce
Niosą śpiewając do dworu wieńce.

Nie dba na żądła brzmiącéj chałastry
Chłop, podcinając z kanaru[1]) plastry.

A w spore beczki i duże kadzie
Wdzięczny pijakom prowiant kładzie.

Rozlicznych wetów moc niezliczona
Łamie ciężarem drzewom ramiona;
Żaden nie sięga, żaden nie szczypie,
Sam dobrowolnie owoc się sypie.

Masz, gospodarzu, zapłatę za to,
Żeś przepracował wiosnę i lato:
Ciesz się z czeladką; a kto próżnuje,
Niech głodny gardziel piaskiem ładuje.

Zima.

Roskoszna chwilo jesiennéj pory,
Którą bieg czasu już porwał skory,
O ktoby mi dał skrzydła tak lotne,
Bym mógł twe cofnąć cugi niezwrotne.

Jako spuszczony z tęgiéj cięciwy
Do celu pocisk leci pierzchliwy;
Tak, co mię cieszy wdzięcznym widokiem,
Niedoścignionym zniknął czas krokiem.

Od północnego ostry Boota[2])
Gwiżdże wiatr w uszy i śniegi miota,
Ledwo w południe ciepło Tytana[3])
Czuć, który w lecie ogniem tchnął z rana.

Rącze kryształów wodnych woźniki[4])
Noszą na grzbietach ładowne bryki;
Umilkł gwar miłych ptasząt pieszczony,
Same po dachach wrzask czynią wrony.

Lecz mię to przecie nie tak dolega,
Że śliczna pora od nas odbiega;
Nadejdzie znowu, jak miną lody,
Czas, co osypie kwieciem ogrody.

Ale na ciebie, nędzny człowiecze,
Gdy się starości zima przywlecze,
Zetnie krew w żyłach, nabawi szronu,
Nie spędzisz śniegu z włosów do zgonu.

---

1) Z cukru, który na wyspach kanaryjskich najprzód robić poczęto.

2) Bootes czyli Arktophylax, gwiazda blisko konstellacyi niedźwiedziem zwanéj, od północy.

3) Feba, słońca.

4) Rzeki.

Wieczór na wsi.

(Przez Brodzińskiego.)

Dzień rumiany spuścił oczy,
Cień kwitnące krzewy mroczy.
Po wsi ściągają się dziatki,
Niosąc jagody i kwiatki.
Tam pasterka w głębi sioła
Błędnéj krówki na noc woła.
Słońce za lasy uchodzi,
Bramy złocone odwodzi.
Koń opuszcza żółte łany,
Wraca miedzą popętany.
Grusze co w polu się bielą,
Długi ku drodze cień ścielą.
Już zaporą skrzypła chatka,
Gdzie przy dziatwie sama matka.
Pastuch do stawu wesoły
Krówki zagania i woły.
Ptaszek śpiewem utrudzony
Już się zniża na zagony.
Rolnik co razem z nim nucił,
Pole z wołami porzucił.
Żebrak który koło włości
Wołał we dnie do litości,
Już się w spoczynek udaje,
Śpiewa nabożnie przez gaje.

Na kościołku krzyż blaszany,
Błyszczy blaskiem zórz oblany,
Ptaszki ruszyły się z wieży,
Dzwonka wołanie się szerzy.
Z pola idąc z wiązką siana,
Pada matka na kolana,
Z dzwonkiem pod nieba sklepienie
Maryi szle pozdrowienie.
Wzniosła lipa przy kościele
Długi cień na pole ściele.
Jakoby łzami żałoby
Rosa upada na groby.
Krzyż spróchniały pochylony,
Nad mogiłą wyniesiony.
Wiatr chorągiewką kołysze,
Smutną przerywa zaciszę.
Za parkanem między krzewy,
Zaczął słowik smutne śpiewy.
Kwiatkom drzemiącym na łące,
Świecą robaszki błyszczące.
Na pagórku po nad łany,
Stoi prosty słup drewniany;
Na nim w cierniowéj koronie
Zbawca świata skłonił skronie.

Pieśń Świętojańska o Sobótce.

(Jana Kochanowskiego.)

Gdy słońce Raka zagrzewa,
A słowik więcéj nie śpiewa,
Sobótkę, jako czas niesie,
Zapalono w czarnym lesie.

Tam goście tam i domowi
Sypali się ku ogniowi;
Bąki zaraz troje grały,
A sady się sprzeciwiały.

Siedli wszyscy na murawie,
Potem stało sześć par prawie
Dziewek jednako ubranych,
I bylicą przepasanych.

Wszystkie śpiewać nauczone,
W tańcu także nie zganione:
Więc koleją zaczynały,
A pierwszéj tak począć dały.

I.

Siostry! ogień napalono,
I placu nam postąpiono:
Czemu sobie rąk nie damy,
A społem nie zaśpiewamy?

Piękna nocy, życz pogody,
Broń wiatrów i nagłéj wody;
Dziś przyszedł czas, że na dworze
Mamy czekać rannéj zorze.

Tak to matki nam podały,
Same także z drugich miały,
Że na dzień świętego Jana
Zawżdy Sobótka palana.

Dzieci, rady méj słuchajcie,
Ojcowski rząd zachowajcie:
Święto niechaj świętem będzie,
Tak bywało przedtém wszędzie.

Święta przedtém ludzie czcili,
A przedsię wszystko zrobili;
A ziemia hojnie rodziła,
Bo pobożność Bogu miła.

Dziś bez przestanku pracujem,
I dniom świętym nie folgujem:
Więc też tylko zarabiamy,
Ale przedsię nic nie mamy.

Albo nas grady porażą,
Albo zbytnie ciepła każą;
Co rok słabsze urodzaje,
A zła drogość zatem wstaje.

Pracuj we dnie, pracuj w nocy,
Próżno bez Pańskiéj pomocy:
Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Na tego my wszystko włóżmy,
A z sobą sami nie trwóżmy:
Wrócąć się i dobre lata;
Jeszcze nie tu koniec świata.

A teraz ten wieczór sławny
Święćmy, jako zwyczaj dawny,
Niecąc ogień do świtania,
Nie bez pieśni, nie bez grania.

II.

Wsi spokojna, wsi wesoła,
Który głos twéj chwale zdoła?
Kto twe wczasy, kto pożytki
Może wspomnieć zaraz wszytki?

Człowiek w twéj pieczy uczciwie
Bez wszelakiéj lichwy żywie:
Pobożne jego staranie,
I bezpieczne nabywanie.

Insi się ciągną przy dworze,
Albo żeglują przez morze,
Gdzie człowieka wicher pędzi,
A śmierć bliżéj niż na piędzi.

Najdziesz kto w płat[1]) język dawa,
A radę na funt przedawa;
Krwią drudzy zysk oblewają,
Gardła na to odważają.

Oracz pługiem zarznie w ziemię:
Stąd i siebie, i swe plemię,
Stąd roczną czeladź i wszystek
Opatruje swój dobytek.

Jemu sady obradzają,
Jemu pszczoły miód dawają,
Nań przychodzi z owiec wełna,
I zagroda jagniąt pełna.

Wtem gospodarz wziąwszy siatkę,
Idzie mrokiem na usadkę;
Albo sidła stawia w lesie,
Jednak zawżdy co przyniesie.

W rzece ma gęste więcerze,
Czasem wędą ryby bierze,
A rozliczni ptacy wkoło
Ozywają się wesoło.

Stada igrają przy wodzie,
A sam pasterz siedząc w chłodzie,
Gra w piszczałkę proste pieśni,
A Faunowie skaczą leśni.

Za tem skrzętna gospodyni
O wieczerzy pilność czyni,
Mając doma ten dostatek,
Że się obejdzie bez jatek.

1) Kto słowa przedaje.

Ona sama bydło liczy,
Kiedy z pola idąc ryczy,
Ona i spuszczać pomoże;
Męża wzmaga jako może.

A niedorośli wnukowie,
Chyląc się ku starszéj głowie,
Wykną przestawać na male,
Wstyd i cnotę chować w cale! —

Wigilia.

(Przez T. L.)

I któż z nas nie wspomina owe dni szczęśliwe,
Owe radości w życiu jedyne, prawdziwe,
Kiedyśmy wybiegali w zimowe poranki,
Ślizgać się po jeziorze albo wozić sanki.
Pamiętacie tę szybę gładką, ściętą mrozem
Tak silnie że chłop po niéj mógł przejeżdżać wozem;
Jak przy bladych promieniach zamglonego słońca,
Lecieliśmy po lodzie w przestrzenie bez końca....
Pamiętacie Wigilią w miłych braci kole,
Na samo jéj wspomnienie skakało pachole.
Z jakąż niecierpliwością wyglądały dzieci,
Rychło na modrém niebie gwiazdeczka zaświeci!
Ileż to w owe czasy sprawiała uciechy
Choinka ze świeczkami, z złotemi orzechy,
Pełne rumianych jabłek cynowe półmiski,
Opłatki z których siostry lepiły kołyski!
Jakeśmy się cieszyli ujrzawszy przed świecą
Na opłatku Jezusa z przeczystą Dziewicą! —
Pamiętacie to wonne na ziemi posłanie,
Gdzie się dzieci swobodnie kulały po sianie,
A rodzice wróżyli z pszenicznego snopka,
O przyszłym urodzaju poczciwego chłopka.
A potem ledwie kogut, co z swego poddasza
Donośnem pieniem północ w chałupach ogłasza,
Uderzył się po bokach żółtemi skrzydłami,
Jak niesłychana radość podrzucała nami.
Biegliśmy na pasterkę, gdzie na wiejskim chórze
Śpiewaliśmy kolendy, jak skowronki w górze,
Spoglądając w okienka rychło anioł Boży
Wiecznéj jasności wrota gwiaździste otworzy,
I w blasku, jak oko wytrzymać nie zdoła,
Ukaże patryarchów i aniołów koła.

Pomnicie jak wróciwszy z kościoła nad ranem,
Paśliśmy bydło zdjętém z pod obrusa sianem,
Które téj jednéj nocy po oborach gwarzy
O losie swych poczciwych starych gospodarzy.

O jakże nas cieszyła owa z gwiazdką szopka,
I wesoła kolenda wiejskiego parobka,
Co przebrany za tura[1]) wtaczał się przez progi,
Konopną kiwał brodą i nadstawiał rogi,
I póty mruczał, niby od wielkiego głodu,
Póki mu nie wynieśli kołacza i miodu.

Ach i któżby zapomniał swe dziecinne lata,
W których mu była niebem rodzicielska chata.

Chłopek.

(Kazimierza Brodzińskiego.)

Rycerz to nie wielki,
Krajowi ubliża,
Który nad stan wszelki
Wieśniaka poniża.
Pracowity chłopek
I żywi i broni:
Żywi jego snopek,
I strzecha osłoni.
Ostrzem jego kosy
Ozłaca się ziemia;
On na niéj wnet kłosy,
Wnet wawrzyn rozplemia.
Z wołkiem on w pokoju
Uprawia nam błonie,
Na koniku w boju
Pośpiesza w obronie.
Te błyszczące grody,
Te pańskie pałace,
Jego to zachody,
I jego są prace.
Jego jest ciężarem,
Co lekko pan roni,
On na to pod skwarem
Z bydlęciem pot roni.
Z dziećmi on głodnemi
Te ziareczka zgania,
Które pan po ziemi
Za cacka roztrwania.
W pomoc kraju bieży
Za pańskiemi syny,
Wszędzie on należy,
Prócz zysku i winy.
Sam po tyléj stracie
Od nędzy nas chroni,
W swojéj tylko chacie
Jéj mieszkać nie wzbroni.
Rycerz to nie wielki,
Krajowi ubliża,
Który nad stan wszelki
Wieśniaka poniża.

Wiochna.

(T. Lenartowicza.)

Już słoneczko powstało
I przegląda się w rzece;
Oj na rosę, na białą,
Polecęż ja, polecę!
Jak to z brzozy płaczącéj,
Co wyrosła nad rzeką,
Krople rosy świecącéj
Zwieszają się i cieką.
Jakie jasne obłoki
Na niebieskim przestworze,
Jakie czyste potoki,
O mój Boże! mój Boże!...

---

1) Wół dziki.

Jaskółeczka przed bramą
Wciąż uwija się w kółko;
Ja nie jestem jaskółką,
A potrafię tak samo.
Teraz matki się boję,
Lecz niech ogień rozniecę,
Niechno krówki wydoję,
Polecęż ja, polecę!...

Jak to dobrze Bóg zrobił,
Że ten śliczny świat stworzył,
Tak cudnie go ozdobił,
Tyle kwiecia rozmnożył. —
I że mnie dał braciszka,
Z którym co dzień się pieszczę;
Pójdę cicho jak myszka
Zajrzeć czy też śpi jeszcze.
Śpi w kolebce; więc daléj,
Prędko ognia trza skrzesać;
Jak się ogień rozpali,
Pójdę włosy uczesać.
A robotaż to nudna,
Te warkocze do ziemi,
Plątanina och zmudna,
Tak tam bawić się z niemi....

Mateńka mi powiada,
Że ja wcale nie rosnę.
Niechno tylko popada
Ciepły deszczyk na wiosnę:
Niech ja na deszcz wyskoczę
A dobrze się przemoczę,
To nim skończy się burza
Już urosnę tak duża....

Pająk przędzie oj przędzie
Swoje szare włókienko;
I ja umię tak cienko,
I moje też tak będzie. —
Bo przecież ja coś umię:
Kądziel przędę i pielę,
I na książce rozumię
I zaśpiewam w kościele.

Jak zrobiłam w święcone
Prześlicznego baranka,
Co miał wełnę kręconą
I klęczące kolanka;
To się bardzo dziwiono,
Bo tak siedział jak żywy,
Jak baranek prawdziwy,
Z chorągiewką czerwoną.

A gaiki, a wianki
W listki srebrne i złote,
Jakie chcecie równianki
Jak najpiękniéj uplotę.
Kwiatki lubię ogniście,
Boże drzewko, lilije,
I to co tak na liście
I na prątki się wije,...

Oj nie dobra to córka,
Co się próżno zabawia;
Dalejże do podwórka,
Trzeba ciągnąć żórawia.
Oj! ta, da, da.... A cicho! —
Matka będzie się gniewać;
Podkusiło mnie licho,
Chciałam sobie zaśpiewać....

Idzie w górę wiaderko,
Z boku woda się leje,
Zajrzę w wody lusterko,
W nim ja druga się śmieje.
Jak też to tam głęboko,
Nim się wiadro zabrodzi,
To aż wzdryga się oko,
Aż mnie zimno przechodzi.
Nie spotka mnie nic złego,
Choć nad studnią tak stoję;
Nie boję się niczego....
Oho prawda! nie boję?...
Naprzód straszą mnie bąki,
Co latają w ogrodzie,
Żółte osy z nad łąki
I jałówka co bodzie.
Potem boję się tęczy
Na wilgotnym obłoku,
Choć się do mnie tak wdzięczy,
Pijąc wodę z potoku.

Bo ta tęcza świecąca,
Gdybym poszła, broń Boże!
Z ziemi unieść mnie może
Do białego miesiąca!
Wreszcie trwożą mnie grzmoty
I piorunów trzaskania,
Kiedy niebios blask złoty
Tak się strasznie odsłania!
Lecz w kościele nie czuję
By najmniejszéj bojaźni:
Mnie tam radość przejmuje,
W sercu jeszcze mi raźniéj.
Tak mi rzeźwo, wesoło,
Jak u matki w chałupie. —
Ludzie szepczą w około:
Ot cieszy się bo głupie....
A co mi tam, niech sobie!...
Mnie ogarnia myśl błoga,
Co ja robię?... co robię?...
Raduję się do Boga.
Kiedyć może skowronek,
Wylatując nad kłosy,
Jak świt tylko, jak dzionek,
Trzepotać się w niebiosy,
To i mnie nikt nie wzbroni
Przed ołtarza jasnością
Złożyć oto tak dłoni,
I spoglądać z radością!

Pieśń o ziemi naszéj.

(Winc. Pola.)

A czy znasz ty, bracie młody,
Te pokrewne twoje rody?
Tych Górali i Litwinów,
I Żmudź świętą i Rusinów?
A czy wiesz ty, co w nich leży?
O nie zawsze, o nie wszędzie,
Młody orle, tak ci będzie,
Jako dzisiaj przy macierzy!

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i dunaju?
Kto tam zgadnie, gdzie osiędziesz,
Jaką wodą w świat popłyniesz,
W któréj stronie walczyć będziesz,
I od czyjéj broni zginiesz?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twojéj ziemi bujne płody,
Twe kurhany i mogiły,
I twe dzieje, co się ścmiły?
Wyleć ptakiem z tego gniazda:
Miłać będzie taka jazda,
Spojrzyć z góry na twe ziemie,
I rodzime twoje plemie.

Litwa.

Tam na północ! hen daleko!
Szumią puszcze po nad rzeką,
Tam świat inny, lud odmienny,
Kraj zapadły, równy, senny,
Często mszysty i piaszczysty.
Puszcze czarne, zboża marne,
Nieba bledsze, trawy rzedsze,
Rojsły grząskie, groble wąskie,
Ryby, grzyby i wędliny;
Lny dorodne, huk zwierzyny,
I kęs chleba w czoła pocie. —
A na pański stół łakocie:
Lipce stare, łosie chrapy
I niedźwiedzie łapy.
Puszcz i żubrów to kraina,
A dziedzictwo Giedimina! —
Ćmią się puszcze, mgła się zbiera,
Po pasiekach kraj przeziera.
Wół za rogi orze zgliszcze,
W ostrym zwirze socha świszcze.
A za drogą, gdzieś w postronne,
Ciągną wózki jednokonne.
Koń obłączny w wózkach małych,
Lud w chodakach z łyka szytych,
W chatach dymem ogorzałych,
Dranicami płasko krytych.

Gdy na lud ten człek spoziera,
To aż serce żal opłynie,
I zapytać chęć go zbiera:
Co ci to Litwinie? —
Ale Litwin nie wygada!
Bo w téj duszy hart nie lada!
Lud to cichy, rzewny, skryty,
Jak to mówią, kuty, bity.
Kiedy szczery, jak wosk topnie;
Ale gdy go kto zachaczy,
To i w grobie nie przebaczy,
I na końcu swego dopnie! —

Choć kraj jego nie bogaty,
Radzi sobie, bo oszczędny;
Nie marnuje grosz na szaty,
Bo rozsądny i oględny.
Nie zwykł on się kochać w krasie,
Ale myśli o zapasie,
I dobytek w dom gromadzi,
I „o jutrze“ wiecznie radzi.
To też znajdziesz w każdéj porze
W bród wszystkiego, jak w komorze.

Nócąc pieśni o Birucie,
O Perkunie i Kiejstucie,
Przy łuczywie u komina
Przędzie miękki len drużyna;
A w pobliżu dziatwy zdrowéj
Toczy kołem wąż domowy.
Krosna stoją w małem oknie,
I czołenko pływa w włóknie;
Pieśni płyną, jak uroda,
A wiek schodzi niby woda....

Niby w ciężkiém zadumaniu
O przeszłości, czy kochaniu,
Stoją niemo czarne puszcze;
I rozlały się jeziora....
A po toniach ryba pluszcze,
A na niebie stoi gora:
Puszcze płoną gdzieś z daleka,
I w zaścianku pies gdzieś szczeka,
A za głosem z tokowiska
Czesze gęstwią leśnik śmiały
Przez jelniki i zawały
Do rodziny i ogniska,

Jak lud żyje po bożemu,
Tak i szlachta z sobą wzajem
Dawnym żyje obyczajem;
Na zaściankach po staremu
Czas jéj duszy nie wykrzywił:
Nikt cię państwem nie oparzy.
A gdy w Litwie pan się zdarzy,
To pan sobie jak Radziwiłł!

Bracia szlachta powietnicy,
Leśnych włości współdziedzicy,
W niebielonych siedzą dworach:
Tamto koléj do sąsiada,
I z wielebnym ojcem rada
O sejmikach, o wyborach,
Jaka komu padnie gałka,
Kogo wynieść na marszałka?

Lud nie darmo to myśliwy,
I skąpany w jezior łonie!
Bo głęboki, jak wód tonie,
A jak łono puszcz, stróżliwy! —
W puszczy też go widzieć warto,
Z strzelbą w ręku, lub na łodzi:
Jak mu lekko i otwarto,
Jak strzał trafia, wiosło chodzi,
Jak zna dobrze wagę zwierza,
Wszystkie knieje i ostępy;
Kędy jaka rzeka zmierza,
Gdzie mielizny, rappy, kępy!
To też wodą, czy na ledzie,
Całą Litwą cię przewiedzie.

Póki taje, jechać zdradno;
Lecz gdy w puszczach przyschną brody,
Gdy rzekami kry opadną,
I powtórne niskie wody:
Lądem, wodą, jadą, płyną,
Telegami i wiciną,
Do Mitawy, do Lipawy,
A Wiliją, Niemnem, Dźwiną,
I do Tylży i do Rygi,
Z kupią swoją na wyścigi.

Stamtąd Niemce i najemce
Za dalekie pławią morza
Maszty, klepki, runo owiec,

I nie jednę beczkę zboża,
I nie jeden lnu bierkowiec,
Litewskiemi sycąc płody
Zamorskiego ludu głody.

Żmudź.

Jak za morzem Litwa spławna
Z puszcz odwiecznych w świecie sławna,
Tak o miedzę ziemia chlebna
Głodnym ludom jest potrzebna.
Żmudź to święta! Ziemia boża!
Wolny oddech ma do morza,
I wszystkiego ma do pary:
Bo lud wierny w ziemi zyznéj,
I nie skąpo téj ojczyzny! —

Od tych prądów świętéj rzeki
Aż po morza brzeg daleki
I Łotyszów plone ziemie
Siadło twarde Żmudzkie plemie.

Tam nie błyszczą pyszne gmachy,
Ale za to duże chaty,
I wysokie dobre dachy,
Lud dorodny i bogaty.
Po nad drogą krzyżów pełno,
I kapliczek tuż przy domu;
Lud odziany szarą wełną,
Pełen serca, pełen sromu,
I zażywny i niemarny,
Pracowity, gospodarny,
I poważny i nabożny;
Jednéj krwi z tym swoim panem,
Jednéj wiary z tym kapłanem.

Pan nie bywa tam wielmożny,
Nie rozrzutny, ani butny;
A ksiądz biskup Boga sławi,
Do dobrego wiedzie ludzi,
I jak ojciec błogosławi
Na odpuście „świętéj Żmudzi!“

Lud tam żyje po zakonie,
A więc zda się zimny zrazu;
Lecz gdy serce zawre w łonie,
Nie usłyszysz z ust wyrazu,
Lecz łza tryśnie na wpół rzewna,
Na wpół krwawa, na wpół gniewna,
Piersi jękną z tajnéj głębi,
Zamiar padnie, niby w studnie,
Lecz czas krwi téj nie wyziębi,
Dusza jego nie wychłodnie,
I wypłynie na jaw w czynie!

Podole.

Jasne słońce nad Podolem!
Po parowach kraj się zboczył;
Wielkim łukiem, czy półkolem
Dniestr ku morzu się zatoczył....

Jarem, Jarem za towarem,
Obłogami za wołami,
Manowcami za owcami —
Pobereżem na Podole,
A w Podolu jak w stodole!

Jak zaległy ziemie Boże,
Przebież kraje, przerzuć role,
Zjedź świat cały, przepłyń morze,
Nie ma kraju nad Podole!
Jak zasięgnie tylko oko,
I daleko i szeroko,
Świat kłosami tylko płynie
I w obszarach oko ginie....

Tu kraj cały jednym łanem,
I nadany wszelkim płodem;
Płynie mlekiem, płynie miodem;
A lud cały wielkim panem!

Ziemie czarne, niepochybne,
Pasze żyzne, wody rybne,
Mało wprawdzie trochę lasa,
Ale za to chleb do pasa!
Z rolą człek się tam nie kłopi,
Słomę pali, nawóz topi,
I co zmoże, w skład wyorze,
A jak umie, Boga chwali!

Kilkoletnie sterty, brogi
W toku z laty poczerniałe,
Jak miasteczka stoją małe,
Niestrzeżone, na obszarze —
I na polu skot w koszarze,
Co zabiela dniem rozłogi.
A kot bywa szerści siwéj,
A koń bywa gęstéj grzywy,
Nóg żelaznych, twardéj skóry,
Bez narowu, lecz ponury.

Za okopem, lub za płotem
Wsie zamknięte kołowrotem;
A choć rzadkie, duże, syte,
Chaty czysto wymuskane,
Strzechy grubo, równo szyte,
Drogi rowem okopane.

Kiedy spuścisz się ku wodzie,
Toś zajechał niby w góry:
Skała żebrem wzrok ubodzie,
Brzegowiska istne mury,
Po nich pnie się zarośl młoda,
Z nich urwisko skał opadło,
Na łokotach szumi woda,
A staw czysty, jak zwierciadło.

Lecz gdy wymkniesz się z parowu,
Skały znikną, szum nastanie,
Jakbyś był na stepie znowu,
Równo, cicho, znów na łanie....

Cicho — jednak niby ludno:
Wszędy zboża, wszędy krzyże,
Konik polny piosnkę strzyże,
O mogiłę też nie trudno....

Kłosy płyną w lekkiéj fali,
A gdzieś widne w sinéj dali
Brzozy smutne i powiewne,
I dąbrowy staro-drzewne....

A i ludu wdzięczne lica,
Boć to czysto biało odzian
Jak dąb młody rzeski młodzian,
A dzieweczka — jak pszenica!

W chacie też to człeka radzi
Bogiem, chlebem witać w progu;
I Bóg gościa spać prowadzi,
I na drogę zlecą Bogu.
Stary zwyczaj — dobre plemie —
Człek po Bogu — chleb po ziemie.

Tatry.

Jak potopu świata fale
Zamrożone w swoim biegu,
Stoją nagie Tatry w śniegu,
By graniczny słup zuchwale!
Biodra Tatrów las osłania,
Po nad niemi stoi chmura,
A po halach wiatr przegania
Uronione orle pióra.
Świat to chłodny — a Łomnica
Świeci polskiéj ziemi do dnia
Nad Tatrami, jak pochodnia,
A na pełni, jak gromnica.

Każda skała z tobą gada;
Wiatr, co w równiach ledwo wieje,
Z nóg tam garnie — deszcz co pada,
To już w turniach śniegiem sieje.
A powyżéj, wyżéj jeszcze,
Pływa sobie orle wieszcze.
Gdy wyleci i zawiśnie
Na błękicie bez obłoku,
I dokoła okiem błyśnie,
Widne stamtąd jego oku
Okolicznych wieżyc dachy,
Polskie puszcze i ziemice,
Krakowskiego zamku gmachy,
I węgierskich gór winnice....

Czeladź górska też nie podła:
Lud wysmukły, niby jodła,
Niby górski potok szybki,
Jak ptak lekki, jak pręt gibki.
Wiecznie niby młody młodzian!
Strój ma krótko ukasany,
Topor jasno nabijany,
A sam wszystek wełną odzian.

Czysty, ludzki, szczeromowny,
Strojny, dbały i budowny,
Zna się dobrze i na ziołach,
I na gwiazdach, na pogodzie,
Śmiały w skałach i na wodzie,
A radniejszy, niż lud w dołach.

Ziemia jego mało rodzi,
Więc też luźno człek nie chodzi;
Gdy opędzi ziemię snopkiem,
Idzie w równie za zarobkiem.
Do topora lud to sprawny,
A do kosy jaki sławny!
Jaki wesół i ochoczy,
Gdy na kośbę w równie rusza!
Jak przyśpiewa i wyskoczy,
Jaka to tam w tańcu dusza!

Na świętego, na Wojciecha,
U nas w polu już pociecha;
Ale w górach ledwo taje,
I zaledwo jar nastaje.
A na świątki, na Zielone,
Szumią majem świeże lasy,
Owce w góry wypędzone,
W halach schodzą się juchasy —
Stary Baca rej im wodzi,
Pies liptowski strzeże owiec,
A przez lato juchas zbrodzi
Każdy potok i manowiec.

Polska.

A od gór tych, aż po morza,
Legła ziemia sławna z zboża,
Z wiary, z męztwa, z gościnności,
I z nieładu i z wolności!
Wielka krzywdą i cierpieniem,
Święta krwi téj poświęceniem!

Bóg, choć dojmie, błogosławi,
I dał szczodrą ręką z nieba
Narodowi, co mu trzeba,
Jako ojciec Staszic prawi:
„Dał mu chleba i stal twardą,
„Złota, srebra, jedno w miarę!“
Serce czułe — duszę hardą —
Miękką wolę — silną wiarę —
Kraj otwarty — miłość kraju —
Złych sąsiadów — ramie silne —
Mądrość złożył w obyczaju,
I dał czucie nieomylne!

To też ludzie tam najszczersi!
Tamto polski świat ochoczy,
Serce chłopcom ledwo z piersi,
A krew z lica nie wyskoczy.

Kędy wzgórek, to i dworek,
Kędy wioska, tam i woda,
Kowal pijak i gospoda —
A nad wioską i nad borem,
Nad sadami i nad dworem,
Jasną blachą pobijany
Świeci kościół murowany.
Stare drzewa wieży bronią,
I na „Anioł Pański“ dzwonią;
A gołębie krążą stadem
Nad plebanią i nad sadem....

Dwór pod lipą stoi biały,
Pod piastowym dębem chata,
Nad nią bocian gniazdo splata,
A w niéj żyje lud zuchwały.
Po nim gęsta bywa blizna,
Bo po ojcu broń puścizna:
Kord we dworze wisi stary,
W chacie stoi kosa stara;
A lud jednéj krwi i wiary,
A krew polska i ta wiara!

Po kościołach chwała boska,
Na odpusty naród płynie
I cudowna Częstochoska
Jak szeroka Polska słynie!
Réj na godach drużba wiedzie,
A z weselem kulik jedzie!
Tamto druchny, śpiew miluchny,
I gospodarz gościom rady;
Tamto tany, a bieśiady!
A gosposie takie wdzięczne,

Takie lube i urocze,
I w przyjęciu takie zręczne,
Iż, gdy która cię powita,
Z mazowiecka zaszczebiocze,
I ogości i opyta,
To aż serce żałość chwyta. —
Taka to tam szczéra mowa,
Tak serdeczne, proste słowa!

Póki zgodnie, póty zgodnie,
To i miło i swobodnie!
Lecz gdy obcy w bójkę wda się,
Gdzie rzempolą raźno grajki,
Nie policzy kółek w pasie,
Gdy go wezmą na kiłajki!
Tam nie żarty, bójka sroga:
Pod razami trzeszczą kości,
A kosterę wiedzie droga
Suchym lasem do wieczności!

Bo to lud, co krew ma w żyłach,
A krew pono nie jest lodem!
Lud to z Pana Boga rodem,
To też czuje się na siłach.
Więc do czego się sposobi,
To nie idzie mu już zmudnie,
I co robi, to już robi
Z całéj duszy nieobłudnie!

Gdy pracuje — to już szczerze,
Kiedy sądzi — to z powagą,
Gdy się modli — w dobréj wierze,
A gdy mówi — to rzecz nagą!
Kiedy kocha — to serdecznie!
Lecz nie bardzo tam bezpiecznie,
Gdzie na wroga godzi składnie:
Bo się bije rad gromadnie —
I co pocznie za gromadą
I za wspólną ludzką radą,
To też idzie mu i składnie.

Więc czy w drodze, czy to w rynkach,
Czy na polu, czy w kościele,
Na dograbkach, na obżynkach,
Wszędzie razem ludu wiele.
Przy zabawie, czy przy pracy,
Wszędzie razem, pieśnią, mową,
Wszędzie jedni i jednacy,
Czy do pitki, czy do bitki,
Czy do szklanki, czy do tanki,
Czy to przyjdzie do piosenki,
Czy dołożyć przyjdzie ręki,
Czy nałożyć przyjdzie głową!

A przy szklance, pogadance,
Jeśli wspomnisz mu o żonie,
O domowym jego progu,
I ojczystym tym zagonie,
I o dziatwie i o Bogu,
Toś mu zabrał duszę całą!
To i we łzach się rozpłynie,
I przebaczy lub pominie
Krzywdę wielką, jak rzecz małą.

Choć to swoje, człek się kusi
I pochwalić, co się godzi:
Nie zła ziemia to być musi,
Kiedy takie ludzie rodzi!

Częste, gęste, piaski, laski,
Lecz głód rzadki, Bogu dzięki!
Gdy się naród rzuci rojem,
I dołoży silnéj ręki,
To nie darmo się i znoim:
Gumna, stogi się postroją,
I jest dosyć w potrzeb swoją,
I świat karmim chlebem swoim.
Głośno słyną te pszenice,
I za morzem ziemie maskie:
Sandomierskie i Kujawskie
I Proszowskie okolice! —

Choć im jedna świeci zorza,
Jednak różne znajdziesz kraje;
Lecz po dworach, aż po morza,
Wszędzie jedne obyczaje:
W stajni konik domorosły,
W domu ściana modrzewiowa,
Umysł hojny i wyniosły,
A cnota domowa!

Przy dziedzińcu dom chędogi,
Półtoraczne ławy w ganku,

Sień obszerna, a przy wianku
Wiszą strzelby, smycze, rogi,
Kordy, rzędy, drożne burki,
I wyprawne pękiem skórki.
Drzwi na oścież — a w pokoju
Stół dębowy, woskowany,
Pod nim niedźwiedź rozesłany;
Dzban cynowy do napoju,
A na ścianach antenaty,
A na półkach srebrne blaty.

Wielkie domy za granicą,
A w nich ciasno, choć nie ludno.
U nas mury się nie świecą,
A o kącik nie tak trudno.
Ledwo człekby czasem wierzył:
Dom nie wielki — wtém gość wchodzi;
Ot i domek się rozszerzył,
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.
Przybył drugi i dziesiąty,
I nie ciasno jest nikomu:
Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzéj w małym domu;
Zda się, że pan domu sobie
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył
A on tylko w domu tobie
Drzwi i serce swe otworzył.
I ta strzecha choć uboga,
Chociaż niska, przecież bliska,
Dla obcego i dla swego,
I od Boga aż do wroga
Jest tu miejsce dla każdego.

A dopieroż to przyjęcie
Jakie bywa w polskim domu!
Jak tam każdy poczczon święcie!
Jak nie braknie nic nikomu!
W dzień wesoło, w noc rzęsisto,
Biało, gładko, potoczysto.
Czeladź syta i okryta,
Wszystko w czasie urządzone,
Przymaszczone, osłodzone.

Lecz gdy rzucisz stoły hojne,
I pominiesz dworską bramę,
Ściany, jakby nie te same,
Znowu ciche i spokojne....
Przed świętemi lampa płonie,
Na kominku ogień strzela,
A tém światłem czasem spłonie
Po nad łóżkiem karabela.

Gdy zawcześnie do spoczynku,
A Bóg nie dał w dom sąsiada,
Osiwiała para siada
Do mariasza przy kominku:
I Jegomość kartę łaje,
A z czterdziestu Jéjmość zdaje....

Wszystko cicho — nic nie szaśnie,
Czasem tylko warta wrzaśnie,
Albo kotki załopocą,
Lub Panienki zachichocą....

Jak to na Góralach.

(Przez T. L.)

Nasi Karpaccy bracia Górale
Siedzą w dolinkach, co się zwą Hale.
Pod modre niebo góry się jeżą,
Śniegi tam zimą i latem leżą.
W nizinach szumią wody rozliczne,
Przy wodach bujne łąki prześliczne.
Po skałach ciemne świerki się chwieją
Jak zajrzysz, góry w mgłach błękitnieją.

Tak ci tam raźno, tak nic nie trzeba,
Jakbyś na prawdę trafił do nieba!
Chłodne strumienie lecą w doliny,
Szumią po dołach, huczą jak młyny.
Kędyś przed chatą w ciemnym wąwozie,
Wesoły Góral beczy na kozie.
Cygan włóczęga brzęczy na drumli,
A pies przy progach dziwiąc się skumli.

Nad Morskiém Okiem, nad stawem cichem
Jest wielka góra, co się zwie Mnichem.
Kiedy w powietrzu ma się na burzę,
To góra we ćmie, jak mnich w kapturze.
Ah! na Góralach takie śliczności,
Że się przypatrzeć naszéj piękności.

Za bydłem Góral w kafowéj goni [1])
Śpiewając biegnie z toporkiem w dłoni.
Przez lato w górach barany pasie,
A zwierza strzela w zimowym czasie.
Góral nie rady w doliny schodzi,
Z tak pięknéj ziemi wyjść się nie godzi.

Jak to na Mazurach.

(Przez T. L.)

Po szerokiém polu modra Wisła płynie,
Pochylone chaty drzemią na dolinie.
Nad wodą zgarbiony stary dąb żylasty,
Kędy bielą płótna wesołe niewiasty.
Po łące bociany stąpają powolne,
W owsach jednostajne brzęczą świercze polne.
A z borów cienistych leśnéj okolicy,
Rozwiewa się wonność wiosnowéj żywicy.
Po niebie obłoki jak bieluchne runo [2]),
Słoneczkiem przeciekłe pod błękitem suną.
Na wodzie na Wiśle śród ciszy poranka,
Płynie łódź flisowska, jak szara cyranka [3]).
A za nią ładowne pszenicą galary [4]),
Szum wioseł na falach i śmiechy i gwary.
Oj cudna to ziemia to nasze Mazowsze,
I czystsza tam woda i powietrze zdrowsze.
I sosny roślejsze i wiśnie kraśniejsze,
I ludzie mocniejsi i niebo jaśniejsze!

Gdzie mi pokażecie naszą chatę lichą,
Taki bór szumiący, taką wodę cichą.
Gdzie tyle dziewanny, tyle w łąkach dzwonków,
Tyle piosnek w polu, w powietrzu skowronków.
Kędy ja usłyszę tyle ptastwa wrzasku,
Kto da modréj Wisły i białego piasku?
Niech ci Pan Bóg szczęści ziemio mazowiecka!
Płakałem nad tobą od małego dziecka
I myślałem nieraz siedzący na progach:
Czemu tyle krzyży stanęło na drogach?

1) Ubiór góralski.
2) Wełna.
3) Dzika kaczka.
4) Statki.

Wesele.

(K. Brodzińskiego.)

Już miły wieczór uśmiechał się ziemi,
Gdy wracał Wiesław z końmi kupionemi.
Z przydróżnéj wioski rozlega się granie,
Słychać wesołe pląsy i śpiewanie,
Pryskając konie bieżą po gościeńcu,
Widać dziewoje przy rucianym wieńcu,
Biją drużbowie w podkówki ze stali,
A gdy wędrowca mile powitali,
Tak rzekł Starosta, zarządzca wesela:
„Dobrze to w każdym znaleść przyjaciela!
„Witajcież do nas wy z Proszowskiéj ziemi,
„Niechciejcie gardzić dary ubogiemi,
„Pożyjcie z nami, czém tu gospodarzy
„Wdzięczna prac rola i dobry Bóg darzy.
„Napatrzycie się Krakowskim dziewojom,
„Rozlicznym tańcom i przecudnym strojom,
„Wreszcie i w tany puścić się nie szkodzi,
„Bo choć strudzeni, widzę żeście młodzi.“
Na to Halina przystąpiła młoda,
W całém weselu najpierwsza uroda,
Wstydzi się, wstydzi, jednak przed nim staje,
Ciasta z koszyka i owoc podaje.
„Obcy wędrowcze! jużci przyjąć trzeba,
„Naszych owoców i naszego chleba.“
A przytem uśmiech jakowyś uroczy
Zwrócił na siebie wędrownika oczy,
I zwrócił tyle, że odtąd jedynie
Okiem i duszą został przy Halinie.
Wchodzi do izby na wesołe tany
Z kubkiem od drużbów Wiesław powitany,
Potem Starosta, zarządzca wesela,
W te słowa drużbom porady udziela:
„Jużci pierwszeństwo zostawcie obcemu,
„Niech idzie w tany, niech też po swojemu
„Skrzypkom zanuci, dziewoje wybierze,
„Bo z obcym trzeba uczciwie i szczerze.“
Wziął sobie druchnę, któréj wdzięk uroczy
Zwrócił na siebie wędrownika oczy;
Naprzód wychodzi, przed muzyką staje,
Halina w pląsach rękę mu podaje,
Za nim się w koło młodzieńcy zebrali,
Nucą i biją w podkówki ze stali.
Wiesław się za pas ujął ręką prawą,
I pląsa letko przed Haliną żwawą.

W skrzypce i basy sypnął grosza hojnie,
Ojcom za stołem skłonił się przystojnie,
Tupnął i głowę nachylił ku ziemi
I zaczął nucić słowy takowemi:
„Gospodarzu, nie dasz wiary,
Jak konie oplacę,
Wydałem ja twe talary,
Moje serce stracę!“
Bierze Halinę i tak w około
Przodkując drużbom tańczy wesoło,
A gdy ku skrzypkom znowu powróci,
Staje i w pląsach tak przed nią nuci:
„Grajcie skrzypki, bo się smucę
W opłakanym stanie,
Z konikami do dom wrócę,
Serce się zostanie.“
Dłoń mu podała, a on w około
Przodkując drużbom tańczy wesoło,
A gdy do nowéj piosneczki stanie,
Skrzypek drzymiący zakończył granie.
Na to Halina zapłoniona cała
Między teścine za stół uciekała;
Wiesław Staroście i matkom się kłania.
Słychać w około pokątne szemrania.
Długo gościnnie Wiesław się weselił. —
Już się też dzionek nad górami bielił;
Pożegnał wszystkich w zasmuconym stanie,
Wciąż mając w uszach i śpiewki i granie,
W sercu niepokój, a myśli jedynie
Krążą niewolne przy pięknéj Halinie.

Puszcza litewska.

(Przez Mickiewicza. Ust. z P. Tad.)

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy,
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszcz litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice:
Wieść tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje.
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.

Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiem męztwem,
Daléj spotkać się z większém masz niebezpieczeństwem:
Daléj co krok czychają, niby wilcze doły,
Małe jeziorka, trawą zarosłe na poły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą,
(Wielkie jest podobieństwo, że djabły tam siedzą).
Woda tych studni śklni się plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi zionąc woń plugawą,
Od któréj drzewa w koło tracą liść i korę:
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc brzydkiemi grzybami brodate,
Siedzą w około wody, jak czarownic kupa
Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.

Za temi jeziorkami już nietylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem:
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi;
A za tą mgłą nakoniec (jak wieść gminna głosi)
Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,
Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.
W niéj są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,
Z których się rozrastają na świat ich plemiona,
W niéj, jak w arce Noego, z wszelkich zwierząt rodu
Jedna przynajmniéj para chowa się dla płodu.
W samym środku (jak słychać) mają swoje dwory
Dawny Tur, Żubr i Niedźwiedź, puszcz imperatory.
Około nich na drzewach gnieździ się Ryś bystry,
I żarłoczny Rosomak, jak czujne ministry;
Daléj zaś, jak podwładni szlachetni wassale,
Mieszkają Dziki, Wilki i Łosie rogale,
Nad głowami Sokoły i Orłowie dzicy,
Żyjący z pańskich stołów, dworscy zausznicy.
Te pary zwierząt główne i patryarchalne,
Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,
Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,
A sami we stolicy używają wczasu;
Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,
Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.
Mają też i swój smętarz, kędy bliscy śmierci,
Ptaki składają pióra, czworonogi sierci.
Niedźwiedź gdy zjadłszy zęby strawy nie przeżuwa,
Jeleń zgrzybiały gdy już ledwie nogi suwa,
Zając sędziwy gdy mu już krew w żyłach krzepnie,
Kruk gdy już posiwieje, sokół gdy oślepnie,
Orzeł gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi,

Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi,
Idą na smętarz. Nawet mniejszy zwierz raniony
Lub chory bieży umrzeć w swe ojczyste strony.
Stądto w miejscach dostępnych kędy człowiek gości,
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.
Słychać, że tam w stolicy między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami,
Jeszcze cywilizacyą ludzką nie popsuci
Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,
Nie znają pojedynków, ni wojennéj sztuki.
Jak ojce żyły w raju, tak dziś żyją wnuki,
Dzikie i swojskie razem w miłości i zgodzie,
Nigdy jeden drugiego ni kąsa, ni bodzie.
Nawet gdyby tam człowiek wpadł chociaż niezbrojny,
Toby środkiem bestyi przechodził spokojny;
Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
Jakim w owym ostatnim szóstym dniu stworzenia
Ojce ich pierwsze, co się w ogrójcu gnieździły,
Patrzyły na Adama, nim się z nim skłóciły.
Szczęściem człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,
Bo trud i trwoga i śmierć bronią mu przystępu.

Łowy na niedźwiedzia.

(Przez Mickiewicza.)

Tu las był rzadszy; słychać z głębi ryk, trzask łomu,
Aż z gęstwy jak z chmur wypadł niedźwiedź nakształt gromu;
W koło psy gonią, straszą, rwą; on wstał na nogi
Tylne i spojrzał w koło, rykiem strasząc wrogi,
I przedniemi łapami to drzewa korzenie,
To pniaki osmalone, to wrosłe kamienie
Rwał, waląc w psów i w ludzi; aż wyłamał drzewo
Kręcąc nim jak maczugą, na prawo na lewo;
Runął wprost na ostatnich strażników obławy,
Hrabię i Tadeusza: oni bez obawy
Stoją w kroku, na zwierza wytknęli flint rury,
Jako dwa konduktory w łono ciemnéj chmury;
Aż oba jednym razem pociągnęli kurki,
(Niedoświadczeni!) razem zagrzmiały dwórurki.
Chybili; niedźwiedź skoczył, oni tuż utkwiony
Oszczep jeden chwycili czterema ramiony,
Wydzierali go sobie; spojrzą, aż tu z pyska
Wielkiego czerwonego dwa rzędy kłów błyska,
I łapa z pazurami już się na łby spuszcza;
Pobledli, w tył skoczyli, i gdzie rzadnie puszcza,
Zmykali; zwierz za nimi wspiął się, już pazury
Zahaczał, chybił, podbiegł, wspiął się znów do góry,

I czarną łapą sięgał Hrabiego włos płowy.
Zdarłby mu czaszkę z mózgów jak kapelusz z głowy,
Gdy Assessor z Rejentem wyskoczyli z boków,
A Gerwazy biegł z przodu o jakie sto kroków,
Z nim Robak, choć bez strzelby — i trzéj w jednéj chwili
Jak gdyby na komendę razem wystrzelili.
Niedźwiedź wyskoczył w górę jak kot przed chartami,
I głową na dół runął, i czterma łapami
Przewróciwszy się młyńcem, cielska krwawe brzemie
Waląc tuż pod Hrabiego, zbił go z nóg na ziemię.
Jeszcze ryczał, chciał jeszcze powstać, gdy nań wsiadły
Rozjuszona Strapczyna i Sprawnik zajadły.

Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty
Swój róg bawoli, długi, centkowany, kręty
Jak wąż boa, oburącz do ust go przycisnął,
Wzdął policzki jak banie, w oczach krwią zabłysnął,
Zasunął w pół powieki, wciągnął w głąb pół brzucha,
I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha,
I zagrał: róg jak wicher niewstrzymanym dechem
Niesie w puszczę muzykę i podwaja echem.
Umilkli strzelce, stali szczwacze zadziwieni
Mocą, czystością, dziwną harmonią pieni.
Starzec cały kunszt, którym niegdyś w lasach słynął,
Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinął;
Napełnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,
Jakby psiarnię w nię wpuścił i rozpoczął łowy.
Bo w graniu była łowów historya krótka:
Zrazu odzew dźwięczący, rzeski: to pobudka,
Potem jęki po jękach skomlą: to psów granie;
A gdzie niegdzie ton twardszy jak grzmot: to strzelanie.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.

Zadął znowu: myślałbyś, że róg kształty zmieniał,
I że w ustach Wojskiego to grubiał to cieniał,
Udając głosy zwierząt; to raz w wilczą szyję
Przeciągając się, długo przeraźliwie wyje,
Znowu jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się garło,
Ryknął; potem beczenie żubra wiatr rozdarło.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.
Wysłuchawszy rogowéj arcydzieło sztuki,
Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.

Dmie znowu: jakby w rogu były setne rogi,
Słychać zmieszane wrzaski szczwania, gniewu, trwogi,
Strzelców, psiarni i zwierząt; aż Wojski do góry
Podniósł róg, i tryumfu hymn uderzył w chmury.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało,
Ile drzew tyle rogów znalazło się w boru,
Jedne drugim pieśń niosą jak z choru do choru.
I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,
Coraz ciższa i coraz czystsza, doskonalsza,
Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu!
Wojski obiedwie ręce odjąwszy od rogu
Rozkrzyżował; róg opadł, na pasie rzemiennym
Chwiał się. Wojski z obliczem nabrzmiałém, promienném,
Z oczyma wzniesionemi, stał jakby natchniony,
Łowiąc uchem ostatnie znikające tony.
A tymczasem zagrzmiało tysiące oklasków,
Tysiące powinszowań i wiwatnych wrzasków.

Polowanie.

(Przez Mickiewicza.)

Nad Soplicowém słońce weszło, i już padło
Na strzechy i przez szpary w stodołę się wkradło;
I po ciemno-zieloném świeżém wonném sianie,
Z którego młodzież sobie zrobiła posłanie,
Rozpływały się złote, migające pręgi
Z otworu czarnéj strzechy, jak z warkocza wstęgi.
Już wróble skacząc świerkać zaczęły pod strzechą,
Już trzykroć gęgnął gęsior, a za nim jak echo
Odezwały się chórem kaczki i indyki,
I słychać bydła w pole idącego ryki.
Już na dziedzińcu słychać myśliwskie okrzyki,
Wyprowadzają konie, zajeżdżają bryki,
Ledwie dziedziniec taką gromadę ogarnie,
Odezwały się trąby, otworzono psiarnie.
Zgraja chartów wypadłszy wesoło skowycze;
Widząc rumaki szczwaczów, dojeżdżaczów smycze,
Psy jak szalone czwałem śmigają po dworze,
Potem biegną i kładą szyje na obroże.
Wszystko to bardzo dobre polowanie wróży;
Nareszcie Podkomorzy dał rozkaz podróży.
Ruszyli szczwacze zwolna, jeden tuż za drugim,
Ale za bramą rzędem rozbiegli się długim;
W środku jechali obok Assesor z Rejentem,
A choć na siebie czasem patrzeli ze wstrętem,
Rozmawiali przyjaźnie jak ludzie honoru
Idąc na rozstrzygnienie śmiertelnego sporu:
Nikt ze słów zawziętości ich poznać nie zdoła;
Pan Rejent wiódł Kusego, Assesor Sokoła.

Z tyłu damy w pojazdach, młodzieńcy stronami
Czwałując tuż przy kołach gadali z damami.
Aż wtem nagle myśliwi smycze zatrzymali
I wszyscy nieruchomi w miejscach swoich stali;
Jeden drugiemu ręką dawał znak milczenia,
A wszyscy obrócili oczy do kamienia,
Nad którym stał pan Sędzia: on zwierza obaczył
I rąk skinieniem swoje rozkazy tłumaczył.
Pojęli wszyscy, stoją, a środkiem po roli
Assesor i Pan Rejent kłusują powoli;
Tadeusz będąc bliższy obudwu wyprzedził,
Stanął obok Sędziego i oczyma śledził.
Dawno już nie był w polu; na szaréj przestrzeni
Trudno dojrzeć szaraka, zwłaszcza wśród kamieni.
Pokazał mu pan Sędzia: siedział biedny zając
Płaszcząc się pod kamieniem, uszy nadstawiając,
Okiem czerwoném spotkał myśliwców wejrzenie,
I jakby urzeczony, czując przeznaczenie,
Ze strachu od ich oczu nie mógł zwrócić oka,
I pod opoką siedział martwy jak opoka.
Tymczasem kurz na roli rośnie coraz bliżéj,
Pędzi na smyczy Kusy, za nim Sokoł chyży,
Tuż Assesor z Rejentem, razem wrzaśli z tyłu:
„Wyczha, wyczha“ i z psami znikli w kłębach pyłu.

Wojna.

(Przez Mickiewicza.)

O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!
Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,
A żołnierz rokiem wojny: dotąd lubią starzy
O tobie bajać, dotąd pieśń o tobie marzy.
Z dawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem
I poprzedzony głuchą wieścią między ludem;
Ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem
Jakieś dziwne przeczucie, jak przed świata końcem,
Jakieś oczekiwanie tęskne i radosne.
Kiedy pierwszy raz bydło wygnano na wiosnę,
Uważano, że chociaż zgłodniałe i chude
Nie biegło na ruń co już umaiła grudę,
Lecz kładło się na rolę i schyliwszy głowy
Ryczało, albo żuło swój pokarm zimowy.
I wieśniacy ciągnący na jarzynę pługi
Nie cieszą się jak zwykle z końca zimy długiéj,
Nie śpiewają piosenek, pracują leniwo,
Jakby nie pamiętali na zasiew i żniwo.

Co krok wstrzymują woły i podjezdki w bronie,
I poglądają z trwogą ku zachodniéj stronie,
Jakby z téj strony miał się objawić cud jaki.
I uważają z trwogą wracające ptaki.
Bo już bocian przyleciał do rodzinnéj sosny
I rozspiął skrzydła białe, wczesny sztandar wiosny;
A za nim krzykliwemi nadciągnąwszy pułki,
Gromadziły się po nad wodami jaskółki,
I z ziemi zmarzłéj brały błoto na swe domki.
W wieczór słychać w zaroślach szept ciągnącéj słomki;
I stada dzikich gęsi szumią po nad lasem,
I znużone na popas spadają z hałasem,
A w głębi ciemnéj nieba wciąż jęczą żurawie.
Słysząc to nocni stróże pytają w obawie,
Skąd w królestwie skrzydlatém tyle zamieszania,
Jaka burza te ptaki tak wcześnie wygania.
Aż oto nowe stada, jakby gilów, siewek,
I szpaków, stada jasnych kit i chorągiewek
Zajaśniały na wzgórkach, spadają na błonie.
Konnica! dziwne stroje, niewidziane bronie,
Półk za półkiem, a środkiem, jak stopione śniegi,
Płyną drogami kute żelazem szeregi;
Z lasów czernią się czapki, rzęd bagnetów błyska,
Roją się niezliczone piechoty mrowiska.
Wszyscy na północ: rzekłbyś, że w on czas z wyraju*)
Za ptastwem i lud ruszył do naszego kraju,
Pędzony niepojętą, instynktową mocą.
Konie, ludzie, armaty, orły, dniem i nocą
Płyną; na niebie gorą tu i owdzie łuny,
Ziemia drzy, słychać biją stronami pioruny. —
Wojna! wojna! Nie było w Litwie kąta ziemi,
Gdzieby jéj huk nie doszedł; pomiędzy ciemnemi
Puszczami chłop, którego dziady i rodzice
Pomarli nie wyjrzawszy za lasu granice,
Który innych na niebie nie rozumiał krzyków
Prócz wichrów, a na ziemi prócz bestyi ryków,
Gości innych nie widział oprócz spółleśników;
Teraz widzi na niebie, dziwna łuna pała,
W puszczy łoskot, to kula od jakiegoś działa
Zbłądziwszy z pola bitwy, dróg w lesie szukała,
Rwąc pnie, siekąc gałęzie. Żubr, brodacz sędziwy
Zadrzał we mchu, najeżył długie włosy grzywy,

*) *Wyraj* w mowie gminnéj znaczy czas jesienny, kiedy ptaki wędrowne odlatują: lecieć na wyraj jest to lecieć w ciepłe kraje. Ztąd przenośnie wyraj oznacza kraje ciepłe, w ogóle szczęśliwe, zamorskie.

Wstaje na wpół, na przednich nogach się opiera,
I potrząsając brodą zdziwiony spoziera
Na błyskające nagle między łomem zgliszcze:
Był to zbłąkany granat, kręci się, wre, świszcze,
Pękł z hukiem jakby piorun; żubr pierwszy raz w życiu
Zląkł się i uciekł w głębszém schować się ukryciu.

Dzień Najświętszéj Panny.

(Przez Mickiewicza.)

Już wschodził uroczysty dzień Najwiętszéj Panny
Kwietniéj; pogoda była prześliczna, czas ranny,
Niebo czyste w około ziemi obciągnięte,
Jako morze wiszące, ciche, wklęsło-wgięte;
Kilka gwiazd świeci w głębi, jako perły ze dna
Przez fale; z boku chmurka biała, sama jedna,
Podlatuje i skrzydła w błękicie zanurza,
Podobne do niknących piór Anioła stróża,
Który nocną modlitwą ludzi przytrzymany
Spóźnił się, spieszy wracać między spółniebiany.
Już ostatnie perły gwiazd zamierzchły, i na dnie
Niebios zgasły, i niebo środkiem czoła bladnie,
Prawą skronią złożone na wezgłowiu cieni
Jeszcze smagławe, lewą coraz się rumieni;
A daléj okrąg jakby powieka szeroka
Rozsuwa się, i w środku widać białek oka,
Widać tęczę, źrenicę — już promień wytrysnął,
Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął,
I w białéj chmurce jako biały grot zawisnął.
Na ten strzał, na dnia hasło, pęk ogniów wylata,
Tysiąc rac krzyżuje się po okręgu świata,
A oko słońca weszło — jeszcze nieco senne
Przymruża się, drżąc wstrząsa swe rzęsy promienne,
Siedmią barw błyszczy razem: szafirowe razem,
Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem,
Aż rozlśniło się jako kryształ przezroczyste,
Potém jak brylant światłe, nakoniec ogniste,
Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające:
Tak po niezmiernem niebie szło samotne słońce.
Dziś pospólstwo Litewskie z całéj okolicy
Zebrało się przed wschodem w około kaplicy,
Jak gdyby na nowego ogłoszenie cudu.
Zbiór ten pochodził w części z pobożności ludu,
A w części z ciekawości: bo dziś w Soplicowie
Na nabożeństwie mają być Jenerałowie.
Wyszła msza — nie obejmie świątynia maleńka

Całego zgromadzenia; lud na trawie klęka,
Patrząc we drzwi kaplicy, odkrywają głowy:
Włos Litewskiego ludu biały albo płowy
Pozłacał się jako łan dojrzałego żyta;
Gdzie niegdzie krasna główka dziewicza wykwita,
Ubrana w świeże kwiaty albo w pawie oczy,
I wstęgi rozplecione, ozdoby warkoczy,
Śród głów męskich jak w zbożu bławat i kąkole.
Klęczący różnobarwy tłum okrywa pole,
A na głos dzwonka, niby na wiatru powianie,
Chylą się wszystkie głowy jak kłosy na łanie.
Wieśniaczki dziś na ołtarz Matki Zbawiciela
Niosą pierwszy dar wiosny, świeże snopki ziela;
Wszystko w koło ubrane w bukiety i w wianki,
Ołtarz, obraz, a nawet dzwonica i ganki.
Czasem poranny wietrzyk, gdy ze wschodu wionie,
Zrywa wianki i rzuca na klęczących skronie,
I rozlewa jak z mszalnéj kadzielnicy wonie.

Kozak na stepie.

(Przez A. Malczewskiego.)

Ej! ty na szybkim koniu gdzie pędzisz kozacze?
Czyś zaoczył zająca, co na stepie skacze?
Czy rozigrawszy myśli, chcesz użyć swobody,
I z wiatrem ukraińskim puścić się w zawody?
Lub może do swéj lubéj, co czeka śród niwy,
Nucąc żałośną dumkę lecisz niecierpliwy?
Bo i czapkęś nasunął, i rozpuścił wodze,
A długi tuman kurzu ciągnie się na drodze;
Zapał jakiś rozżarza twojéj twarzy śniadość,
I jak światełko w polu błyszczy na niéj radość;
Gdy koń, co jak ty dziki lecz posłuszny żyje,
Porze szumiący wicher wyciągnąwszy szyję.
Umykaj Czarnomorcu! z swą mażą skrzypiącą —
Bo ci synowie stepu twoją sól roztrącą.
A ty czarna ptaszyno, co każdego witasz,
I krążysz, i zaglądasz, i o coś się pytasz,
Spiesz się swą tajemnicę odkryć kozakowi —
Nim skończysz twoje koło, oni ujść gotowi.

Pędzą — a śród promieni zniżonego słońca,
Podobni do jakiego od niebianów gońca. —
I długo i daleko słychać kopyt brzmienie;
Bo na obszernych polach rozległe milczenie;
Ani wesołéj szlachty ni rycerstwa głosy,
Tylko wiatr szumi smutnie uginając kłosy.

Tylko z mogił westchnienia, i tych jęk z pod trawy,
Co śpią na zwiędłych wieńcach swojéj staréj sławy.
Dzika muzyka — dziksze jeszcze do niéj słowa,
Które duch dawnéj Polski potomności chowa —
A gdy cały ich zaszczyt krzaczek polnéj róży,
Ach! czyjeż serce, czyje, w żalu się nie nuży?

Minął już kozak bezdnie i głębokie jary,
Gdzie się lubią ukrywać wilki i Tatary;
Przyleciał do figury (co jéj wzgórek znany,
Bo pod nią już od dawna upiór pochowany),
Uchylił przed nią czapki, żegnał się trzy razy,
I jak wiatr świsnął stepem z pilnemi rozkazy.
I koń rześki, żadnym się urokiem nie miesza,
Tylko parsknął i wierzgnął i daléj pospiesza.
Ciemny Boh po granitach srebrne szarfy snuje,
A śmiały wierny kozak myśl pana zgaduje —
Szumi młyn na odnodze, i wróg w łozie szumi,
A żwawy wierny konik kozaka rozumie —
I przez kwieciste łąki, przez ostre bodiaki,
Lżéj się nie przesuwają pierzchliwe sumaki;
I jak strzała schylony na wysokiéj kuli,
Czai się zwinny kozak, do konia się tuli;
I przez puste bezdroża król pustyni rusza —
A step — koń — kozak — ciemność — jedna dzika dusza.
O! któż mu tam przynajmniéj pohulać zabroni?
Zginął — w rodzinnym stepie nikt go nie dogoni.

Miecznik i Marya.

(Przez Antoniego Malczewskiego.)

Pod staremi lipami Miecznik dumał stary,
I dźwigał w zwiędłéj głowie utrapień ciężary.
Chociaż ten czarny żupan smutny przy siwiznie,
Nosił i jasne barwy, gdy służył ojczyznie —
Ojczyznie! któréj imię śród boju i rady,
I spornego wyboru i hucznéj biesiady
Czystym gorzało ogniem — a serce, jak w wiośnie
Ptak do słońca, do niego skakało radośnie!
Ale czas świetnych uczuć już sciemniał — ej! minął,
I boli tylko życie, a kwiat jego zginął.
Dumał — i przeszłe żale, obecne zgryzoty,
Pokrył kir nieprzebity grożącéj sromoty.
O! póki tchu przynajmniéj, tak łatwo i marnie
Płomień zawziętéj pychy gniazda nie ogarnie!
O! póki czarny żupan żywe członki ciśnie,
Wyschła ręka w potrzebie starą szablą błyśnie!

Lecz potém? — dumał Miecznik i wzrok wodził hardy,
Pełen niechęci — gniewu — a może i wzgardy
Przy nim młoda niewiasta — czemuż, kiedy młoda,
Tak zamglonym promieniem świeci jéj uroda?
Ni ją ubiór udatny, ni ją stroją kwiaty,
Czarne oczy spuszczone i żałobne szaty;
A w twarzy smutek, czoło co schyla w cichości,
Którego całym blaskiem — uśmiech cierpliwości!
Lub jeśli kiedy nagle, w pośród gęstych cieni,
Jaka myśl czy pamiątka jéj lica zrumieni,
To tak mdłém, bladém światłem, jak gdy księżyc w pełni
Niezwykłém życiem rysy posągu napełni.
Piękna, szlachetna postać — do Aniołów grona
Dążyła, ich czystości czarem otoczona;
Ale trawiący oddech światowych uniesień
Owiał pęk młodych uczuć i zwarzył jak jesień.
To jeszcze jest na drodze, gdzie nią wicher miota,
W ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istota;
Serce nosi uschnięte, a świeci jak zorza,
Podobna do owoców Umarłego Morza,
Pod których śliczną farbą, śród trudu, mozoły,
Podróżny widzi nektar, — znajduje — popioły.
Jakaś posępna słodycz w jéj każdém ruszeniu,
Ani łzy, ani żalu, w jéj mglistém spojrzeniu;
O! nie — przeszłych już zgryzot nie widać tam wojny,
Tylko znikłéj nadziei grobowiec spokojny,
Tylko się lampa szczęścia w jéj oczach paliła,
I zgasła, — i swym dymem całą twarz zaćmiła.
Przy nim młoda niewiasta nad księgą Żywota,
Jak trwożna gołębica, pod jasności wrota
Wzbijała ducha wiary, i skrzydły drżącemi
Szukała swego gniazda daleko od ziemi.
A że nad przepych świata i blasków pozory
Widniejsze pióra białe zniżonéj Pokory,
I drzy nić którą serce do nieba związane;
To kropla słodkiéj rosy upadła w jéj ranę.
I wznosząc w górę oczy z tym tkliwym wyrazem,
W którego jednym rzucie wszystkie czucia razem,
Gdzie Przyszłość do Przeszłości po jasnym promieniu
Biegnie jak czuła siostra łączyć się w spojrzeniu —
I wznosząc w górę oczy — doznała — jak lubo
Rozbłąkanéj w swym żalu swego szczęścia zgubą,
Gdy już z ziemskich i chęci i strachu ochłodła,
Tęsknić szlachetnéj duszy do swojego źródła!
Jak miło, by nie wadzić w światowym zamęcie,
Zniknąć — na zawsze zniknąć pod Śmierci objęcie!

A ktoby widział wtedy jéj twarz promienistą,
I smutnego Miecznika duszę przejrzał czystą,
Te lipy rozsochate — starodawne stroje,
Których dla wyobraźni tak przystoją kroje;
A ktoby widział jeszcze jak jasność i wonie
Męczeńskim wieńcem nagle oblekły im skronie: —
Oh! może się przenosząc w odleglejsze wieki,
Świetniejsze okolice, kraj sławny daleki,
Nad brzegami Jordanu, pod palmy drzewiną,
Usiadłby zamyślony z hebrajską rodziną,
I w spólnictwie niedoli czując trwogę świętą,
Poznał — tęż samą rękę, wieczną, niepojętą,
Co swe łaski i kary zsyła lub odwleka,
Też same zawsze troski wygnańca — człowieka,
Któremu nawet w szczęściu jeszcze czegoś trzeba,
I tylko wtenczas błogo — gdy westchnie do nieba!

Natarcie na Tatarów.

(Przez Malczewskiego.)

Dzielne było natarcie. Tatarskie szwadrony,
Ich księżyce, buńczuki z końskiemi ogony,
Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki,
Płeć śniada, wąsy zwisłe a czarne jak kruki,
Ich nasępione rysy, przymrużone oczy,
W których śnie srogość zwierząt z ludzką się jednoczy,
Cały ten widok wreszcie w dzikość okazały
Pożar, stepy w około, świszczące już strzały,
Żadnego, albo raczéj jak z bodźców odzienie,
Takie na czuciach polskich zrobiły wrażenie.
Pędem burzy lecieli; lecz nim przyszło z bliska
Ludziom ostrza się dotknąć, koniom pyskiem pyska,
Gdy w pół-obręcz wpadali wsławioném prawidłem,
Skrzydło tatarskie z tyłu zbiegało się z skrzydłem;
„Alla hu!“ wrzasły hordy, i tysiączne roty
Na opasanych strute wypuściły groty.
„Hura!“ krzyknęła wiara, i lotem sokoła
Chmurę strzał przeszywała w środku tego koła.
Dochodzą, już dochodzą zbitym w rzędy tłumem,
Lasem dzid najeżonych, z hukiem, z trzaskiem, z szumem;
Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powstał kurz, a ściana
Przebitych Bisurmanów wali się złamana.
Tratują ludzi konie; koncyrze, kopije,
Kolą pod kopytami niewiernych jak żmije;
Zapał głowy ogarnął; stal błyska; krew broczy;
Śmierć trudzi się zdmuchując wywrócone oczy!

Wszystko to chwilę trwało, bo z boków i w tyle
Barbarzyńcy nastają w niezliczonéj sile.
Czas ginąć hufcom polskim; młody wódz je zbiera,
Zachęca ich, szykuje, obraca, naciera.
Dopiero mieszanina: każdy obskoczony
Wirem męstwa na wszystkie wywija się strony,
Rąbie, sili, morduje z nieprzebraną zgrają,
Jeden dziesięciu zwalczył, krocie nań wpadają;
Stek zawziętego mnóstwa, okropne ich wrzaski,
Tuman zewsząd, a mieczów latających blaski.
W natłoku wrogów, co go od swoich oddziela,
Sam, bez wsparcia, nadziei, świadka, przyjaciela
Walczył ponury Wacław, i walczył już o to,
Żeby życia co cięży nie oddać z sromotą;
Śmierć miotał śmierci pragnąc, oh! bo w serca głębi
Pisk taki, jak gołębia pod dziobem jastrzębi,
Harmonją jego myśli. Lecz czy to z zdziwienia,
Czy z strachu, czy też skutkiem dzielnego ramienia,
Ściskająca go w węzeł niezliczona tłuszcza
Coraz to w większą przestrzeń przed nim się rozpuszcza;
Widzą, poznają wodza, i każdy koleją
Rzuci się, zmiesza, zginie; zwyciężyć nie śmieją.
I gdy błękitném okiem rozpoznał młodzieniec
Cofający się przed nim nieprzyjaciół wieniec,
Smutku tylko doświadczył z téj dziwnéj korzyści,
Że już jego przeczucie na nim się nie ziści.
Czemuż choć jednéj strzały nie mieli w kołczanie,
Coby jadem jaszczurki utkwiła się w ranie?
Żal mu, że już uchodzą, życia się obawia,
Goni ich srogie dusze, piersi im nadstawia.
Zaraz — zaraz — otyły, brunatno-czerwony
Han tatarski tam wpada wściekłością spieniony;
Postrzegł, że jego hordy jakaś moc zwycięża,
Postrzega, że to męstwo samotnego męża;
Targa kłaczystą brodę z rozpaczy w ohydzie,
Gębę krzykiem rozdziera: o! zgrozo! o! wstydzie!
Na jednego tysiące z zmarszczoną powieką
Miecze wznoszą, już lecą, rozsieką! rozsieką!

Jakież to grały trąby za przyległym lasem?
Jakież to świeże hufy czwałują z hałasem?
Jakiż to nowy rycerz krzyżowym zamachem
Drogę sobie toruje śmiercią i przestrachem?
Koń ledwo ziemi tyka; włosy rzadkie, siwe,
Wiatr z światłem rozwijają jak komety grzywę;
A w pływających ruchach, w wydatnéj postawie,
Szparko bieżący pospiech o szybkość w obawie.

Jak lwica opuściwszy swoje lwiątko skoczy
Zajadłém męztwem, gdy je w pośród ludzi zoczy;
Jak matka, o wygnańcu straciwszy nadzieję,
Gdy ujrzy swoje dziecię, w radości topnieje:
Z takiém zmieszaném czuciem i matki i lwicy,
Z kordem świecącym w ręku, lotem błyskawicy,
Zdziwionym, zlękłym oczom gdyby jakiéj mary,
Obok swojego zięcia Miecznik stanął stary.
Jego hufce tuż za nim; jego przywitanie,
Tobie należy najprzód napuszony Hanie!
Lecą obces na siebie: Polacy, Tatarzy,
W bezczynném zachwyceniu patrzą, co się zdarzy.
Jakiś czas Miecznik zmudził; uderzy, odskoczy,
I znowu w całym pędzie przeciwnika tłoczy;
Aż wybrawszy swą porę w odwet silnym razem
W kark niewierny święconém utopił żelazem.
Spada dzielnym zamachem odmieciona głowa,
Drga oczami, bełkoce niepojęte słowa,
Toczy się, ziewa, blednie i gaśnie; z tułupa,
Co siedzi niewzruszony, krew do góry chlupa!
Powstał krzyk przeraźliwy; pierzchają; koń Hana
Ucieka między hordy z trupem swego pana.
Strach przejął barbarzyńców; grzmią trąby, rzeź grają,
Nowi rycerze gonią, dawni się zbiegają,
Trzask, iskry, świst z połyskiem, huk, wrzask, jęki, rżenie,
A zapylona Sława upięknia zniszczenie.

Mały światek.

(Przez T. L.)

Dworek.

Jak ja to sobie
Domek ozdobię,
Ten modrzewiowy
Dworzec ojcowy!

Najpierw przed drzwiami
Lipę zasadzę;
W koło płotami
Sad oprowadzę.
Będzie przy wodzie
Pięknie ciosana
Kamienna postać
Świętego Jana.
A przed oknami
Słupek z kółkami;

To kiedy do mnie
Sąsiad przyjedzie,
Do tego słupka
Konia przywiedzie.
A zechce bawić,
To jak zwyczajnie,
Konia postawić
Każe się w stajnię,
Gdzie koniczyną
Po za drabiną
Przy czystym żłobie,
Przegryzie sobie.

Teraz we dworze
Jak ja ułożę?

Wszedłszy ze sieni
To być powinna
Zaraz najpierwsza
Izba gościnna.
W niéj stół dębowy,
Szafa u ściany,
W któréj cynowy
Dzban pobielany.
A zaś na ścianie:
Obraz Łazarza,
Co to psy liżą
Rany nędzarza,
By mieć w pamięci,
Że w szczęściu jedni,
A drudzy ludzie
Straszliwie biedni.

A w drugiéj stancyi,
W mojéj siedzibie,
Co kto ukochał,
Z tém się tam zdybie:
Nad mojém łóżkiem
Bartosz z Kościuszkiem,
Stefan Czarniecki,
Pogromca szwedzki,
I Jan Zamojski,
I ten pan wojski
Jan Kochanowski.
A zaś nad niemi,
Nad dziećmi swemi,
Twarz Matki Boskiéj
Jaśnie; a w dali
Zbroja ze stali.

Teraz, broń moja
Myśliwska zbroja:

Fuzya wyborna,
Choć nie pozorna.
Sieć dla ptasznika,
I nóż na dzika.

Gończych psów chmara,
Bo od ogara
Aż do jamnika
Co lisy dusi,
U mnie być musi.

W zagaju grzyby,
W stawie są ryby.
A mam u siebie
Starego dziadka,
Co sieci robi,
To będzie siatka.
Słowem, co chcecie,
U mnie znajdziecie:
Ryby i grzyby,
Mąka i łąka.

Stara kronika,
Rymy Janowe[1]),
Oto czém moją
Zasilam głowę.
„Tam człowiek prawie
„Widzi na jawie“[2])
Cne ojców sprawy,
Bitwy, zabawy; —
Staliste zbroje
Lśnią w oczy moje,
Polne namioty,
Pancerne roty,
Żelazna wiara,
Husarya stara,
Skrzydły sępiemi
Rwie się od ziemi.
Tam sejmy sławne,
I zjazdy dawne,
Za świętą sprawą
Bożych aniołów,
Toczą się żwawo
W murach kościołów.

Zbroje i łuki,
Zgiełk różnéj broni
Widać tam jasno
Jakby na dłoni.

---

1) Rymy Jana Kochanowskiego.
2) Dwa wiersze z fraszek Jana.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA POZNAŃ

Myśl moja cicha
Jak moja chata,
Nad dym ojczystéj
Wioski nie wzlata.
Oko nie sięga
Daléj i szerzéj,
Jak do tych lasów,
Jak do tych krzyży,
Jak do téj wody,
Co płynie srebrna:
Czyż większa mądrość
Człeku potrzebna? [1])

Kościół.

Kościół za wioską
Z czerwonéj cegły:
Dwie wieże w błękit
Jasny wybiegły.
A na kościele
Bocian gniazdo ściele.

A w téj świątnicy
Cudownéj roboty,
Boga-rodzicy
Ów obraz złoty,
Co tak łaskawie
Patrzy na człeka,
Że jeno prawie
Słóweczka czeka:
Żeby nędznemu
Pomódz w niedoli,
W chorobie temu,
Temu na roli.

Tam szczęście moje,
Tam grób i chata [2]),
Tam w troski, znoje,
Dusza ulata.
Tam ojców ciała
Leżą we zbroi,
Tam myśli moje,
Tam wszyscy moi.

Pole.

Ledwie skowronek
Przywita dzionek,
Oglądam rano
Co gdzie zorano.
I po staremu
K' rolnictwu cnemu
Rękę przyłożę,
I ziemię orzę.

Słońce dogrzewa,
Ludzie het orzą,
Skowronek śpiewa
Na chwałę bożą.
Choć zniknie oku
W srebrnym obłoku,
Jakby z innego
Czystszego świata,
Piosenka jego
Perłami zlata.
Tak ślicznie dzwoni
W błękitnéj toni
Ptaszyna droga,
Jakby tam w górze,
W czystym lazurze,
Zobaczył Boga.

W koło piosenka
Brzmi wciąż radosna,
Tu brzoza pęka,
Tam pachnie sosna,
Tu woda wzbiera,
A z pod téj wody
Złoty kwiat młody
Z fali wyziera [3]).

---

1) Szeroko dziś ludzie rozprawiają, ale nie wysoko ani głęboko, a prawie rzecby można: suche siano trzęsą.

2) Że kościół jest domem i grobem człowieka, łatwo tego dowieść; lecz autor wyrzeka się przyjemności dowodzenia, jak wyrzeka się obrony każdéj myśli swojéj, która jeśli ma wagę, to przeważy.

3) Żółty kwiatek zwany kniat.

Tam klucz żórawi
Ciągnie z daleka,
Tu płochych kaczek
Stado ucieka.
Lecą bociany,
Drozdy, słowiki,
Pełno przedziwnéj
Żywéj muzyki.

W górze rozlane
Błękitu morze,
Powietrze szklane,
Wonne; — ach Boże!
W jakiémże słowie
Człowiek wypowie
Roskosze wieśne,
Polne i leśne[1])?

Żniwa.

Dojrzało zboże,
Więc dziatwa żywo,
Daléj na żniwo,
Bo grad spaść może.
Spieszyć się trzeba
Po dary nieba.

Złote zagony
Zda się kołyszą,
Brzęczą jęczmiony,
Pszenice wiszą.

Sieką kosarze,
Śmiechy, ochota,
Choć w słońca skwarze
Ciężka robota.

Żniwo skończone,
Snopy zwiezione,
Żeńcy się spieszą,
Skaczą a cieszą.

Więc przodownica,
Wieśna dziewica,
W złotym prześlicznym
Wieńcu pszenicznym,
Z sierpem na przedzie,
Żniwiarzy wiedzie.

Przy brzękach kosy,
Skrzypieniu stron,
Gromadne głosy:
„Plon niesiem, plon“
Miłe dla człeka
Słyszę z daleka.

Och! komu oczy
We łzach nie staną,
Słysząc te szczerą
Piosnkę śpiewaną?
Kto się nie cieszy
Z niemi, jak dziecię,
Nie ma co robić
Na bożym świecie.

Do późnéj nocy
Pod lipą starą,
Tańcuję z moją
Poczciwą wiarą.
Brzęk wiejskich skrzypiec,
Stary miód, lipiec,
I siwych ludzi
Do tańca budzi.

Koniec dożynek
Czas na spoczynek,
Zorza na wschodzie
Świeci się w wodzie.

Noc.

Noc księżycowa
Perłami rosi,
Mgła lazurowa
Z wód się podnosi.

---

[1]) Nie taję się, że w tém miejscu miałem na myśli sobótkę Jana Kochanowskiego, jak i w ciągu całego tego wiersza wspomnienie podróży do Czarnolasu przyczyniło się do napisania tych oto wedle jego wyrażenia lekkich rymów.

Srebrzy się pole,
Śpią chaty w dole,
Gwiazdy migocą,
W wodzie się złocą.

Tam brzoza biała
Włosy rozwiała,
Tu olchy błotne
Rosną wilgotne.
Noc wonna, cicha,
W liściach wiatr wzdycha;
Tam bębnią bąki
Z zielonéj łąki,
Z jezior głębokich
Rybka zaświeci,
Z niebios wysokich
Gwiazdka przeleci.

W długiéj dolinie
W dalekim jarze,
Pastuch za bydłem
Gra na fujarze.

O nocy cicha
W ojczystéj stronie,
Łąk świeżych wonią
Powiéj na skronie;
Niech jak liljana
Zwinę się w siebie,
I śnię do rana
O jasném niebie,
Aż się wyskrzydli
Dusza teschniąca,
W zorzę rumianą,
W złoty blask słońca!

Sen.

Tak marzy wioska
W śnieżnéj dolinie.
A Matka Boska,
Co górą płynie,
Nad schylonemi
Dwory i chaty,
Wiodąc aniołów
Orszak skrzydlaty,
Z niebios wysokich
Zniża się w locie,
I błogosławi
Cichéj prostocie.
A wtedy ludzie
Snem słodkim zdjęci,
Schylają głowy,
I śpią jak święci.

I czego ziemskie
Nie dojrzy oko,
Tam nad gwiazdami
W niebie wysoko,
Widzą tę panią
W jasności złotéj,
A dusze zmarłe,
Dzieci, sieroty,
Starce, dziewczyny,
W liliowéj bieli,

I ci co w wojnie
Walcząc zginęli,
Przy swéj królowéj
W śnieżnym obłoku
Jak srebrne róże
Jawią się oku.
Matka królowa
Z świętą dzieciną,
U nóg jéj zmarli
Po niebie płyną;
A wyciągnięte
Ku ziemi dłonie,
Ziarenka złote
Sieją na błonie;
I w serca ludzkie
Temi ziarnami,
Co się to zowią
Bujnemi łzami;
I okrywają
Tą lamą złotą,
Co się to zowie
Na świecie: cnotą;
I oczyszczają
Tym jasnym zdrojem,
Co się to zowie
Świętym spokojem.

Duch prosty słyszy | Ubodzy ciszy
Ten głos w przestrzeni: | Błogosławieni.

Zachwycenie [1]).

(Przez Teofila Lenartowicza.)

(Rozmowa pierwsza.)

— Matulu moja powiedzcie przecie,
Coście widzieli na tamtym świecie?

— O moje dziecię! byłam ja w raju,
Gdzie rosną drzewa, jak w naszym gaju:
Same jabłonie i wielkie grusze,
Na nich najczystsze umarłych dusze,
Za dobry żywot, za świętą cnotę,
Poprzemieniane w owoce złote,
Na cienkich prątkach pod liśćmi wiszą.
W ciepłém się słońcu pięknie kołyszą,
Ale ich z drzewa zrywać nie trzeba:
Bo zaraz lecą w górę do nieba [2]).
Potém widziałam jasne niebiosy,
Ową pszenicę z złotemi kłosy,
Co się pochyla pod boże nóżki;
Oj nie pszenica, lecz święte duszki!
Potém widziałam przedziwne kwiatki,
Te w bożych łąkach błękitne bratki,
Co się na ziemi bardzo kochali,
A potém w niebie powyrastali [3]).

— Mateńko moja, proszęż ja ciebie,
Co téż tam robi Pan Jezus w niebie?
Co robi w niebie gwiazda zaranna,
Królowa nasza, najświętsza Panna?

— O! moje dziecko, o! kochające,
Jezus owieczki pasie na łące,

---

1) Letarg nazywają u nas zachwyceniem, w ciągu którego dusza człowieka ma sobie odkrytą przyszłość, ogląda niebo i piekło, ale jéj o tém mówić po ocknięciu się nie wolno, chyba przed istotami niewinnemi, jakiemi są małe dzieci. Wedle podania ludu, każdy który był w letargu, wie godzinę swojéj śmierci, i na to tylko ma sobie przedłużone życie, żeby się do wieczności przygotował.

2) W okolicach Rawy słyszałem podobną powiastkę o duszach w raju, opowiadaną przy kądzieli.

3) O Matce Boskiéj i Panu i Jezusie, jeżeli autor pozwolił sobie na wzór gminnych ukraińskich powieści, zalecanych przez Michała Grabowskiego, utworzyć niewinną bajkę, ma nadzieję, że za to naganionym nie będzie.

Jak śnieg bieluchne, co skubią trawę,
I nie boją się, takie łaskawe;
A to są dusze błogosławione,
Które cierniową zniosły koronę.
Matka najświętsza dla ludzkiéj nędzy,
Wyrabia płótno ze srebrnéj przędzy,
I jużby wszystkie dzieci sieroty
Miały koszulki z owéj roboty,
Gdyby w jesieni pochmurnéj, słotnéj,
Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny,
Tych srebrnych nici babiego lata,
Co się na naszych płotach oplata.

— Matulo moja! czyście widzieli,
Co téż tam robią święci anieli?

— Anieli z nieba świecą nad nami
Bardzo wysoko temi gwiazdami,
A słysząc ludzi ubogich głosy,
Z litości płaczą kroplami rosy:
Rosa upada na obszar ziemi,
I przez tę litość zboże się plemi.

— Jest téż jak u nas, matulu droga,
Taka wesołość u Pana Boga?

— Moja dziecino! jak ci się zdaje,
Musić mieć Pan Bóg, kiedy nam daje.

— A czy tam grają tak aniołowie,
Jak nasi wiejscy chłopcy w dąbrowie?

— O! jeszcze piękniéj, jeszcze weseléj
Na złotych skrzypkach grają anieli.

— A gdzie się uczą przeróżnych pieśni?

— Tam gdzie się uczą ptaszkowie leśni,
I nasi ludzie, w rumianéj zorzy,
We łzach radości, w miłości bożéj.

(Rozmowa druga.)

— Matulu moja! powiedzcież przecie,
Co tam jest więcéj na tamtym świecie?

— Widziałam jeszcze strasznéj wielkości
Dwóch archaniołów stało w jasności,

Trzymając księgę białą otwartą,
A Piotr apostoł kartę za kartą
Przewracał zwolna z smutkiem głębokiem,
I patrzał na świat żałosnym wzrokiem;
Bo w owéj księdze wszystko tam stoi,
Co tylko człowiek na świecie zbroi;
I co się stało i co się stanie,
Jest o tém w niebie jasne pisanie.
Ta księga wszystko w sobie zawiera:
Czy się kto rodzi czyli umiera;
Kiedy śmierć człeka nędznego blisko,
To zaraz anioł czyta nazwisko.

— Moiście drodzy! powiedzcie ino[1]):
Widać tam naszą wioskę jedyną?
Naszą chałupę, bydło na smugu?
Siostrę w zagonie, ojca przy pługu?
Widać tam dziewczę, co zbiera ziele?
I tego dziada, co przy kościele
Siedzi i obie wyciąga ręce
Na małym wzgórku przy bożéj męce?

— O widać wszystko, gdzie się kto ruszy,
Wiedzą tam dobrze o każdéj duszy.
Jeżeli ludzie w grzechy popadną,
To zaraz z żalu anioły bladną,
A ile razy dobrzy, cnotliwi,
To się i niebo całe ożywi.

— Powiedzcież jeszcze, mateńko droga,
Czyście widzieli i Stwórcę Boga?

— Nie! moje dziecko, przed Stwórcą świata
Tyle aniołów na skrzydłach lata,
Że jest okryty, jakby obłokiem,
Jak słońce srebrną chmurką przed okiem.
Tylko z promieni, co ztamtąd lecą,
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie boże.

— A jak daleko matko do nieba,
To pewnie z miesiąc iść tamby trzeba?

---

[1]) Ino — tylko — prowincyonalizm mazowiecki.

— Bogać tam miesiąc, kochane dziecię!
Iść tam potrzeba przez całe życie,
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Bijąc się mężnie, modląc w kościele,
Kochając ludzi jak braci własnych,
To w końcu dojdzie do niebios jasnych,
I Piotr mu święty, apostoł boży,
Złocistym kluczem niebo otworzy!

Widzenie Nieba.

(Przez J. Kochanowskiego.)

Kto mi dał skrzydła, kto mię odział pióry,
I tak wysoko postawił, że z góry
Wszystek świat widzę, a sam jako trzeba
Tykam się nieba.

Toli jest ogień on nieugaszony
Złotego słońca, które nieskończony
Bieg bieżąc, wrotne od początku świata
Prowadzi lata?

Toli jest on krąg odmiennéj światłości,
Wódz gwiazd rozlicznych, i sprawca żyzności?
Słyszę głos wdzięczny: prze Bóg, a na jawi,
Czy mię sen bawi?

Tu widzę, ani ciemne mgły dochodzą,
Ani śnieg, ani zimne grady szkodzą:
Wieczna pogoda, dzień na wszystkie strony,
Trwa nieskończony.

Godne pałace twojéj wielmożności,
Panie, a jakiéj cnota dostojności,
Widzę na oko, bowiem wedle ciebie
Ma miejsce w niebie.

Ktoby cię nie znał, *Lechu* Słowianinie:
Któryś najpierwéj zasiadł w téj krainie,
I opanował męztwem swojém mocne
Brzegi północne.

Kraka patrz, jako siedząc tak wysoko,
Przedsię ku miastu swemu skłania oko:
Wandę wydawa ubiór, bo z postawy
Zda się mąż prawy.

Tu i fortelny *Przemyśl* jest wniesiony,
I ten co dostał trefunkiem Korony,
Dojrzawszy zdrady, gdzie koń prędkonogi,
Biegł zawód drogi.

Bóg fałszu nie chce: a jako miłuje
Sprawiedliwego, *Piast* i dziś to czuje:
Bo mieszka w niebie, a jego cne plemie
Rządziło ziemie.

Ziemowit stoi wedla ojca prawie
Z drugiemi równo: ty wyżéj *Miecławie*,
Którego sprawą Chrześciański zakon
Podan Polakom.

Tuż po nim widzę mężne *Bolesławy*,
Prze których dzielność i stateczne sprawy,
Polska szeroko swych granic pomknęła,
I serce wzięła.

W téjże jest liczbie on *Zakonnik* święty,
Z cieniów klasztornych na Królestwo wzięty.
Są dwa *Leszczkowie:* jest Król wzrostem mały,
Ale mąż śmiały.

Widzę *Jagiełła*, i dwu *Kazimierzu*,
Dobrych tak w boju, jako i w przymierzu:
Widzę i ciebie gwiazdzie równym prawie,
Cny *Władysławie*.

To też jest *Olbracht*, Król serca wielkiego:
Tuż z *Alexandrem Zygmunt*, za którego
Polska zakwitła, a po długim boju
Wytchła w pokoju.

Szlachetne dusze, które swéj dzielności
Macie w zapłatę niebieskie radości,
Życzcie ojczyznie, aby wam rodziła
Podobnych siła.

Błogosławiona.

(Przez Teofila Lenartowicza.)

(Widzenie pierwsze.)

Na sądy boże dusze się spieszą, | Bo na przedniebiu stoi na straży
Jedne się smucą, drugie się cieszą; | Anioł co ludzkie uczynki waży;

Kiedy dobrego przeważa ważka,
Dusza dostaje skrzydełka ptaszka,
Nad czoło mały świécący krążek,
Przepaskę z jasnoniebieskich wstążek.
Ostatnią łezkę z oczu ociera,
I już się przed nią niebo otwiera!

—

Tam się patronce swojéj pokłoni,
Co się przez życie modliła do niéj,
I ucałuje koniuszek szaty
Świętéj Barbary i Małgorzaty,
A owe święte daléj ją wiodą
Pod obie ręce, jak pannę młodą.

—

Szczęśliwa dusza patrzy po bokach,
Jak święci pańscy stoją w obłokach,
Ciż sami święci i drugich wiele,
Których widziała w wiejskim kościele:
Święta księżniczka pełna pokory,
Co wystawiła cztery klasztory,
I sama w jednym czas bardzo długi
Robiła biednym proste posługi,
Nosiła wodę, zmywała statki,
Choć miała w domu wszelkie dostatki,
I gdyby tylko sama zechciała,
Zarazby króla za męża miała;
Bo przytém była piękna, rozumna,
Ale nie taka, jak drugie, dumna!
Więc uprosiła u ojca księcia:
Żeby już sobie nie szukał zięcia,
Że po wiek wieków ona dla siebie,
Już upatrzyła pana na niebie; —
A jak wyrzekła, tak dotrzymała,
Za co światłości wiecznéj dostała,
I teraz stoi w słupie obłoku,
Święty klasztorek dzierżąc przy boku.

—

Za nią oparty o pszenny snopek
Spoczywa w niebie ubogi chłopek;
Żywił on biednych przez głodne lato.
Więc mu téż Pan Bóg nagrodził za to.
Owa uboga wieśniacza świta
Teraz się świeci jak srebrem szyta;
Ona pszenica kłosista biała,
Jakoś dziwnego blasku dostała.

—

Przy nim pomarli synkowie mali
Trzymają w rączkach snopki konwalii,
I podawają wdzięcznie śmiejący
Swoje kwiateczki duszy idącéj. —

—

Gdzie się obróci, Święty się słania:
Więc się z miłości każdemu kłania,
Świętéj Agacie i Petroneli,
Co się po niebie przechodzą w bieli,
Przed świętym Jackiem, przed świętym Janem,
I przed Maciejem i przed Florjanem.

—

Tam siedzą święte biskupy siwe,
A wszystko takie dobre, szczęśliwe,
Żadna im troska lic nie zaciemia;
Bo téż to niebo, nie nasza ziemia...

—

Święte patronki daléj ją wiodą,
Pod obie ręce jak pannę młodą,
A ta już nie wie, jak im dziękować,
Radaby święte nóżki całować,
Że się ubogiéj żadna nie wstydzi,
I że tak piękne niebiosa widzi. —

—

Panienki jasne, gdy to być może,
Chciałabym widzieć matuchnę bożę,
Aby zdaleka, choć aby zdziebko;
Widziałam ci ją raz nad kolebką
Mojego dziecka, mego Wojtuszka,
Co dziś na pańskiém jest za pastuszka,
Co pasąc gąski całe poranki
Na chwałę bożą grywa w multanki.

A cóż ty żądasz? — Prosićbym chciała:
Żeby téż oczko na niego miała —

Więc święte pańskie daléj ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą,
Aż tam wysoko, gdzie nad wszystkiemi
Przegląda jasna królowa ziemi.
A dwa aniołki wdzięczne, śmiejące,
Trzymają sukni dwa złote końce.

—

Na jéj rozkazy anieli służą,
Tacy przecudni i tak ich dużo.

— Święta Barbaro! a gdzież ów leci?
— A toż na ziemię do twoich dzieci,
By uspokoić tęskne serduszka,
Niesie przed sobą rajskie jabłuszka.—
—
— Chwała ci Boże! — a owo panie
Cóż ono niesie w tym złotym dzbanie? —

— Niesie kapeczkę z krynicy świeżéj,
Co przy stolicy przedwiecznéj bieży,
Żeby w czyscowéj strasznéj posuszy
Odwilżyć usta cierpiącéj duszy,
Która się łaski bożéj doprasza,
A ta duszyczka to matka wasza...

— Chwała ci Boże! — A ówże trzeci,
Co jakby gwiazdka wieczorna leci?

— Ten do waszego pospiesza kuma,
Co pasie owce i sobie duma
O różnych ziołach nad brzegiem rzeki:
Na jakie ludziom zdadzą się leki;
A on mu wszystko pięknie wyłoży,
Na wszelkie cuda oczy otworzy,
Że się do niego będą zbiegali,
Ubodzy ludzie choćby z najdaléj,
A on każdemu będzie przykładał,
A anioł pański mu podpowiadał —

— Chwała ci Boże! — A ten gdzie biegnie,
Którego oko ledwie dostrzegnie?
O święte panny, jakże mu spieszno
Z jasnego nieba na ziemię grzeszną!...

— Ten anioł leci do twego brata,
Co go pognali temu trzy lata,
I o téj porze po biodra nagi,
Znosi cierpliwie okrutne plagi,
Aleby umarł za trzecim razem,
Gdyby nie pobiegł anioł z rozkazem.

— Chwała ci Boże! — A ówże biały
Co mu się skrzydełka porózstrzępiały?

— Ten niesie liścik od Matki bożéj,
Który na wiejskim ołtarzu złoży,
Ażeby ludziom w świętą niedzielę
Ogłosić przyszłe wielkie wesele:
Żeby dziewczęta w krainie całéj
Nowe sukienki na siebie wdziały,
I kwiecia żeby przyniosły pęki,
I zaśpiewały na Bogu dzięki:
Bo już w tym kraju przez litość Boga,
Nie będzie moru, głodu, ni wroga. —

— Chwała ci Boże! za wszystko chwała,
Com tu na własne oczy widziała.
Gdybyż to ludziom powiedzieć o tém,
Co umierają z głodu pod płotem,
Co ledwie oczy ze snu otworzą,
Jużci się skarzą na rękę Bożą,
A tu tak wiela różnéj pociechy
Pan Bóg rozdziela na nasze strzechy. —

— Nie bój się siostro, ich tam nauczą
Te dziady, co się o kiju włóczą
Z ewanielijką jak apostoły,
Albo stawają po przed kościoły,
Gdzie się uśmiecha z wilgnéj świątnicy
Mały aniołek z nad kropielnicy,
Tak wyrobiony w ciemnych cegiełkach,
Jak gdyby żywy na dwóch skrzydełkach;

A na wpół nagie wieśne pastuszki,
Dają mu leśne jabłka i gruszki.

—

I święte pańskie daléj ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą,
Po drodze nieraz wznosząc paluszek
To na obłoczki z dziecęcych duszek
To na aniołów twarze pogodne,
Spieszących lilje okrywać wodne
Taką tkaneczką w niebiosach tkaną,
Jak najpiękniejszą zorzą rumianą;
I drugie, które z srebrnych przetaków
Biegły rozrzucać ziarnka dla ptaków.
Jeden się żywém światłem przesłonił,
Gdy na odwieczerz dziadek zadzwonił;
Inny z kotewką wiszącą, krzywą,
Leciał na wielką wodę burzliwą;
A jeden robił z srebrnych włókienek
Płótno na suknie świętych panienek,
A jeden zwijał na tęcze paski,
A jeden zbierał na kółka blaski. —

Szczęśliwa dusza idąc pod ręce
Ku przenajświętszéj Matce panience,
Myślała sobie: czyby nie trzeba
Prosić o więcéj królowéj nieba;
Za moim chłopcem — toć to za mało,
Za panią naszą téżby się zdało,
Za panem naszym co go zawiało —
Aż tu jak gdyby z pod ziemi, z niska,
Jak para, głos się wdzięczny przeciska...
Szczęśliwa pilnie ucho przykłada:
A to pan z panią podzięki składa;
Więc się duszyczka wejrzy na świętą,
A ta z twarzyczką tak uśmiechniętą,
Jak się to zdarza, gdy chcemy komu
Oznajmić wielkie wesele w domu,
Patrzy się na nią i słówka cyka:
— Pokora twoja niebo przenika,
Jakeś prosiła tak się i stało;
Wszystko tu jedno, dużo czy mało. —

(Widzenie drugie.)

I święte panny daléj ją wiodą,
Pod obie ręce jak pannę młodą,
A ta już nie wie jak im dziękować,
Czyby nóżeczki święte całować,
Czy koniec długiéj liljowéj szaty
Świętéj Barbary i Małgorzaty.

A święte mówią: jeszcze to nie to,
Co ujrzysz daléj, dobra kobieto;
Widzisz tę jasną grającą zorzę,
Tam ci pokażem skarbnice boże.

—

Idzie i klucznik—prośże klucznika,
To poprowadzi i poodmyka. —
— O z miłą chęcią, święty odrzeka:
Niechże tu siostra chwilkę poczeka. —
I zaszedł w zorzę, jak boże słońce,
Kiedy na ziemię schodzi świecące.

Ażci po chwili, o! łasko boża,
Pocznie grać cudnie rumiana zorza
Ale to taka słodka kapela,
Jak gdy z daleka jadą wesela,
I ledwie słychać skrzypeczne brzęki,
Jakieś ci głosy, jakieś piosenki,
Niby słyszane i nie słyszane,
Jakby na ciszę wiejską rozwiane,
Coś jakby pszczoły lecące z miodem,
Coś jakby strumień, co szemrze spodem,
Coś jakby wietrzyk, co w krzaki dmucha,
Coś jakby słodkie słówko do ucha,
Coś jakby dźwięczny z kaplicy dzwonek,
Kiedy się ledwie rozbrzyzga dzionek,
I pociemniałe oświeca krzaki,
Gdzie zmokłe rosą budzą się ptaki.
Szczęśliwa słucha i zadumana,
Pochyla czoło, zgina kolana,
I jak porzeczna, cicha lilija
Woń niebios wieje *Zdrowaś Maryja*,
Zdrowaś Maryja, *Panno*, *Pan z tobą*,
. . . . . .
. . . . . .
Spojrzy i widzi cuda przed sobą.

Na wyrabianéj srebrzystéj tacy
Leży kłos złoty rolnika pracy:
Jak brylantowa gwiazda niebieska,
Nawróconego grzesznika łezka. —
Na boku puklerz jak miesiąc leży,
Który zasłaniał biednych pasterzy,
I dla miłości żywego Boga
Bronił samego wroga od wroga; —
Daléj jak młyński kamień ze złota
Grosz, który dała biedna sierota;
A nad tém wszystkiém i któż wypowie,
Co podnaszają dwaj aniołowie:
Jak oni święci stoją schyleni
Nad tą koroną z strasznych promieni,
Przenikających bardziéj niż słońce
Najdalsze świata bożego końce,
Tak że nie można patrzeć się blisko
Na to miłości bożéj ognisko,
A gdy się wpatrzysz, to ci się czerni
Korona boża z okrutnych cierni;
A nad nią wyżéj w powietrza fali,
Krzyż pański niosą przeczyści biali,
Krzyż, co ramiony ogarnia wieki,
Taki ogromny, a taki lekki,
Że i najmniejsze dziecko w pokorze
Na swoich barkach unieść go może.

—

Szczęśliwa dusza na krzyż wejrzała,
— A cóż ja Panie dla ciebie dała?...
A święty klucznik wskazał jéj zdala
Maleńkie serce jakby z korala;
A z tego serca szły trzy promienie:
Miłość dla ludzi, ciche cierpienie,
I ta, co ziemskie życie ozłaca,
Nieustająca, spokojna praca.

—

I daléj wiodły ją święte boże,
Nad przezroczyste niebieskie morze,
A nad tém morzem w górze jaśniała
Królowa nieba, ta gwiazda biała!
Więc się do świętéj zwróci Barbary:
— Cóż to za morze bez końca miary?
A jakie czyste, jak się odbija
Na jego wodzie śnieżna lilija,
I niebieściuchna, przejrzysta szata,
I wszystkie gwiazdy królowéj świata?

— One nie mogą siostro być inne,
Bo to są sierot łezki niewinne,
A spojrzyj na dno, widzisz z pod spody,
Cierpiące wierne całe narody,
A każdy w takiéj stoi sukience,
Jak na tém morzu i na panience. —

—

— Oj prawda, prawda — toć nasza wioska,
Zlituj się nad nią, o Matko Boska! —

—

— A tam na skale, co się to bieli,
Niby to ludzie, niby anieli? —

—

— Cokolwiek widzisz z pod łez krynicy,
Wszystko wierni lub męczennicy.

—

I święte panny daléj ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą,
Aż tu wychodzi staruszek z brodą.
Szczęśliwa widząc, jak z jego kija
Lilja bieluchna listki rozwija,
Zaraz poznała i rzecze k' świętéj
Jak człowiek żywą radością tknięty:
— A toć to Józef! — A Józef, prawi.
— Niechże mi on téż pobłogosławi! —

—

A święty Józef zwraca się żwawo,
I rączkę nad nią wznosi łaskawą —
Za nim szedł Szymon i Jakób młodszy,
I Jan, z Chrystusa uczni najsłodszy,
Uśmiechający, dziwnie spokojni,
A wszyscy jakby na gody strojni.
Idąc tak razem, na każdym kroku
Witał ich nowy święty w obłoku,
Święty Mateusz i drugich wiele,
Których widziała w wiejskim kościele,
Każdy się świeci i każdy rusza,
Że aż patrząca cieszy się dusza,
I wciąż radośnie szepce do siebie:
— Mój Boże drogi, toć to ja w niebie!

—

Kiedy do rajskiéj weszły gospody
Szczęśliwe dusze na wieczne gody,

Wszyscy pokornie schylili głowy,
Ujrzawszy długi stół cyprysowy,
Na którym była królowa nasza,
Robiona złotą rączką Łukasza;
A na tym stole cudnéj roboty,
Płatkiem przykryty był kielich złoty.

—

Gdy święci padli na rozmyślanie,
W niebie się wdzięczne rozległo granie,
Długo słuchając słodkiego dźwięku,
Wybrani pańscy na cichym klęku,
Ujrzeli światłość jak przybywała,
Jak wszystko w okół poprzenikała.
A kiedy sami w świetle stopnieli,
Uczuli postać idącą w bieli,
Która gdy cicho stanęła w progu,
Umarli świata powstali w Bogu.

2. Ballady i Baśni.

Powrót Taty.

(Przez A. Mickiewicza.)

Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem
Za miasto, pod słup na wzgórek,
Tam przed cudownym klęknijcie obrazem,
Pobożnie zmówcie paciórek.
Tato nie wraca; ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze;
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory,
I pełno zbójców na drodze! —
Słysząc to dziatki biegną wszystkie razem,
Za miasto pod słup na wzgórek,
Tam przed cudownym klękają obrazem,
I zaczynają paciórek.
Całują ziemię, potem w Imie Ojca
Syna i Ducha świętego,
Bądź pochwalona przenajświętsza Trójca
Teraz i czasu wszelkiego.
Potem Ojcze nasz, i Zdrowaś i Wierzę,
Dziesięcioro i koronki,
A kiedy całe zmówili pacierze,
Wyjmą książeczkę z kieszonki.
I litanią do najświętszéj Matki
Starszy brat śpiewa; a z bratem,
Najświętsza Matko, przyśpiewują dziatki,
Zmiłuj się, zmiłuj nad tatem!
Wtem słychać turkot; wozy jadą drogą,
I wóz znajomy na przedzie;
Skoczyły dzieci i krzyczą jak mogą:
Tato, ach tato nasz jedzie!

Obaczył kupiec, łzy radośne leje,
Z wozu na ziemię wylata:
„Ha, jak się macie? co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do tata?

Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A ot rozynki w koszyku!“
Ten sobie mówi, a ten sobie mówi,
Pełno radości i krzyku.

Ruszajcie, kupiec na sługi zawoła,
Ja z dziećmi pójdę ku miastu.
Idzie... aż zbójcy obskoczą do koła,
A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa,
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W ręku ogromna buława.

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą się pod płaszcz na łonie;
Truchleją sługi, truchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wzniósł dłonie.

„Ach bierzcie wozy, ach bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo,
Nie róbcie małych sierotami dziatek
I młodéj małżonki wdową.“

Nie słucha zgraja, ten już wóz wyprzęga,
Zabiera konie, a drugi
Pieniędzy krzyczy i buławą sięga,
Ów z mieczem wpada na sługi.

Wtem, stójcie, stójcie, krzyknie starszy zbojca,
I spędza bandę przecz z drogi,
A wypuściwszy i dzieci i ojca,
Idźcie, rzekł, daléj bez trwogi.

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
„Nie dziękuj, wyznam ci szczerze,
Pierwszybym pałkę strzaskał na twéj głowie,
Gdyby nie dziatek pacierze.

Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem;
Im więc podziękuj za to, co się stało.
A jak się stało, opowiem.

Zdawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja i moje kamraty,
Tutaj za miastem, przy wzgórku u słupca
Zasiadaliśmy na czaty.

Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrósty,
Modlą się dziatki do Boga;
Słucham, z początku porwał mię śmiech pusty,
A potem litość i trwoga.
Słucham — ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki;
Ach ja mam żonę! i u mojéj żony
Jest synek taki maleńki.
Kupcze, jedź w miasto, ja do lasu muszę;
Wy dziatki na ten pagórek
Biegajcie sobie, i za moją duszę
Zmówcie téż czasem paciórek.“

Ballada, jakich wiele.

(J. N. J.)

Wieczorem w niedzielę,
Przy wiejskim kościele,
Dziad stoi i bije we dzwony;
Młodzieniec nieznany,
I pyłem odziany,
Nadchodzi i słucha zdziwiony.

I pyta nieśmiele:
„Mój dziadku! w tém siele
„Któż ziemskie opuścił mieszkanie?“
„Smutne to są sprawy;
„Jeżeliś ciekawy,
„Posłuchaj, opowiem mój panie.

„Przed kilku latami
„Żył we wsi téj z nami
„Kmieć z kmiecia zamożny, poczciwy;
„Ni soli, ni chleba,
„Nie było tam trzeba,
„Był czczony, kochany, szczęśliwy.

„I było ich troje:
„On z żoną we dwoje,
„A synek jedynak był trzeci;
„Wesoły, rumiany,
„Przystojnie odziany,
„Zwyczajnie jak bywa syn kmieci.

„Raz ojciec z wieczora
„Powraca ze dwora,
„I wzdycha i mówi do żony:
„Mój Boże! mój Boże!
„Jak téż to przy dworze
„Stan kmiotka maluczki, wzgardzony.

„Prostaczek w tym tłumie,
„Gdzie każdy coś umie,
„Nie znaczy ni pracą, ni wiekiem;
„I nam Bóg dał dziecię,
„Czemużby téż przecie
„I ono nie było człowiekiem.

„Przedajmy dwa woły,
„Niech idzie do szkoły,
„A kto wie, co się i z nim stanie;
„Może się przy dworze
„Umieści, a może...
„A może i — księdzem zostanie.“

„Jak rzekli, zrobili,
„Lecz grubo zbłądzili:
„Bo szczęście i w kmiecym jest stanie;
„Dobra jest nauka,
„Ale kto jéj szuka
„Nie z pychy — wszak prawda mój panie!

„Co rok więc na szkoły
„Z ojcowskiéj stodoły
„Szło zboże, z obory dobytek;

„Syn wzrastał w rozumie,
„Lecz za to i w dumie,
„Na smutny rodzicom pożytek.

„I przeszło lat wiele,
„A nikt go w tém siele
„Nie widział w zagrodzie rodzica;
„A z cicha mówiono,
„Że w mieście tam pono
„Waszmości udaje szlachcica;

„Że w głowie ma państwo,
„Nie święte kapłaństwo,
„Że ojca wstydzi się w sukmanie;
„A Bóg się tém brzydzi,
„Kto ojca się wstydzi:
„Nie prawda? — Cóż wam to, mój panie?

„Tym czasem oknami,
„Jak mówią, i drzwiami
„Bieda się do niskiéj pcha strzechy;
„Ucieka dostatek,
„Przyrasta zaś latek,
„A znikąd pomocy, pociechy.

„Starcowi i niwa,
„W młodości życzliwa,
„Kąkole wydaje i głogi;
„Więc nieraz w potrzebie,
„Na syna, na siebie,
„Zapłakał ów człowiek ubogi.

„Aż pracą znużony,
„Aż troską strawiony,
„Raz upadł przy pługu na łanie;
„I zasnął na wieki,
„I nikt mu powieki
„Nie zamknął: płaczecie mój panie?

„O! powieść nie cała:
„Wszak matka została,
„A matka biedniejsza na świecie;
„Biada jest każdemu
„Człowiekowi samemu,
„Lecz stokroć samotnéj kobiecie.

„Więc pismem kazała,
„Ze łzami błagała:
„Mój synu! rzuć świetne marzenie;
„Uczcij mą siwiznę,
„Weź ojców puściznę,
„A znajdziesz spokojność i mienie.

„Ba — panie kochany!
„Groch rzucaj na ściany! —
„Trza było z rodzinnéj wyjść ziemi,
„I rękę przy drodze
„Wyciągnąć niebodze,
„Gdzieś zdala pomiędzy obcemi.

„Aż dzisiaj ją rano
„Nieżywą zdybano
„W swéj lubéj zagrodzie przy ścianie;
„Przez litość w téj chwili
„Jéj my to dzwonili:
„Co wam jest, dla Boga! mój panie?“

A młodzian nieznany
Wzrok toczył zbłąkany,
I krzyczał z oschłemi powieki:
„Jam jest ten zabójca
„I matki i ojca
„I szczęścia mojego — na wieki!

„Roiłem, marzyłem,
„Czcze mary goniłem,
„Wiatr rozwiał sny złote przedemną;
„Dziś zdrowy, zbudzony
„Przychodzę w te strony:
„Miéj litość, miéj litość nademną.

„O! dzisiaj, w tém siele,
„Ja chleb mój w popiele
„Zwalany łzy memi obmyję;
„I jeść go zasiędę,
„I szemrać nie będę,
„Lecz rzeknij: wstań, matka twa żyje!“

I upadł na ziemi,
I łzami krwawemi
Zalał się, w okropnym był stanie;
Dziad oczy skrył w dłonie,
A idąc na stronie
Rzekł z cicha: „nierychło mój panie!“

Powitanie.

(J. N. J.)

Był dzień niedzielny, o jesiennéj porze;
Na zachód słońce w las bukowy tonie,
Przedsenne pieśni ptastwo kwili w borze,
I kwiat w przedsenne otoczył się wonie.
Niewinném szczęściem grzmi pobliskie sioło,
Skrzypek w najlepsze wygrywa w gospodzie;
Młodzież wśród pląsów wykrzyka wesoło,
Starzy o wojnie gawędzą przy miodzie.
Wszędy wesele, a nie ujrzysz troski:
Bo praca darzy niebiańską pociechą
Serca poczciwe. W pośrodku téj wioski
Stał dom drewniany, pod słomianą strzechą,
I był jak inne poziomej prostoty;
Tylko dostatek większy go otacza,
Bujniejszy sadek, dłuższe ulów roty,
I porządniejszy cały sprzęt oracza.
W chacie zaś ściany śnieżno ubielone
Zajęli święci w jaskrawéj odzieży;
Tam przy kominku widać kmiotka żonę,
Jak koło skromnéj krzątą się wieczerzy.
A śród podwórka na miękkiéj murawie
Dziecię starego Brysia wodzi w tany;
A pod okienkiem na dębowéj ławie
Siedzi gospodarz smutny, zadumany.
Czegoż on smutny?... Wszak w jego stodole
Plenny dar boży, sad purpurą płoni,
Błogą nadzieją zieleni się pole,
Zdrowy dobytek, pszczółka złotkiem dzwoni.
Czego on smutny? on który w wesele,
W radę i mężne bogaty uczucie;
Dziś bez gawędy poszli przyjaciele:
Czy miał przeczucie?... Musiał mieć przeczucie.
Bo kiedy nagle pies skoczył do sadu,
I skomląc ścieżką pobieżał na pole,
Zadrżał, jakoby myśl wyrwał z nieładu,
Który od rana ciężył mu na czole.
I słucha, jako donośne szczekanie
Nagle w piskliwe, ciche tony spada,
Jak gdyby radość, żal czy powitanie.
A w tém dzieweczka zadyszona wpada
I woła: „tato... o! tato... tam... w bramie...
„O! tam... Bryś wita... o! lecę do mamy...
„Jaś wrócił z wojny... o! ja powiem mamie“...
A nasz gospodarz już stoi u bramy.

A przed nim młodzian prześlicznéj urody,
Płaszcz nad wzniosłemi otulił ramiony;
Twarz jego blada, zapadłe jagody,
Jakby był ciężką chorobą znużony.
I stoją oba — lecz stoją w milczeniu:
Synowi łzami źrenica zabiega,
A ojciec zda się szukać w tém spojrzeniu,
Co w nim ma witać, zwycięzcę czy — zbiega.
I milczą jeszcze, a już chatki ściany
I sad drżącemi, matczynemi słowy
Brzmi do koła: „gdzie mój Jaś kochany!...
„Gdzie on jest... gdzie on!... czy mi wraca zdrowy?...
„Czy już nie pójdzie?... a gdzież on jest przecie?...
„Już mi go wszyscy witali, o Boże!
„Ach!... jaki blady, co ci jest, me dziecie?
„Czyś ty chorował?... czyś ty chory może?
„Czegoż tak stoisz niemy i zmieszany!
„Gdybyś ty wiedział... o! dzisiaj nic o mnie...
„Wszak już zostaniesz... prawda mój kochany?...
„O! jam szczęśliwa!... pójdź do mnie, pójdź do mnie!“
I już go ściska, już tuli do łona.
Lecz gdy się w szczęściu matki nie posiada,
I płaszcz rozrywa, co mu krył ramiona,
Z krzykiem rozpaczy u stóp syna pada.
A ojciec obie załamuje dłonie,
Dwa mu po licach łez płyną strumienie;
I syn znów stoi samotny na stronie,
I znowu długie, grobowe milczenie.
A u ramienia, tam gdzie ręka prawa,
Cały majątek biednego człowieka,
Z wiatrem mu kawał powiewa rękawa,
Pusty, jak ten grób, co ofiary czeka!

Branka Litwina.

(Ant. Edw. Odyńca. Z dawnych czasów Litwy.)

„No, no, Laszko, dość jęku!
Nie płacz, nie mdléj w mych ręku.
Wszyscy na koń już wsiedli,
Wszyscy brańców powiedli;
Jaż mam z tobą czas trwonić,
Bym ich nie mógł dogonić?
Czy cię zabić, bym z bitwy
Z niczém wrócił do Litwy?

„Nie, nie! prosisz daremno,
Żywa musisz iść ze mną.
Daléj! śmiało! siądź wpodle
Na słomianém mém siodle!
Bystry koń mój ze Żmudzi
Swym cię biegiem nie strudzi;
A przed wiatrem na łonie
Wilczą burką osłonię.

„Daléj z sercem ochoczém!
Nie masz płakać tu po czém.
Patrz, twój piękny dwór biały
W ogniach stoi już cały.

A ów Laszek twój młody,
Co na koniu w zawody
Chciał cię unieść przedemną,
Chciał obronić daremno,
Wierz mi, w zimnym swym grobie
Nie zatęskni po tobie.

„No, przyjdź tylko do siebie,
Sam dbać będę o ciebie.
Ponad brzegiem Zejmiany
Mam ja zamek drewniany,
Pełne gumna, i pełny
Śpichrz kądzieli i wełny.
Tam nie będzie ci smutno:
Przez dzień będziesz tkać płótno,
W wieczór w gronie mych dziewek
Przędząc słuchać ich śpiewek.
A jak syn mój jedyny
Wróci z Pruskiéj krainy,
Któż wie, gdy cię polubi,
Może nawet zaślubi.

„Mało równych mu w Litwie
I na ucztach i w bitwie.
Nie dziewczyna, nie gaszek,
Jak ów piękny twój Laszek.
Wzrost jak dębu wyniosły,
Cały czarno zarosły,
Wzrok jak gdyby Perkuna,
Błyska ogniem pioruna,
A niech zginę, gdy kłamię!
W ręku sztabę rozłamie.

„Ho! już płakać przestała!
Ogniem płonie twarz cała.
Czy dziękujesz, czy prosisz,
Że tak w niebo wzrok wznosisz?

Zkąd z tak nagłym pośpiechem
Siadasz na koń z uśmiechem?

„No no, przytul się do mnie,
Zarzuć ręce koło mnie,
Tak, tak, — teraz już mogę
Ptakiem puścić się w drogę.

„Zkądże znowu to drzenie?
Co tak patrzysz w płomienie?
Cóż że jedziem koło nich?
Wszak nie wepchnę cię do nich.

„Ha ha! stój, stój, zuchwała!
Z konia mi się zerwała;
Lecz nie ujdziesz pogoni,
Lub cię strzała dogoni!

„Ale gdzie ją strach żenie?
Czekaj, nie leć w płomienie!
Przez Perkuna! nic tobie
Za to złego nie zrobię!

„Ani słucha, szalona!
Leci wzniósłszy ramiona.
Prędzéj koniu! już blisko,
Spiesz nim wskoczy w ognisko!
Spiesz! — lecz gdzież się podziała? —

„Ha! to suknia jéj biała,
W pośród gruzów zwalonych,
Miga w ogniach czerwonych! —

„Jakem Litwin! dziewczyna
Warta była Litwina.
Spaliła się, a szkoda!
Była piękna i młoda.“

Giermek.

(Przez F. Morawskiego.)

Smutno w polskiéj było ziemi,
Smutne wojsko i lud smutny;
Wszystko siły przygniótł swemi,
Pobił, zajął Szwed okrutny.

W długim cieniu drzew lipowych
Koczowały zbite szyki,
Przy ogniskach obozowych
Stały nieme wojowniki.

Gdy wtém, siwym strojny włosem,
Którym lekki wiatr powiewał,
Wieszcz się znanym ozwał głosem,
Trącił w lutnię i tak śpiewał:
Mile gadka dawnéj treści
Brzmi dla ucha, w serce wpływa;
W starych czasów to powieści
Stara dzielność się ukrywa.

Był czas, gdyśmy za przedmurze,
Za tarcz ludom, światu stali;
Był czas, gdyśmy wschodnie burze
Piersią naszą odpierali.
Lasem polskich dzid narody
Zasłaniane od podboju
Wynucały pieśń swobody,
Pieśń miłości, pieśń pokoju.
Naszym hymnem był szczęk broni,
Trąb wojennych dzikie dźwięki,
Wrzawa bitew, grzmot pogoni,
I rozległe rannych jęki.

Złoci wieczór łan Podola,
Ciągną wojska, tabór, wozy,
Tętnią całe lasy, pola,
Stoją groźne dwa obozy:
Z jednéj strony sztandar wiary,
Siwy hetman, młodzież dziarska;
Z drugiéj wściekłość, krew, pożary
I straszliwa czerń tatarska.

Jutro, jutro z rannym brzaskiem
Dzień gonitwy, dzień rozprawy;
Słońce krwawym zaszło blaskiem,
Bój to będzie straszny, krwawy.
Ledwie pierwszy mrok zapada,
Polski hetman kord przypasze,
Z młodym giermkiem na koń siada,
I objeżdża czaty nasze.
Jedzie — patrzy w obóz dziczy,
Słucha gwaru — rżenia koni,
Pyta — zważa — ognie liczy,
I już w myśli łamie, goni.
O nie ciesz się, wodzu stary,
Zmienne wojny są koleje,
Nie tak łatwo to z Tatary! —
Słuchaj! patrzaj, co się dzieje!

Hura hura! pędzi horda,
Nocny napad w obóz leci.
Giermek za broń, wódz do korda,
Na koń! woła, na koń, dzieci!
Spieszą, biegną do swych szyków,
W pośród nocnych pędzą cieni;
Gdy wtém z grzmotem nowych krzy-
ków
Zewsząd czernią otoczeni.
Tną i walczą na przebicie,
Rąbie hetman, giermek łamie;
Całą młodość, ogień, życie,
W wojujące przelał ramie.
I już słyszą, słyszą w dali,
Jak nadbiega polska wiara;
Ale już ich nie ocali,
Już nie wyrwie z rąk Tatara.
Wzięty giermek, hetman wzięty;
Krzyczy, huczy motłoch dziki;
Bucha gniewem han zacięty,
Patrząc na swe niewolniki.
Wre i zemstą ryczy srogą,
Każe jedném skuć żelazem
Nogę giermka z wodza nogą,
I tak obu więzić razem.
Smutnie wzrok ich wzniósł się,
zwrócił
Na wysokie gwiazd sklepienia;
Ale na cóżbym wam nucił
Ich boleści, ich marzenia?
O! kto nigdy pęt nie nosił,
Kto nie jęczał w wrogów mocy,
Strawy swojéj łzą nie rosił,
Nie przetęsknił długich nocy;
Kto w półdzikim, podłym tłumie
Nie wlókł ciężkich lat niedoli;
Nie, nie pojmie, nie zrozumie,
Jak jest gorzkim chleb niewoli!

I na chwilę marząc smutnie
Wieszcz ucicha... łzy wylewa...
I znów nagle trąca w lutnię
I tak daléj gra i śpiewa:
Zasnął hetman siwobrody,
Zasnął jakby między swemi;

Nie śpi, czuwa giermek młody,
Długo o swéj duma ziemi.

I łza tryska mu z źrenicy,
Żal i rozpacz serce tłoczy;
Gdy wtém nagle w swéj ciemnicy
Zapomniany topór zoczy.

Patrzy, duma, drzy i marzy,
Serce szczytnym ogniem płonie,
Wielki w duszy zamiar waży,
Topór w obie chwyta dłonie;

I podnosi ręką śmiałą,
Mężnie ku swym pętom zwróci,
Tnie — odcina nogę całą,
I hetmana swego cuci.

Wolnyś! rzecze, Straż zaspana,
Uchodź, ocal twą krainę;
Spiesz i pobij wojsko hana,
Ja z radością tutaj zginę.

Powstał hetman i wzniósł dłonie,
Rzewnemi się łzami zalał,
Żegnał, Boskiéj zdał obronie,
Ścisnął, uszedł i ocalał.

I straż nagle z snu się zrywa,
Wieść ucieczki wodza szerzy,
I sam wkrótce han przybywa,
I zaledwie oczom wierzy.

Długo, długo wzrok swój wryty
W śmiałych topi mu źrenicach,
Stoi jakby gromem zbity,
Po dostojnych czyta licach.

I odpycha wszystkie straże,
Cnota dzikość zwyciężyła;
Każe leczyć, darzyć każe,
I do Lachów go odsyła. —

W świetném dworzan wodzów gronie,
Szkarłatnemi szaty odzian,
Siadł król polski na swym tronie,
Wdzięczny przed nim stanął młodzian.

W miejscu nogi prosta kula
Ujmującą postać wspiera,
I dwór cały się rozczula,
Z szmerem dziwu nań spoziera.

I dwaj wiodą go rycerze,
Kornie przed tron przystępuje;
Król z wezgłowia szczerbiec bierze,
I rycerzem go pasuje.

Gdy wtém w pośród wodzów koła,
Hetman nogę niesie złotą;
Oto herb twój! król zawoła,
Wysłużony twoją cnotą.

I porywa dłoń rycerza,
Wśród okrzyków ludu wiedzie,
I przed ołtarz pański zmierza,
I sam klęka z nim na przedzie.

O blask, chwałę swych orężów,
Korne w niebo dłonie wznosi,
I o więcéj takich mężów
Dla ojczyzny swojéj prosi.

Tu dźwięk lutni mdlał, upadał,
Coraz głuchszém cichła brzmieniem;
A wieszcz w duszach śledził, badał,
Co w nich swojém wzbudził pieniem.

Kniaź Dymitr Wiśniowiecki.

(Luciana Siemieńskiego.)

Kniaź z Wiśniowca w Jedykule
Za kratami, na barłogu,
Znosi ciężar mąk nieczule,
Poprzysięga mścić na wrogu....
Jakby jeszcze na niewierne
Stepem hufce wiódł pancerne,
Przy surm wrzawie i dum pieniu,
Jakby nogę czuł w strzemieniu....
A tu stepem — cztery mury,
A dumami — jęk ponury,
A drużyną — małe chłopię.

Héj pachole! oj ty tużysz,
Już nic u mnie nie wysłużysz;
I ja tobą nie wytropię
Wroga w stepie, ni zatopię
Bisurmańskie w Dniepr galary....
Dość mi dałeś, dość twéj wiary,

Dość dzieliłeś lichą dolę,
Wróć pachole na Podole! —

— Kiedy łowiec w wilczéj jamie,
Gdy cięciwa pryśnie w kuszy;
Siada sokół wiern na ramie,
Wierna strzała się nie ruszy.
Ja ci strzałą, ja sokołem,
Nie powrócę, cierpmy społem. —

Przyszedł Sułtan z pychą pawia,
I tak kniazia sam podmawia:
— Dam ci córę jak dzień jasną,
Dam ci skarbów co niemiarę,
Tylko porzuć wiarę własną,
Muzułmańską przyjmij wiarę. —

— Piękna córa, skarb bogaty;
Ale wiara twa za katy!

— Ha! psa Giaura weźcie, weźcie,
I za żebro go powieście! —

Już to trzecia wschodzi zorza,
Na Gałacie, gdzie kraj morza,
Kniaź na haku się kołysze,
W oczach zemstę Turkom pisze;
Patrzy w morze, to na szlaki:
Nie pancerneż ciągną znaki?
Czy nie czajki? ciężko wzdycha,
Usta krzepną, mówi z cicha:
Oj pachole wierne, młode,
Wracaj, wracaj na swobodę! —
— Ja ci strzałą, ja sokołem,
Nie powrócę, gińmy społem.

A kniaź oczy wiódł ponure:
— Widzę w sadzie, winogradzie,
Trzy sokoły przyleciały,
Trzy rarogi jasnopióre —
Héj pachole! daj trzy strzały;
Czy zostało mi sił wiele?
Czy w co zmierzę, to ustrzelę?

I Sułtana zmierzył — w ciemię,
A Sułtankę — w samo brzemię,
A dziewicę — w same lice.

Trwoga bije w Carogrodzie:
Co dokazał Lach na haku,
Cóż dokaże na swobodzie!
Sto strzał w niego wystrzelili,
Z piersi serce wydobyli,
Zjedli serce po junaku. —

Napierski.

(Luciana Siemieńskiego.)

Na rynku w Krakowie
Wesoła muzyka;
Prowadzą katowie
Herszta rozbójnika.

Na rynku w Krakowie
Ze stryczkiem kat czeka:
— „Pij kumie swe zdrowie,
Bo droga daleka.“ —

„Nie będę pił wina,
Choć w złotéj dasz szklance;
Wysoka drabina,
Zagram na multance.“

I wysłał z niéj głosy
Po niwach, po wodach;
Otrząsnął łzy rosy
Na kwiatach, jagodach.

I zadął jak z rogu
Na sioła, na bory;
Na każdym grał progu,
Z drzew zrywał bisiory.

„Drabina się kończy,
Niech zagram raz jeszcze:
Kto złączył, rozłączy,
Z światem się popieszczę.“

I zagrzmiał w głos gruby,
Jak organ grzmi farny,
Aż zrywał chmur czuby,
Aż nastał dzień czarny. —

„Gdzie stryczek!?“ kat woła —
„Gdzie szyja? — wzdy ciemno!“
Oj, strach był do koła,
Kat wołał daremno.

Bo z borów, sioł, szlaków
Głos wrócił, a z głosem
Stu wpadło junaków
Z watażką i krzosem.

„Gdzie herszt nasz?!“ grzmi rzesza,
Straż broni zdobyczy —
Kat herszta co wiesza
Sam został na smyczy.

Przedmieścia zgorzały,
Człek struchlał rycerski,
A Tatry zagrzmiały:
„Niech żyje Napierski!“ [1])

Piotr Pszonka Jasieńczyk.

(Powieść Seweryna Goszczyńskiego.)

Piotr, herbu Jasieńczyk, Pszonka zwan,
Pan na Krzyżanowie,
I Toporczyk Szczekarzewic pan,
Hardzi to panowie:
Nie mają boskiéj bojaźni,
Śmieją się z ludzkiéj przyjaźni.
Wypadli oni jednego dnia
Na bliskiéj wsi pole,
Z nimi ludzi, koni, chartów ćma,
I stado sokole;
I polują jak po borze,
I tłuką zboże nie zboże.
Zaszedł im drogę lud całéj wsi,
Błagali biedacy:
„Co robicie? toż pot naszéj krwi,
„Szczędźcie krwawéj pracy!“
I czapkami się kłaniali:
„Niech się Ich Miłość oddali.“
Fukiem, śmiechem zbyto prośby ich:
Dla biednych niedola,
A dla panów niepobożnych śmiech.
Pognali przez pola,
Wieśniacy odeszli z niczem,
Jeszcze nie jeden wziął biczem.
W tym czasie zjechał na sądy w gród
Król wielki Kazimierz,

1) Napierski czyli Kostka za panowania Władysława IV. zamknął się był w Czorsztynie na czele zbuntowanych górali. Zniesiony przez oddział biskupa Gembickiego, dał gardło w Krakowie.

Przed nim więc upadł i wołał lud:
„Wymierz prawo, wymierz
„Panom, co gorsi od Litwy!
„Jak bóg masz nasze modlitwy.“
Bacznie wysłuchał żałoby król,
Wyjechał na rolę,
Przeszedł się w poprzek i w podłuż pól,
Obejrzał swawolę,
Szkodę na palcach zrachował,
I tém słowem wyrokował:
„Za szkodę to a to każdy z was
„W chłopskie ręce złoży,
„Byście umieli na drugi raz
„Szanować dar boży:
„Zboże, główny niebios datek,
„I cały kmiotka dostatek.
„A za biczowanie ludzi cnych,
„Abyście wiek wiekiem
„Pomnieli na to, że ból nie śmiech,
„A człowiek człowiekiem,
„Po razu każdy z tych kmieciów
„Smagnie biczem grzbiet Waszeciów.“
I stało się, że Piotr Pszonką zwan,
Pan na Krzyżanowie,
I Toporczyk Szczekarzewic pan,
Choć butni panowie,
Zapłacić szkodę musieli,
I jeszcze biczami wzięli.
Pan Pszonka wielce do serca wziął
Tę swoję przygodę,
Zmienił się jak jędor, króla klął,
Targał się za brodę:
Poczekaj, wołał, stary psie!
Długo ty popamiętasz mnie;
Poznasz ty, co to za chłopski gnój
Biczować rycerza:
Ja ci w ten Łobzowski stolec twój
Tak podsadzę jeża,
Że niech wszyscy chłopi babią,
To go ztamtąd nie wywabią.
I pokryjomu szedł z Polski precz
Pomiędzy Litwiny,
I wołał do nich: „Ogień i miecz
„Na Lackie krainy!
„Król stary, i przy Esterce
„Spalił w popiół męskie serce.

„Cała wam Polska leży jak trup,
„Tylko ją oprawić;
„Tam lud, grosze, bydło, wszelki łup,
„Tylko się nie bawić.
„Ja wam wskażę takie szlaki,
„Że się zjawim jak cud jaki.“
Przystała Litwa; Litwie w to graj
Hura do zachodu!
Wyją, jak żeby wilków sto zgraj
Zawyło od głodu.
I daléj wzuwać chodaki,
Przepasywać się w sajdaki,
Przysmalać w płomieniach groty dzid,
A kiełznać Żmudziny!
Za chwilę ciągną jak chmura biéd
Do Lackiéj krainy;
A Piotr poprzodu, o wstydzie!
Na kraj własny z wrogiem idzie.
Jak Litwin w lasy raz nurka da,
Tak płynie puszczami,
Aż się wychyli na światło dnia
Nad Wisły brzegami;
Tam się otrząśnie, wypocznie,
I radzi co daléj pocznie.
„Stójcie! rzekł Pszonka; ja pójdę wprzód:
„Z Wisłą żartu niema:
„Ja pójdę wprzód i wytknę wam bród!“
Co rzekł, to dotrzyma.
Poszedł, wynalazł bród rzéki,
I na znak postawił tyki.
Sprawiwszy wszystko, już wracać miał,
Gdy ujrzał, że blisko
Święty Stanisław kamienny stał;
Więc na urągowisko
Rzekł mu w szyderskim uśmiechu,
Grożąc palcem: „No! sza mnichu!“
Na to z kamiennych świętego warg
Wyszły ciche słowa:
— Wielki Boże! złam ten hardy kark!
Niechaj zdrajcy głowa
Sobą tę czystą krew spłaci,
Którą w myślach toczy z braci.
I w tejże chwili ślizga się łodź
Wodą jak po lodzie;
Dwóch w niéj siedziało: anielska młódź,
W anielskiéj urodzie,

W anielskiem opromienieniu,
Ale w rybackim odzieniu.
Jak ślad od gwiazdy, taki płomień tlał
Za lekkiem czołenkiem,
Z brzega do brzega podniósł się wał,
I toczył się z dźwiękiem.
Żerdzie wierzchów uchyliły,
Szeregiem z miejsca ruszyły,
I szły jak ptastwa wodnego rzęd.
A gdy przepłynęli,
Kędy największa głębia i pęd,
Rybacy zniknęli;
Żerdzie znów się wprost podniosły,
I stanęły jakby wrosły.
Zaledwie ziemię osłonił zmrok,
Horda Litwy rada
Rzuca gęstwinę pustyń, i w skok
Nad Wisłę przypada.
I jak szła, tak w wodę wbiegła,
Gdzie znaki brodu postrzegła.
Ale jak tylko rzucili ląd,
Straszny krzyk się budzi,
Niezhamowany, bezdenny prąd
Rwie konie i ludzi,
Przewala wiru falami,
I rzuca daléj trupami.
Zginęli wszyscy, co pierwsi szli;
Ci, co pozostali,
Iść już nie chcieli, a wściekle źli,
To zdrada! wołali:
„Gdzie jest Lach, co nas prowadził?
„Pod miecz go! on Litwę zdradził.“
Próżno się Pszonka wymówić chce,
Czerń Litwy rozjadła
Na nic nie baczy, miecz tłumu tnie,
Już głowa odpadła,
Już na żerdzi głowa ścięta
Jak pamięć zdrady zatknięta.
Litwa, dalszy zaniechawszy łup,
Wróciła w swe knieje,
A pana Pszonki w pół nagi trup
Nad Wisłą bieleje,
I głowa kiwa się ścięta,
Od ptaków nawet nietknięta.
Tylko skrzydłami ptak czarnych piór
Wiał z niéj jak proporczyk,

I wciąż krakał; miał to być zły twór:
Pan Otto Toporczyk,
Który z żalu, jak wieść niesie,
Obwiesił się w bliskim lesie.

Dziewczę Polskie.

(Ludw. Jabłonowskiego.)

„Panowie bracia! daléj na konie!
Daleko mamy pohasać;
Tam w owéj stronie, gdzie łuna płonie,
Tam, tam będziemy popasać.“

Na konie wskoczą, sztandar roztoczą,
Wesoło trąbka zadzwoni;
Rumaki spięli, bramę minęli,
A na ich czele on goni.

Pędzą bez drogi, miną rozłogi,
Miną i stepy i pola,
Aż gdzie dokoła plądruje sioła
Zawolczyk, czartów swawola.

„Hej bracia wiara! męztwo i wiara,
Odwaga bracia! Bóg z nami!“
Furknęły piki, runęły szyki,
I już się sieką z wrogami.

„Ho, ho! gdzie nasza zafurknie pika,
Próżno się bronisz, psi synie!
Hartowna pika w krwi najezdnika
Łupieżcy serca nie minie.

Znajcie zuchwali grom polskiéj stali!
Już ich wysiekli i lecą,
Aż gdzie za siołem tańczą półkołem,
Gdzie półmiesiące się świecą.

„Hej bracia wiara! męztwo i wiara,
Odwaga bracia! Bóg z nami!“
Zgęszczą się szyki, zafurkną piki,
I już się sieką z wrogami.

„Wiara, wesoło!“ wpadli na czoło,
I już na karkach im siedzą;
Szyki złamali, w trąbkę zagrali,
Tatarzy gdzie ujść, nie wiedzą.

Tam, tam, na prawo, mknie Tatar żwawo,
Przy nim na siodle dziewczyna:
„Hej za mną dzieci!“ kordem zaświeci,
„To moja córka jedyna!“

Ten żwawo goni, ów żwawo stroni;
Lecz przed Zawolcem Dniestr płynie;
Wstrzymał się w biegu, stanął u brzegu,
Spiął konia — już na głębinie.

Dziewczę się zrywa i Boga wzywa,
I pchnie Tatara na tonie;
Konia zwróciła, na brzeg wskoczyła,
I już u ojca na łonie!

Wesele.

(Ant. Edw. Odyńca.)

Na zamku kasztelana
Brzmi muzyka dobrana,
Hałas głuszy kapelę;
Puhar krąży w około,
Wszyscy bawią wesoło,
Prócz téj, czyje wesele.

I nie dziw: panna młoda
Jak róża, jak jagoda;
Jak chwast w zimie pan młody,
Niski, łysy, pękaty;
Lecz starosta, bogaty,
Ojciec kazał — więc gody.

Idzie taniec; na przedzie
Pan starosta rej wiedzie,
Za nim szlachta się wali.
Wtem „gość!“ krzyknął odźwierny,
I towarzysz pancerny
Zbrojno wkroczył do sali.

Kasztelan gdy go zoczył,
Zaraz ku drzwiom poskoczył,
Pełen gniewu i trwogi:
„Mówiłem już *Acanu*,
Że ludziom jego stanu
Za wysokie me progi.“

— „Nie tak zbyt, jak się roi,
Gdym je mógł przejść we zbroi,“
Zimno rycerz odpowie.
„Każdy z nas na zagrodzie,
Równy jest wojewodzie,
A cóż kasztelanowi?“

Kasztelan w wściekłym gniewie,
Co ma począć, sam nie wie,
Na nic już nie pamięta
„Hola! szlachta panowie!
Kto się bratem mym zowie,
Za drzwi tego natręta!“

Wszyscy taniec rzucili,
Wszyscy szabel dobyli,
Słysząc gniewny głos pana
„Co ty? kto ty? zuchwały!
Gdy chcesz unieść łeb cały,
Precz z domu kasztelana!“

Młodzian się nie ustrasza,
Dobył wzajem pałasza,
I wstrząsając nim dumnie:
„Przez Bóg żywy![1]) téj chwili
Po swój łeb się nachyli,
Kto krok postąpi ku mnie.

---

[1]) Dawny polski wykrzyknik.

„Ale nie chcę uczt krwawić,
Nie długo mam tu bawić,
Chciałbym tylko, panowie!
Pannie młodéj winszować,
Taniec z nią przetańcować,
I wypić za jéj zdrowie.

„Natożem w krwawych bojach,
W ciągłych trudach i znojach
Kraj piersiami zasłaniał,
By mię lada kasztelan,
Waszém wsparciem ośmielan,
Jak psa z domu wyganiał?“ —

— „Brawo! brawo! Pójdź z nami,
Zaprowadzim cię sami,
Winszuj! — jeśli jest czego;
Wypijemy jéj zdrowie,
Potem, bracia panowie,
Daléj *nieskończonego!*“ [1])

I wnet krzycząc zuchwale
Wiodą hurmem przez salę
Do kasztelanki prosto.
Zbladły drżące matrony,
Sam kasztelan strwożony
Skrył się na bok z starostą.

Kasztelanka struchlała,
Gdy rycerza ujrzała,
Zapłonęła i zbladła.
Chciała witać, lecz siły
Nagle ją opuściły,
Na ręce jego padła.

„Wody, wódki, lawendy!“
Krzyk się rozległ wnet wszędy,
Lecz się pomoc spóźniła.
Rycerz, gdy nikt nie słucha,
Szepnął jéj coś do ucha,
Kasztelanka ożyła.

„Teraz, bracia panowie,
Szczerych kochanków zdrowie!“
— „Vivant! pijmy koleją!“ —
„Kto ich dzieli dla złota,
Niech mu niém za żywota
Czarci gardło zaleją!“

„Hej muzyko, polskiego!
Daléj nieskończonego!“ —
Idzie taniec po sali;
Młody rycerz na przedzie
Z kasztelanką rej wiedzie,
Za nim szlachta się wali.

Stanął; — koło młodzieńca
Tancerka się okręca,
Dłoń w dłoni, oko w oku;
Wszyscy się okręcali,
Zamięszanie na sali,
Nic nie widać w natłoku.

Znowu taniec spokojny;
Lecz gdzież tancerz ów zbrojny?
Próżno okiem go śledzą.
To figura niezwykła!
Pierwsza para gdzieś znikła,
Lecz gdzie i jak, nie wiedzą.

Wtem podwórzec zamkowy
Zabrzmiał brzękiem podkowy:
„Pancerny porwał młodą!“
— „Hej do koni, do broni!
Kto ich pierwszy dogoni,
Co chce, weźmie nagrodą!“

Rzekł kasztelan, i prosto
Z zadyszanym starostą
Zbiegł na dwór — już na koniu.
„Niech mych skarbów nie szczędzi,
Kto ich pierwszy dopędzi!“ —
I puścił się po błoniu.

„Gdzie tam! próżna mozoła!“
Ktoś ze szlachty zawoła,
„Muszą lecieć jak z procy;
Wreszcie trzeba warjata,
Za złoto gubić brata,
Lub kark łamać po nocy.“

---

1) *Nieskończonym* zwał się taniec, w którym mężczyzni lub damy, zostawszy z kolei na środku, pary sobie dobierali.

— „Dobrze mówisz Wojciechu!“
Zawołali śród śmiechu;
Krzywdą się nie zbogacim.
Przebawmy tu noc całą,
Wypijmy, co zostało,
A tak nic w tém nie stracim.“

Jak rzekli, tak zrobili,
A gdy wszystko wypili,
Do domu pojechali.
Starostę koń gdzieś zrzucił,
Kasztelan sam powrócił,
I już nie wiem co daléj.

Lubor.

(Bohdana Zaleskiego.)

Dawszy czas wytchnąć hufcom znużonym
Lubor wódz stary, waleczny,
Sam w ciemnéj nocy, na koniu wronym
Wjeżdża w bór czarny, odwieczny.

Zdala chorągwie w bojach zdobyte
Utkwione świszczą z mogiły;
Wojennych pieśni echa rozbite
Przelękłe zwierza płoszyły.

Jadąc wódz dumał, jak wiek mu młody
Zbiegł na rycerskich zabawach;
Rachował blizny, liczył przygody,
Marzył o nowych wyprawach.

Umilkło... jedzie, jedzie, nie słyszy,
Jak tuż coś pierzcha w gęstwinie:
Przy starym dębie, śród głuchéj ciszy
Zeszły się boru boginie.

Było to grono srogich Rusałek[1]),
Jedna z nich groźnie zawoła:
„I kiedyż Lubor, kiedyż ten śmiałek,
„Poniechać krwawych walk zdoła.

„Tyle rycerzy w rannych lat dobie
„Śmierć uprzątnęła ze szranków;
„Matki, kochanki płaczą w żałobie
„Poległych synów, kochanków.

„On od pół wieku prowadzi boje,
„Pławi się we krwi nieczuły...
„Czyliż to bogi w niezłomną zbroję
„Lubora piersi zakuły?

1) Rusałki, bóstwa starożytnych Słowian, według mniemania ludu czarownice krwi chciwe, nienawidzące ludzi.

„Dość ci już chwały — czas spocząć starcze!
„Czas zmrużyć czujne powieki;
„Wkrótce porzucisz włócznią i tarczę,
„Zaśniesz — lecz zaśniesz na wieki.“

Rzekły i znikły w mroku omglonym;
Szumi bór czarny, odwieczny;
Nic nie wie — jedzie na koniu wronym
Lubor wódz stary, waleczny.

Wtem słyszy potok szumiący w dali,
Drze się przez zimną gęstwinę,
Niezbyte jakieś pragnienie pali,
Wjechał do zdroju — w dolinę.

I gdy się napił — zmienił się w cale,
Sen począł kleić powieki,
Puścił rumaka, usnął na skale —
Usnął — lecz usnął na wieki.

Poczuł to, pędzi jak wiatr koń skory,
Tętent uśpionych przestrasza,
Między walecznych wpada tabory,
Rżeniem zgon wodza ogłasza.

W całym obozie wrzawa się wszczyna,
Strach mięsza mężne szeregi,
Rozpierzchła wodza szuka dróżyna.
Lecz płonne wszystkie zabiegi.

Zaświtał ranek — rycerzy tłumy
Ciągną na pole znów chwały,
Zabrzmiały w okrąg wojenne dumy,
Żałobne pieśni zabrzmiały.

Wódz zaś od wieków w jednéj postawie
Skamieniał leżąc w ustroni,
U nóg hełm, włócznia zarosła w trawie,
Na wpół dobyty miecz w dłoni.

A gdy z północy burza straszliwa
Grzmi przez bór czarny, odwieczny,
Ockniony rdzawy oręż dobywa
Lubor wódz stary, waleczny.

Trzech Budrysów.

(A. Mickiewicza.)

Stary Budrys trzech synów, tęgich jak sam Litwinów,
Na dziedziniec przyzywa i rzecze:
„Wyprowadźcie rumaki i narządźcie kulbaki,
A wyostrzcie i groty i miecze.

Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie
Trzy wyprawy na świata trzy strony:
Olgierd Ruskie posady, Skirgiel Lachy sąsiady,
A Ksiądz Kiejstut napadnie Teutony.

Wyście krzepcy i zdrowi, jedźcie służyć krajowi,
Niech Litewskie prowadzą was Bogi;
Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę,
Trzéj jesteście i macie trzy drogi.

Jeden z waszych biedz musi za Olgierdem ku Rusi,
Ponad Ilmem, pod mur Nowogrodu;
Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony,
I u kupców tam dziengi jak lodu.

Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta cugi,
Niechaj tępi Krzyżaki psubraty,
Tam bursztynów jak piasku, sukna cudnego blasku,
I kapłańskie w brylantach ornaty.

Za Skirgiełłem niech trzeci poza Niemnem przeleci,
Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe;
Ale za to wybierze dobre szable, puklerze,
I mnie ztamtąd przywiezie synowę.

Bo nad wszystkich ziem branki milsze Laszki kochanki,
Wesolutkie jak młode koteczki,
Lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka,
Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki.

Ztamtąd ja przed półwiekiem, gdym był młodym człowiekiem,
Laszkę sobie przywiozłem za żonę,
A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę.“

Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę;
Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.
Idzie jesień i zima, synów niéma i niéma,
Budrys myślał, że w boju polegli.

Po śnieżystéj zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
„Ej to kubeł, w tym kuble nowogrodzkie są ruble?“
— „Nie, mój ojcze, to Laszka synowa.“

Po śnieżystéj zamieci po wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
„Pewnie z Niemiec, mój synu, wieziesz kubeł bursztynu?“
— „Nie, mój ojcze, to Laszka synowa.“

Po śnieżystéj zamieci do wsi jedzie mąż trzeci,
Burka pełna, zdobyczy tam wiele;
Lecz nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kazał
Prosić gości na trzecie wesele.

Wesele Bieleckiego.

(Przez Słowackiego. Ustęp z Jana Bieleckiego.)

W Brzezan miasteczku, w kościele u Fary
Jaśnieje ółtarz; potężne organy
Wstrząsają pełne grobowców filary,
Po ławkach jasne migają żupany;
Tam pożółkniały ksiąg pargamin stary,
A owdzie stoczek złotem malowany.
Ołtarz upstrzony woskowemi kwiaty;
Służba rozwija kobierzec bogaty.
Swaty i drużby wystąpili strojno,
I młoda para przysięgi powtarza.
Z otwartém czołem Jan Bielecki, zbrojno,
W husarskiéj zbroi, w misiurce ze stali,
Jako do bitwy stanął do ołtarza;
Patrzy na młodą, a wzrok mu się pali.
A silnie piersi wstrząsały puklerzem...
A daléj, swaty za młodym rycerzem,
A daléj, bracia, husary, pancerni,
A daléj, służba w wielkiém stoi kole,
Zbroją od prostéj odróżniona czerni.
Piękny to widok, gdy przed wrogów tłumem
Rozwiną skrzydła na barkach sokole,
I jako ptaki głuszą skrzydeł szumem.
Lecz panna młoda jakże przystrojona!
Trudno weselne opisać ubiory.
Ślubna jéj szata była w dwa kolory:
Błękitną barwą lśniąca jedna strona,
Bo takie było męża herbu pole,
A na mienionym jedwabiu lazurze
Lśnił się herb, srebrne księżyca półkole,

Gwiazda, nad gwiazdą hełm o strusiém piórze;
A druga strona sukni szkarłatowa,
I herb dziewicy szyty na szkarłacie,
Srebrzyste strzemię i złota podkowa.
Piękna to szata, a przy takiéj szacie
O jakże cudna, gdy się wstydem płoni!
Widne łzy w oku, widne drzenie dłoni,
Dla czegoż smutna?... Patrz na wód lazurze
Kwiat się przegląda w jeziora kryształe;
Choć chmury słońca nie zakryją światu,
Kwiat liście zwiesza i kryje się w fale;
Lilia wodna może przeczuć burze,
Kwiat czuje — Ona miała czucie kwiatu.
Wracają tłumnie weselne orszaki,
Zagrali grajki, grzmią liczne wystrzały;
I pochodniami świecili kozaki,
Noc księżycowa widna jak dzień biały.
„Stójcie!“ zawołał pierwszy swat „przedemną
Nie widzę domu.... Janie! wszak tu droga
Do twojéj chaty? ha! cóż to? dla Boga!
Czy dom twój zniknął? czy mi w oczach ciemno?
Wieśniak ostatniéj miedzy doorywa....“
Kiedy to mówił — przybiegł jeden, drugi;
Patrzą, nie wierzą — sam Jan staje, słucha,
Blednieje — nagle z tłumu się wyrywa;
A w tłumie była cichość straszna, głucha.
Wkrótce Jan wrócił — prędko jak błysk gromu,
Stanął przed żoną obłąkany, blady.
Na jego szatach widać krwawe ślady....
„Anno,“ rzekł, „Anno! wracaj! — nie mam domu!
Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu.
Wracaj, o Anno! ty będziesz szczęśliwa.
Ja nie mam domu!...“ Zadrżał — i spiął konia,
I jak wiatr szybko poleciał przez błonia.
Nazajutrz rano pochowali w grobie
Starca, co orał grunt ostatniéj miedzy.
Bielecki zniknął: — żadnéj o nim wiedzy,
A po nim żona chodziła w żałobie.
Jéj serce straszne skołatały ciosy,
Po śnie wesela został płacz — pierścionek.
Nazajutrz rano, skoro spadły rosy,
Gdzie był dom Jana, samotny skowronek
Wzleciał nad skiby przeoranéj roli,
Nucąc piosenkę smutku i niedoli.

Król dębów.

Któż konno w północnéj pospiesza zamieci?
To ojciec z swém dzieckiem pospiesza i leci.
I ujął chłopczynę w przesilne ramiona,
I trzyma go mocno i tuli do łona.
Dla czego drżysz synu i kryjesz twarz w dłoni? —
— Nie widzisz, mój ojcze! król dębów nas goni,
Roztacza ogony, we wieńcach skroń pała. —
Cyt, synu! to z jezior powstaje mgła biała.
„Chodź do mnie, chodź do mnie, dziecino kochana!
„Mam cacka, mam lalki, zabawka mi znana,
„Po błoniach, po gaju rozliczne mam kwiatki,
„A złotą sukienkę dostaniesz od matki.“
— Mój ojcze, mój ojcze! nie widzisz, jak skrycie
Król dębów tu stoi i wabi twe dziecię? —
Cyt — synu! zkąd ci się te strachy uprzędły?
To gnany wiatrami szeleści liść zwiędły.
„Chcesz, luba chłopczyno, w mój dom cię powiodę,
„I córom strzedz każę, a córy mam młode,
„Do tanów ponocnych tancerki jedyne,
„Zatańczą, zanucą i uśpią dziecinę.“
— Mój ojcze, mój ojcze! nie widzisz nad wodą
Wysmukłe tancerki ponocny réj wiodą? —
Mój synu, mój synu! ja widzę, tu w dole
W pół kręgi sadzone szarzeją topole.
„Twa postać mnie nęci, zachwyca twe lice,
„Gdy sam pójść nie zechcesz, przemocą cię schwycę!“
— Już ściąga, już ściąga swe ręce zabójcze,
Król dębów mnie chwyta; ach ratuj mnie ojcze! —
Mróz starca przeszywa, jak wicher się miecie,
Przyciska do piersi jęczące swe dziecię;
Spocony, zdyszany, z rączością nieścigłą
Przypada na zamek — lecz dziecię zastygło.

Alpuharra.

(Przez Mickiewicza.)

Już w gruzach leżą Maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza;
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary
Almanzor z garstką rycerzy;
Hiszpan pod miastem zatknął sztandary,
Jutro do szturmu uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły spiże,
Rwą się okopy, mur wali:
Już z minaretów błysnęły krzyże,
Hiszpanie zamku dostali.

Jeden Almanzor, widząc swe roty
Zbite w upornéj obronie,
Przerznął się między szable i groty,
Uciekł i zmylił pogonie.

Hiszpan na świeżéj zamku ruinie,
Pomiędzy gruzy i trupy,
Zastawia ucztę, kąpie się w winie,
Rozdziela brańce i łupy.

Wtem straż oddźwierna wodzom donosi,
Że rycerz z obcéj krainy
O posłuchanie co rychléj prosi,
Ważne przywożąc nowiny.

Byłto Almanzor, król muzułmanów,
Rzucił bezpieczne ukrycie,
Sam się oddaje w ręce Hiszpanów,
I tylko błaga o życie.

„Hiszpanie!“ woła, „na waszym progu
Przychodzę czołem uderzyć,
Przychodzę służyć waszemu Bogu,
Waszym prorokom uwierzyć.

Niechaj rozgłosi sława przed światem,
Że Arab, że król zwalczony,
Swoich zwycięzców chce zostać bratem,
Wassalem obcéj korony.“

Hiszpanie męztwo cenić umieją:
Gdy Almanzora poznali,
Wódz go uścisnął, inni koleją
Jak towarzysza witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witał,
Wodza najczuléj uścisnął,
Objął za szyję, za ręce chwytał,
Na ustach jego zawisnął.

A wtem osłabnął, padł na kolana,
Ale rękami drżącemi
Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,
Ciągnął się za nim po ziemi.

Spojrzał dokoła, wszystkich zadziwił:
Zbladłe, zsiniałe miał lice,
Śmiechem okropnym usta wykrzywił,
Krwią mu nabiegły źrzenice.

„Patrzcie o! giaury, jam siny, blady:
Zgadnijcie, czyim ja posłem?
Jam was oszukał, wracam z Grenady,
Ja wam zarazę przyniosłem.

Pocałowaniem wszczepiłem w dusze
Jad, co was będzie pożerać;
Pójdźcie i patrzcie na me katusze,
Wy tak musicie umierać.“

Rzuca się, krzyczy, ściąga ramiona;
Chciałby uściśnieniem wiecznym
Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona;
Śmieje się śmiechem serdecznym.

Śmiał się — już skonał — jeszcze powieki,
Jeszcze się usta nie zwarły,
I śmiech piekielny został na wieki
Do zimnych liców przymarły.

Hiszpanie trwożni z miasta uciekli,
Dżuma za nimi w ślad biegła:
Z gór Alpuhary nim się wywlekli,
Reszta ich wojska poległa.

Śmierć zdrajcy ojczyzny.

(Antoniego Góreckiego.)

Noc była ciemna, milczenie ponure
Lało spokojność na całą naturę;
Wtem księżyc zajaśniał mile,
Bo już zbliżały się chwile,
Kiedy duchy z nieba skrycie
Na promykach gwiazdy schodzą,
I gorzkie nędzarzów życie
Snem łagodzą.

Nad rzeki brzegiem,
Co bystrym biegiem
Toczy mętne wały,
Błyszczy gmach wspaniały.

Tam zdrajca kraju obrzydły,
Leżąc gdzie łoże złociste,
Czekał, by sen swemi skrzydły
Przytulił serce nieczyste.

Ogień w bladawym promieniu
Po kunsztownych lampach skryty,
Pokazywał w nocnym cieniu
Dostatek zbrodnią nabyty.

Starannie przez długie lata
Zgromadził tam zbytek złoty,
Wszystkie niemal skarby świata;
Nie stawało snu i cnoty.

Już czas chyży
W twardéj spiży
Dwanaście razy brzęk zrodził,
A sen jeszcze nie przychodził.

On biegał po małych chatkach,
I przytulał tych w téj chwili,
Co kiedyś żyli w dostatkach,
A wszystko za kraj stracili.

Napróżno wyrodek podły
Wyglądał na jego przyjście:
Jak jesienne więdnął liście,
A smutki serce mu bodły.

Porzuca wyniosłe łoże,
Otwiera skrzynie zamkami warowne,
I mniema, że mu pomoże
Świetnych kamieni błyskanie kosztowne.

Wtem niebo znak dało grzmotem,
Pioruny trzasły,
Ognie zagasły,
Wicher drzwi wyparł z łoskotem.
Wchodzi naprzód księżyc blady,
A za nim w ślady
Jakaś poważna osoba,
Na niéj żałoba;
Smutna postawa,
Pierś krwawa.

Na takie widmo straszliwe
Drży zdrajcy serce lękliwe;
Widzi, nie wierzy,
Włos mu się jeży,
I krzyczy: „To strachy czyje?
„Stój! bo zabiję!“

Ale postać blada
Nic nie odpowiada,
Idzie tylko z cicha
I wzdycha.

Wtenczas ufny w moc siarczystą,
Porwał zbrodzień broń ognistą,
Zmierzył, przycisnął,
Ogień błysnął,
Kula krwi pragnąca
Z hukiem powietrze roztrąca,
Środek postaci przeszyła;
Ale ona wolnym krokiem,
Z milczeniem głębokiem,
Jeszcze bliżéj przystąpiła.

Na zbrodnia ramieniu drżącém
Wspiera się łokciem oziębiającym,
I odpoczywa.
On mdleje,
Potnieje,
I za drugą broń porywa.

Wtem ona do niego rzecze
Głosem takim, jakim ciecze
Słodki strumyk, lutnia brzęczy,
Lub po mogiłach wiatr jęczy:
„Stój! mnie kula nie zabije,
„Na waszym świecie nie żyję,
„Synu! ty w ciemnym zamknąłeś mnie grobie,
„A ja przychodzę dać ratunek tobie.
„Widzę twą duszę smutkiem obciążoną,
„Chcesz spocząć, pójdziesz na wieczności łono.
„Ja ci przebaczam, bo nie matki czynem
„Mścić się nad synem.“

Wtem razem wstrzęsły się gmachy,
Zadrżały dachy,
Jękła noc blada,
Przez okna wpada
Duch czarnéj postaci,
I rzecze głosem zagrzmienia:
„Niemasz, niemasz przebaczenia
„Temu, co przelał krew braci!
„Pan przedwieczny sprawiedliwy:
„Stań przed Jego sąd straszliwy.“

Tak wyrzekł, i wnet ponury
Ciało zbrodnia w łoże cisnął,
Duszę w ciemne porwał chmury;
Wiatr za nim zawył, grom błysnął.

3. Śpiewy historyczne.

Czarniecki Stefan.

(Przez Wincentego Pola.)

Oj to Polak starodawny
Co za mina, co za ruch!
Oj to bracia wielki zuch!
Nasz Czarniecki Stefan sławny!
Szwedzi Polskę zwojowali,
Swój im podał chleb i sól,
Lutrzy z nimi się zwąchali,
Za granicę drapnął król!
I już ziemia prawie cała
Szwedowi się poddawała,
I już wierny naród ginął!
Jedna tylko Matka Boska
Oparła się Częstochowska!
Przy niéj stanął ksiądz Kordecki!
A ten zuch Stefan Czarniecki
Jak się zawziął, jak zawinął,
Wygnał Węgra i z Lutrami,
I jak kaszę ze szwedami,
Tak zjedli Szweda choć bez kaszy!
I nietylko w ziemi naszéj,
Aż za morzem rej on wodził:
Bo gdy Szwed bronił się wodą,
On i morze wpław przebrodził!
A choć się nie rodził panem
Ani z soli, ani z roli,
Ale z tego co to boli,
Ruskim urosł wojewodą
I koronnym zmarł hetmanem!

Leszek Biały.

(Przez J. U. Niemcewicza.)

Od dworaków opuszczona
Helena w stroju niedbałym,
Gdy syna trzyma u łona,
Co go zwano Leszkiem Białym,
Tak szerzy skargi płaczliwe
Na swe losy nieszczęśliwe:

„Ty się śmiejesz, dziecię lube,
„Bo nie znasz twojéj niedoli,
„Nie znasz spisków na twą zgubę:
„Oto z stryja twego woli
„Wydarłać państwo niecnota,
„A jam wdowa, ty sierota.
„Zrodzony, byś berłem władał,
„Dziś przewrotnych ludzi winą
„Wszystkoś na świecie postradał,
„Tułasz się biedna dziecino;
„Ja cię przytulę do łona,
„Lecz skądże inna obrona?“

„Powściągnij łzy twe królowo,“
Zawołał Goworek stary,
„Byłem ojcu radą zdrową,
„Synowi dochowam wiary;
„Póki dłoń ta mieczem władnie,
„Żadna nań trwoga nie padnie.“

Pod czułym starca dozorem
Wzrastał w siły Leszek Biały,
I szedł chlubnym Piastów torem,
Był sprawiedliwy i śmiały,
Zręczny w rycerskich gonitwach,
I szczęśliwy w krwawych bitwach.

Goworek przez cnoty swoje
Wzbudził nienawiść dworaków,
Przyszli na Leszka podwoje,
Mówiąc imieniem rodaków:
„Oddal Goworka, — korona
„Nazad ci będzie wrócona!“

Królowa w modrzewim dworze
W skromnéj siedziała komnacie,
I w skromnym była ubiorze:
Nie miała złota na szacie;
Przy niéj, poselstwem zdziwiony,
Siedział Leszek zamyślony.

Gdy milczą, Goworek stary
Tak ich dumanie przerywa:
„Przyjm Książę ludu ofiary,
„Panuj, kiedy lud cię wzywa,
„Niech kraj na tém nie szkoduje,
„Że mnie zawiść prześladuje.

„Ja stary, władzy nie chciwy,
„Do skromnéj ojców zagrody
„Wrócę wygnaniec szczęśliwy;
„Ty długie uśmierz niezgody,
„A rządząc krajem potężnym,
„Bądź sprawiedliwym i mężnym.

„Jeźli za to, żem pracował,
„Los mi usłyszeć zostawi,
„Że tego, com ja wychował,
„Naród Polski błogosławi,
„Nie umrę w cieniu méj strzechy
„Bez słodkiéj sercu pociechy.“

Tu gdy płakała królowa,
Gdy we łzach wszyscy przytomni,
Książę odpowie w te słowa:
„Leszek nigdy nie zapomni,
„Co winien sobie, krajowi,
„I co winien Goworkowi.

„Nie chcę, by mąż co mnie wspierał,
„Gdym się tułał opuszczony,
„Dla mnie wygnańcem umierał;
„Nie chcę państwa, ni korony:
„Nad blask, co berło udziela,
„Wyżéj cenię przyjaciela.“

Nagrodziły Nieba hojnie
Tę szlachetność, tyle męztwa,
Leszek zwycięzca na wojnie
Odzyskał wydarte księstwa,
Stary Goworek przy zgonie
Oglądał Leszka na tronie.

Zawisza Czarny.

(Przez J. U. Niemcewicza.)

Wśród gór Karpackich, w zamku starożytnym,
Mieszkał rycerz zawołany:
Był on przed laty i sławnym i bitnym;
Lecz dzisiaj wiekiem złamany,
Już tylko dawne wspominając boje,
Patrzał z westchnieniem na wiszącą zbroję.

W starości jedna została otucha,
Syn, w którym miał się odrodzić,
W nim z młodu niecił wojennego ducha,
Uczył jak na ostrze godzić;

A gdy Zawisza już umiał wojować,
Sam ojciec chciał go rycerzem pasować.

W obliczu ludu, wśród pańskiéj świątnice,
Bierze młodzian cześć rycerza,
Ojciec mu wkłada pancerz i przyłbicę,
I mieczem trzykroć uderza,
I mówi, oręż mu dając niezmierny:
Broń twéj ojczyzny, bądź w przyjaźni wierny!

Zawisza Czarny, gdyż z tego imienia
Znany był późniéj u świata,
W ciężkiéj kolczudze, nie tknąwszy strzemienia,
Lekko wskoczył na Bachmata,
I gdy wesoło w pośród szranków pląsał,
Wywijał mieczem, kopią potrząsał.

Wkrótce się wsławił czyny walecznemi,
I tak śmiałość jego znano,
Że w Niemczech, Włoszech i Tureckiéj ziemi,
Kiedy kogo wychwalano,
Przysłowiem było bojów Towarzyszy:
„Polegaj na nim, jakby na Zawiszy.“

Kiedy go cesarz Zygmunt usiłuje
Zatrzymać dłużéj u siebie,
Rzekł mu Zawisza: „Jagiełło wojuje,
„I kraj mój w ciężkiéj potrzebie:
„Wszystka krew moja, krew Polskiéj młodzieży,
„Lubéj ojczyznie pierwsza się należy.“

Obdarzon zbroją, litym złotogłowem,
Do własnych wraca orszakow,
I pod Grunwaldem i pod Koronowem
Przeważnie gromi Krzyżaków;
Tam czarny rycerz łamiąc pyszne hordy
Siał wszędy postrach i okropne mordy.

Lecz już Jagiełło Zofią ślubuje,
Mąż równie hojny, jak śmiały,
Cesarza, królów, w domu swym częstuje,
I panów orszak wspaniały;
Ale najtkliwsze wznieciło wspomnienia
Dwunastu książąt z Piastów pokolenia.

Zygmunt, co wszystkie nadzieje pokłada
W męztwie Czarnego rycerza,

Gdy państwa jego Muzułman napada,
Jemu los wojny powierza,
I sam, gdzie Dunaj Gołąbnę oblewa,
Z ogromném wojskiem bystry nurt przebywa.

Ledwie na drugiéj stanął cesarz stronie,
Gdy ujrzał Tureckie hurmy,
I blask księżyca i męże i konie,
I wrzask przeraźliwéj surmy [1]);
Na groźny widok trwodze się podaje,
Wraca za Dunaj i obozem staje.

Lecz wraz postrzegłszy, że Zawiszy nie ma,
Szle poń jednę z swoich łodzi;
Mąż gońca mierząc srogiemi oczyma
Rzekł: „Zawisza nie uchodzi;
Ci co się zlękli, ci mogą uciekać,
Polacy wolą chlubnéj śmierci czekać.

„Koń moj i zbroja!“ zawołał na sługę.
Ten podaje miecz niezłomny,
Czarną z srebrnemi gwiazdami kolczugę [2]),
Wkłada mu szyszak ogromny,
Z wierzchołka czuba czarna końska grzywa
Jeży się w górę i na barki spływa.

Tu tarcz ściskając zbrojnemi rękami,
Podług rycerstwa zwyczaju,
Żegnam was, woła, twarz skrapiając łzami,
O luba żono i kraju!
W tém zniża drzewce, bodźcem konia zwiera,
I samotrzeci na tłumy naciera.

Ta zbroja czarna, okropnie wspaniała,
Ten orzeł wpośród pancerza,
I blask oręża i postać zuchwała,
Zdziwieniem Turków uderza.
Nie na śmierć, pomny na swych poprzedników
Wpada Zawisza w tłumy zbrojnych szyków.

Gdy płomienistym orężem zabłyska,
Pod ciosami płytkiéj stali
Na Saracenach srebrna łuska pryska,
Padają trupem zuchwali;

---

1) Trąby.
2) Siatka żelazna.

Jak groźny Ajax lub Achilles śmiały,
Kędy uderzył, tysiące pierzchały.

Znużon zwycięztwem, gdy już słabiéj włada,
I nikną siły mdlejące,
Z okropną wrzawą mściwy Turczyn wpada,
I topi mieczów tysiące:
Poległ, a gdy krew dreszcz śmiertelny ścina,
Konając lubą ojczyznę wspomina.

Duma o Stefanie Potockim.

(Przez Niemcewicza.)

Słuchajcie rycerze młodzi
Żałosnéj lutni jęczenia,
Niech w was chęć do sławy rodzi,
Dawnego męztwa wspomnienia.
Słuchajcie, jak sławy wieniec,
Walcząc w ojczyzny obronie,
Zyskał odważny młodzieniec
I w szlachetnym poległ zgonie.

Już Podola żyzne niwy
Chmielnicki hordy zalegał,
Już głos matek przeraźliwy
W smutnych się skałach rozlegał;
Rzuca rolnik pług i rolę,
Wszędzie hoże wiodą branki,
Pasterz woli iść w niewolę,
Niż odstąpić swéj bogdanki.

Syt wieku, szczęścia i sławy
Mikołaj wojsku przywodził:
Gdy jęk ludu i mord krwawy
Do uszu jego dochodził,
Westchnął, i twarz mu sędziwą
Łez potok skropił obfity,
Wspomniał na młodość szczęśliwą
I na wiek swój nieużyty.

A gdy siła chęci zdradza,
Gdy grot z słabéj pada dłoni,
Syn ciężką starość nagradza,
Zdolny do konia i broni:
Niechętnie Potocki młody
Dni swoje trawił w pokoju,
Męztwo łączył do urody,
I drżał na wspomnienie boju.

Synu, rzekł hetman ze łzami,
Kraj twój w ciężkiéj jest potrzebie,
Idź broń go twemi piersiami,
Bądź godnym przodków i siebie.
Wiedz, że w każdéj życia dobie
Dla ojczyzny tylko żyjesz;
Ja szczęśliwy legnę w grobie,
Gdy się ty chwałą okryjesz.

Lecz już trąb i kotłów wrzawa
Zgromadza zewsząd rycerze,
Tuman kurzawy powstawa,
Wszędzie hełmy i pancerze,
Dziedziniec, bramy i wieże
Zewsząd okrył lud ciekawy,
Spada most, co zamku strzeże,
Ciągnie wojsko na bój krwawy.

Nim przyszli pod Żółte Wody,
Ciągnęli spiesznie noc całą;
Słońce w dzień téj złéj przygody
W krwawych obłokach powstało.
Bohdan hufce swe rozłożył,
Jak tylko oko zamierza;
Mnóstwem się Stefan nie trwożył,
Z garstką na tłumy uderza.

Już wojska zwarły się razem,
Śmierć niosące ognie błyszczą,
Hełm się zgina pod żelazem,
Strzały na powietrzu świszczą;
Lecz gdy wódz nieulękniony
Walczy w tłumie niebezpiecznym,
Strzałą w piersi ugodzony
Pada, ujęty snem wiecznym.

Tak pewne naszych zwycięztwo
Zgon wodza młodego zdradza,
W żal ciężki zmienia się męztwo,
Wojsko się w koło zgromadza:
Łzami skrapiają twarz bladą,
I otarłszy ze krwi blizny,
Ciało na tarcze swe kładą,
Nadzieje wojska, ojczyzny.

Spoczywaj rycerzu mile
Między cichym drzew tych cieniem,
Niech księżyc głuchéj mogile
Przyjaznym świeci promieniem;
Jeźli kiedy rycerz mężny
W téj się tu znajdzie krainie,
Spojrzawszy na grób potężny,
Niech, jak ty, walczy i ginie.

Bolesław Krzywousty.

(Przez Niemcewicza.)

Jeszcze Bolesław był małém dziecięciem,
Już czuł w sobie żądzę sławy;
Bo gdy Sieciecha za Czechów wtargnięciem
Król wysyła na Morawy,
Młodziuchny Książę widząc szyki zbrojne,
Jął prośby swoje przekładać:
Niech i ja ojcze, rzekł, idę na wojnę,
Niech się uczę szablą władać.

Rozrzewnion ojciec tą dziecka ochotą,
Hełmem okrywa mu skronie,
Daje mu tarczę, miecz i zbroję złotą,
I mówi: „w kraju obronie
„Użyj jedynie tych znamion rycerza,
„Niech służą chwale, nie dumie,
„Chętnie lud temu berło swe powierza,
„Kto orężem władać umie.“

Mały Bolesław radością wzruszony,
Wcześnie laury zaczął zrywać;
Cały walkom poświęcony,
Służąc uczył się, jak miał rozkazywać.
Wre w nim ochota, gdy trąba bój głosi,
Naprzód się z szyków wydziera,
Jeździ na czaty, głód i zimno znosi
I w trudach siły nabiera.

Młode swe lata zwycięztwami liczył,
Ruś i Pomorzan zhołdował,
A gdy po ojcu berło odziedziczył,
Henryk, co w Niemczech panował,
Pewien, że tłumem najętych orszaków
Zastraszy dzielnych Polaków,
Nie znając, jak nam ohydną zniewaga,
Od Polski hołdu wymaga.

„Ja mam hołdować? Bolesław zawoła,
„Ja! scierpieć taką zniewagę!
„Nie zniży Polak przed obcemi czoła,
„Póki ma oręż, odwagę;
„Ach, stokroć w pośród krwawego zawodu,
„Koronę, życie utracę,
„Niżeli scierpię niesławę narodu,
„I podły haracz zapłacę.“

Blisko Wrocławia bój się krwawy wszczyna,
Brzmią w powietrzu trąb odgłosy.
Uderza Książę, w pień Niemców wycina,
Poległy trupów ich stosy,
Tłum psów żarłocznych pokrwawione szczątki
Okropnie wyjąc rozrywa;
A lud to miejsce dla srogiéj pamiątki,
Psiém polem dotąd nazywa.

Władysław Jagiełło.

(Przez Niemcewicza.)

W bluźnierskich błędach Litwin zaślepiony,
Fałszywym bogom oddawał ofiary,
Kiedy Jagiełło lud swój ulubiony,
Prawéj Chrystusa przyszedł uczyć wiary.
Kruszył bałwany; gdzie gmachy pogańskie,
Wzniósł przybytki i ołtarze pańskie.

A kędy Wilii płynęły strumienie,
Lud w śnieżnych szatach zgromadzon w porządku,
Ze chrztem odbierał światło i zbawienie;
Gdy wśród świętego kapłanów obrządku
Donoszą gońce, że Krzyżak zdradliwy,
Mieczem i ogniem niszczył polskie niwy.

Król rozgniewany czynem tak zuchwałym,
Rozsyła wici w powiaty i ziemie:
Ciągnie ozdobne rynsztunkiem wspaniałym,
Na dzielnych koniach mężne Lecha plemie,
Książę Mazowsza z swym ludem gotowym,
I śmiały Witold w pancerzu stalowym.

Już do Grunwalda wojsko się zbliżało,
Kiedy przed królem mąż krzyżacki staje,
Trzymał dwa miecze, z postacią zuchwałą;
„Mistrz mój, zawołał, teć oręże daje,

„Dla lepszéj w walce dzisiejszéj usługi,
„Ten miecz dla ciebie, dla Witolda drugi.“

Mam mieczów dosyć, lecz i te się zdadzą
Na karki dumnych, Jagiełło odpowie;
Tu wzniosłszy oczy: o najwyższa Władzo!
Boże, co dzierzysz w ręku ludów zdrowie,
Błogosław w słusznym boju wojownikom,
Daj nam zwycięztwo, zgubę najezdnikom.

A w tém na konia cisawego wsiada,
Dobywa miecza i zniża przyłbice,
Wojsko, nim trąba walkę zapowiada,
Zaczęło śpiewać pieśń Boga Rodzice,
Huknęły kotły, dźwięk zaszczęknął broni,
I ziemia drzała pod tententem koni.

Jak czarne chmury pędzone wiatrami,
Gdy z srogim grzmotem uderzą o siebie,
Tak hufce polskie z Krzyżaków rotami,
Zwarły się trzaskiem w téj ciężkiéj potrzebie,
Wre krwawa bitwa, a zawsze na przedzie,
Król swych Polaków, Witold Litwę wiedzie.

W tém z boku Dypold, rycerz znamienity,
Leci i wszystko wywraca i łamie,
Miał zbroję czarną, krzyż na boku ryty,
Kaptur na głowie, pas złoty przez ramie.
Nikt go nie wstrzymał i nikt go nie strwożył,
Natarł na króla i drzewcem nań złożył.

Król odbił włocznią, drugi cios śmiertelny
Dypold nań mieczem ogromnym wymierza,
Widzi to, bieży Oleśnicki dzielny,
I jedném cięciem obala rycerza,
Ten gdy powstając sztyletu dobywa,
Król ostrym mieczem piersi mu przeszywa.

Złamani ze wszech stron nieprzyjaciele,
Zwycięzkiém wojskiem nie walczyli więcéj,
Poległ mistrz wielki na rycerstwa czele,
Poległo Niemców sześćdziesiąt tysięcy,
Uszłe pod mieczem szczątki rozproszone,
W lasach i bagnach znalazły ochronę.

Po bitwie pierwsi z wodzów znakomitych,
Przyszli rzucając pod królewskie nogi

Pięćdziesiąt jedna chorągwi zdobytych,
Za niemi widok przybliżył się srogi,
Na czarnym wozie powoli wiedzione
Wielkiego mistrza zwłoki krwią zbroczone.

Król patrząc na tak ciężką losów zmianę,
Zapłakał rzewnie; zgon, rzekł, tego męża
Zagładza pamięć na krzywdy zadane,
Winien czcić męztwo ten, który zwycięża.
Niech ten co walczył i mężnie i długo,
Ostatnią będzie uczczony posługą.

Te zaś chorągwie, te zbroje zwleczone
W tryumfie nieście; niech w państwa stolicy
W świętym przybytku będą zawieszone,
Niech na ich widok zadrzą hołdownicy.
Zczernią je wieki, zaginą ich szczątki,
Lecz nic nie zgładzi dnia tego pamiątki.

Kazimierz Jagiellończyk.

(Przez Niemcewicza.)

Władysław poległ, głos się zaczął szerzyć,
O ciężkiéj klęsce pod Warną,
Lecz śmierci jego naród nie chciał wierzyć,
Przejęty rozpaczą czarną.
W dalekie kraje wysłał liczne posły,
By mu o losie Monarchy doniosły.

Naprożno gońce Carogród wspaniały,
Obce zwiedzili narody,
Próżno się głos ich obijał o skały,
Już nie żył bohater młody;
Polacy smutne bezkrólewie głoszą,
I bratu berło ze łzami odnoszą.

Kazimierz w Litwie spędziwszy wiek młody,
Litwę nad wszystko przekładał,
Życzyła Polska, by dwiema narody
Jak Władysław wspólnie władał;
Trzy lata zeszło po braterskim zgonie,
Nim go Polacy ujrzeli na tronie.

Ledwie wziął berło, już Krzyżak zażarty,
Co nigdy Polsce nie sprzyja,
Z Elby i Renu posiłkami wsparty,
Chorągiew buntu rozwija;

Król zagniewany świetny bułat bierze,
I mężne w pole wywodzi rycerze.

Pod Chojnicami krwawy bój stoczony,
Legły Polaków tysiące,
Już Król walecznych szyków pozbawiony,
Czuje swe siły mdlejące,
Już pada pod nim biegun wiatronogi,
I słońce gaśnie, i dmie wicher srogi.

Kiedy rozpacza w tak okropnym razie,
Głos go nieznany uderza,
Widzi wspartego na pobliskim głazie
We krwi potokach rycerza,
Ten ciężką ranę gdy ręką zakrywa,
Tak się do Króla swojego odzywa:

„W jakim, Królu, oglądam cię bycie?
„Bierz konia mego coprędzéj,
„Przed buntowniki unoś drogie życie,
„Nie patrz na widok méj nędzy.
„Mniejsza, że legnę pod srogiemi ciosy,
„Ty żyj i czuwaj nad Królestwa losy!“

Król ściąga szyki, porządek przywraca,
W koło Chojnice oblega,
Szturmowe działa przed miasto zatacza,
Kusz gęstych huk się rozlega,
Ogniste kule przez powietrze lecą,
I w pysznych gmachach srogi pożar niecą.

Wzięty gród szturmem: niewiasty trwożliwe
Litości Króla błagają,
Jarzma Krzyżaków Prusy niecierpliwe,
Całkiem się Polsce oddają.
Pomścił lud ucisk i Krzyżackie zbrodnie,
I złączon z Polską żył odtąd swobodnie.

Po długich walkach zwołał Król w Piotrkowie
Na obrady mężów biegłych,
Wtenczas raz pierwszy ziem wszystkich posłowie
Ciągnęli z krain odległych,
Z brzegów Baltyckich Słowiańskie narody,
I ci, co piją mętne Dniepru wody.

Kazimierz zasiadł na tronie wyniosłym,
W koronie, w szatach ozdobnych,

Przy nim sześć synów w wieku już dorosłym
I siedem córek nadobnych,
Nikt wtenczas myśli z patrzących nie zwrócił,
By ród tak drogi Polskę osierocił.

Na stopniach tronu w okazałym dworze
Lenni Książęta staneli,
Hospodar Wołoch i ci co Pomorze
I co Mazowsze dzierżeli,
Za niemi świetne poselstwo przybywa
I Władysława na tron Czeski wzywa.

Wtenczas Jagiełłów rozkrzewione plemię
Szeroko wszędy słynęło,
Czechy, Szląsk żyzny i Węgierską ziemię
Pod berło swoje ujęło.
Gdy wszystko kwitnie, wszystko wieńczy sława,
Kopernik światu nowe nadał prawa.

Karol Chodkiewicz.

(Przez Niemcewicza.)

Kiedy Batory na Moskalów godzi,
I Litewskie pułki zabiera,
Grono młodzieńców drogę mu zachodzi,
By powitać bohatera.

Któż to pachole, król Stefan zapyta,
Téj pięknéj, śmiałéj postawy,
Albo się mylę, lub nad nim już świta,
Promień bohatyrskiéj sławy.

Był to Chodkiewicz, z młodości poranku,
Rycerskie lubił ćwiczenie,
Godził na ostre, lub w zawartym szranku
Żelazne zrywał pierścienie.

Gdy pierwsze stawił pod Zamojskim pole,
Wódz hamując zbytek męztwa,
Na lepsze, wołał, zachowaj się dole,
Czekają ciebie zwycięztwa.

Spełnił Chodkiewicz, co wódz zapowiadał,
Wielkim stał się wojownikiem,
Nie jednę klęskę bitnym Szwedom zadał,
Odwagą i zręcznym szykiem.

Przezeń Inflanty Polsce się wróciły,
On zgiął dumę Sudermana,
Przezeń Kirchholmska z nierównemi siły,
Pamiętna w dziejach wygrana.

Tam w wątłych łodziach ogień niosąc wzdęty,
Morskiéj powierza się fali,
Pod Salą szwedzkie napada okręty,
Zwycięża, bierze i pali.

Po bitwie w kole stojąc obozowym,
Nagradzał rycerstwo swoje,
Temu dał konia z rzędem turkusowym
Temu hełm i kolcze zbroje.

Kto mężny, tego odwagę wychwalał,
Kto zgwałcił karność wojskową,
Niepowściągniętym gniewem się zapalał,
I umiał karać surowo.

Ilekroć Polska nieprzyjaciół miała,
On wszystkich walczy, zwycięża,
Turczyn, Szwed mężny i Moskwa doznała
Dzielności jego oręża.

Anna Ostrogska ceniąc w wielkim człeku
Męztwo i zdobyte kraje,
Licząc zwycięztwa, nie postrzega wieku,
I piękną rękę mu daje.

Z trzech części świata zebrał Osman dumny
Liczne szyki pod Chocimem,
Juczne wielbłądy, działa i lud tłumny
Posępnym ćmiły się dymem.

Walczy hetman w bitwach zapalczywych,
Na czele swoich naciera,
Dowodzi, walczy w wycieczkach szczęśliwych,
Przeważne tłumy odpiera.

Próżno Karakasz przykładem i głosem,
Do rzezi hordy zagrzewa,
Gdy śmiertelnym ugodzony ciosem,
Bluźnierczą duszę wyziewa.

Ugięty Osman przez okropne straty,
Gdy już umowy zawiera,

Chodkiewicz złaman trudami i laty,
Do namiotu wodze zbiera.

Stał hetman polny i rotmistrze dzielne,
Gdy z łoża wódz się podnosi,
Każdy już widząc znaki w nim śmiertelne,
Łzą cichą jagody rosi.

Wódz się odzywa: Kochani rodacy,
W zbyt ciężkiéj rzucam was chwili,
Lecz się nie trwożę, jesteście Polacy,
Walczcie, jakeście walczyli.

Niech w was ojczyzny pamięć nie ustaje.
Tu wodzów tuli do łona,
Lubomirskiemu buławę oddaje,
Ściska za rękę i kona.

Już się żałosny płacz w obozie wszczyna,
Pogonie kirem okryte,
Ten świetne pod nim zwycięztwa wspomina,
Ów miasta szturmem dobyte.

Osman czcząc w wodzu pomyślność oręża,
Acz silna jego potęga,
Na martwych zwłokach walecznego męża,
Mir wieczny Polsce przysięga.

Konstanty książę Ostrogski.

(Przez Niemcewicza.)

Był mąż za czasów Zygmunta pierwszego
Ten nigdy nie znał, co bojaźń lub trwoga
Niezmiernéj siły choć wzrostu małego,
A imię nosił Konstanty z Ostroga.

Jeszcze był młodym, kiedy z kopijniki
Po nad Wiedrożą Moskwie stawił pole,
Uniósł go rumak w nieprzyjaciół szyki,
I mężny rycerz dostał się w niewolę.

Car go srogiemi obciążył okowy,
I do czarnego wtrącił go więzienia,
Nigdy tam ludzkiéj głos nie doszedł mowy,
Ni lube światło dziennego promienia.

Tymczasem w Moskwie Tatarów zagony
Znosiły wojska, pustoszyły kraje,
A car w rozpaczy zewsząd opuszczony,
Przed swoim jeńcem niespodzianie staje.

„Ostrogski, rzecze, już w nie jedném dziele
„Okazałeś się odważnym i zdolnym,
„Weź hełm i pawęż, stań na wojsk mych czele,
„Zwycięż Tatarów, a zostaniesz wolnym.“

Wódz polski srogie pogromił Tatary;
Lecz w daném słowie gdy go car zawodzi,
Pełen zniewagi z bezwstydnéj niewiary,
Dopada konia i skrycie uchodzi.

Już długo jechał w ciemnéj lasów ciszy,
Gdy postrzegł kościół kędy buków cienie,
W nim hymnów Pańskich słodkie pienia słyszy,
I głos kapłana, i organów brzmienie.

Wszedłszy weń, z czołem rzecze nachyloném:
„Panie! co czuwasz nad nieszczęśliwemi,
„Coś jest obrońcą niewinnie skrzywdzonym,
„Daj zdrowo wrócić do ojczystéj ziemi!“

Gdy on się modli, Bojary wysłane,
Mijając kościół, pędzą torem drogi,
Ostrogski dążąc przez szlaki nieznane,
Ogląda króla i ojczyste progi.

Już pełen zemsty za krzywdy doznane,
Skoro mu dana litewska buława,
Kędy car przywiódł tłumy nieprzejrzane,
I on pod Orszą z dzielnym ludem stawa.

Wraz pierś bechterem a szturmakiem głowę
Obwarowawszy, dobywa bułata,
Objeżdża szyki do sprawy gotowe,
Jak wiatr na koniu białonogim lata.

„Rycerze moi, dziś bądźcie mężnymi!“
Woła ogromnie; ci już mieczem sieką,
Na wylot kolą spisami ostremi,
Wszędzie krew płynie i trzewa się wleką.

Z osiemdziesięciu tysięcy w tym boju,
Czterdzieści nasi trupem położyli,

Rzeź tak okropna, że spragnieni w znoju
W przyłbicach wodę z krwią zmąconą pili.

W zamku Ostrogskim w gnuśności nie tonie:
Wódz nasz niedługiéj swobody kosztował;
Tatarzyn bystre rozpuściwszy konie,
Brał jeńców, mieczem i ogniem wojował.

Wraz hetman z Litwą i królewskim dworem
Szedł do Wiśniowca, gdzie Tatarzyn dziki
Koczując, pola zalegał taborem,
I straszliwemi odzywał się krzyki.

Konstanty wołał: „towarzysze mili,
„Dziś w ręku naszych barbarzyniec srogi,
„Czas jest byśmy się obelgi pomścili,
„Oto się dymią miast naszych pożogi.

„Zabranych niewiast, licznych dziewic płacze
„Dochodzą do nas: wzięty plon obfity,
„Kryją się w puszczach nieszczęsni oracze,
„Kraj nasz końskiemi zdeptany kopyty.“

Tu zwarłszy konia, spojrzeniem zuchwałém
Podrzucił w górę i schwycił buławę:
„Cześć, rzecze, mężnym, hańba zniewieściałym,
„Idźcie i dzielnie poczynajcie sprawę.“

Próżno Tatarzyn nastając zuchwale,
Chmurą strzał gęstych powietrze zasępił;
Nieustraszony Polak w swym zapale,
Połamał szyki i krocie wytępił.

Wsławił się wódz ten trzydziestu bitwami,
A Zygmunt stary co czcił wojowników,
Chciał żeby hetman okryty laurami,
W tryumfie wjeżdżał wśród ludu okrzyków.

Duma o Żółkiewskim.

(Przez Niemczewicza.)

Za szumnym Dniestrem, na Cecorskiém błoniu,
Gdzie Żółkiewskiego spotkał los okrutny,
Jechał Sieniawski odważny i smutny,
W błyszczącéj zbroi i na śnieżnym koniu.

Maj właśnie drzewa i kwiaty rozwijał,
Księżyc w noc cichą świecąc roztoczony,
O srebrne skrzydła i hełm się odbijał,
Lecz rycerz wzdychał żalem obciążony.

Gdy dumał, alić po bladym promieniu
Błyszczącą widzi stal pomiędzy krzaki,
Był to hełm; na nim w zbyt drogim kamieniu
Herb Żółkiewskiego, i rdzy krwawéj znaki.

Zdjął go, i na tak tkliwe widowisko
Jął mężny rycerz rzewne łzy wylewać,
A widząc srogie walk bojowisko
Usiadł i takie rymy zaczął śpiewać:

Cecorskie pola i wy głuche lasy!
Co na wierzchołkach swych wiatry niesiecie,
Roznieście ciężkie żale me po świecie
Nad wodzem sławnym w wiekopomne czasy.

Mężu! co sławy chęć wyssałeś w mleku,
Zamojski twoje przepowiadał cnoty,
Pod jego znakiem w wiosny jeszcze wieku
Słałeś mord srogi w liczne Niemców roty.

Cóż, gdy hetmanem zostałeś z rycerza,
I świetnym pułkom przywodzić zacząłeś?
Granice Polski ręka twa rozszerza,
Podbiłeś państwa i już Moskwę wziąłeś.

A gdy się walą wieże niebotyczne
Dawnego grodu, oręż twój gotowy
Wojska Moskalów rozproszywszy liczne,
Wkłada na carów zwycięzkie okowy.

Hetmanie pełen nieśmiertelnéj sławy!
Dniu w sercach polskich nigdy niezmazany!
Kiedyś z szczęśliwéj wróciwszy wyprawy,
Przed zgromadzone stawił jeńców stany.

Król Zygmunt siedział na tronie, a w koło
W szkarłatnych szatach poważni ojcowie,
Młody Władysław pozierał wesoło;
W tém szedł Żółkiewski, a za nim carowie.

Królu, narodzie wolny i potężny!
Wiodęć ród carów nieszczęsny, lecz mężny,
Przyjm go nie jako chluby widowisko,
Lecz jak odmiennéj fortuny igrzysko.

Bodajby nieba, co nam dziś szczęściły,
Wiodły zwycięztwa za orły polskiemi,
Bodajby wnuki sposoby srogiemi,
Za krzywdy przodków nigdy się nie mściły!

Ty Władysławie byś jéj klęski słodził,
Moskwać przezemnie śle poddaństwa śluby,
Rządź nią, lecz wspomnij kędyś się urodził
Niechaj ci kraj twój zawsze będzie luby!

Tak mówił hetman; któżby rzekł, że chwile
Tak świetne w ciężkie zamienią się klęski?
Że nie mogąc się Turków oprzeć sile,
Szanowną głowę da pod miecz zwycięzki!

Obóz mu cały, wśród łez i rozpaczy,
Wyniósł grobowiec i zwłoki w nim schronił,
Na nim ten napis śmierć i cnotę znaczy:
„On piersi swemi ojczyznę zasłonił.“

Ty drogi hełmie skronie mu wieńczyłeś
I włos zsiwiały na pracach ojczyzny,
Ty w bitwach młodym rycerzom świeciłeś,
Tyś mu na czole krył szlachetném blizny!

Przysięgam, że cię na głowę nie włożę,
Aż nieprzyjaciół krwią mego nie zmyję,
Aż cieniom wodza ofiary nie złożę,
I pól Cecorskich trupem nie okryję.

A tak Sieniawski, każdy bój stoczony,
Chciał, by dla niego był chwałą lub zgubą,
Dotrzymał słowa, i laurem wieńczony,
W ogromnym hełmie stanął przed swą lubą.

4. Legendy czyli Podania święte.

Legenda wstępna.

(X. I. Hołowińskiego.)

W czasach grabieży i niepokoju
Był człowiek, co przez lat wiele
Zebrany pieniądz o krwawym znoju
Przechował w garnku w popiele.

Lecz się nie zwierzył w nagłém skonaniu
Ani przed żoną, lub dzieckiem;
I długo, długo tak w zaniedbaniu
Ten garnek stał pod przypieckiem.
Jednego razu wszedł do téj chaty
Biedny zgłodniały podróżny,
Ledwie okryty podłemi szmaty,
I kornie prosił jałmużny.
Choć gospodyni wpośród rodziny
Przy jadle była za stołem,
Lecz bez litości, jakby na drwiny,
Dała mu garnek z popiołem.
Żebrak z modlitwą opuścił chatę,
Przyjąwszy datek z ochotą;
Bóg za pokorę dał mu zapłatę:
Bo znalazł w popiele złoto.
Tak doświadczenie prawdy żywota
Złożyło w prostéj legendzie:
Niech pyszny rozum szyderstwo miota,
Pokora prawdy dobędzie.

Brzoza Gryżyńska.

(Franc. Morawskiego.)

Wznosi się w gruzach na Gryżyńskiéj ziemi
Kościół świętego Marcina,
Głośnie on niegdyś hymny brzmiał boskiemi,
Dziś głucha w polu ruina.

Mnóstwo tam grobów i mogił dokoła
Liczne kryje pokolenia,
A biała brzoza, jak skrzydłem anioła,
Cichy sen zmarłych ocienia.

Jeśli to drzewo, pierwszy wieniec wiosny,
Ciekawość twoję obudzi;
Zkąd polubiła ten pobyt żałosny,
Gryżyńskich spytaj się ludzi.

Onego czasu, lecz któż wie, lat wiele?
W prostym ci rzekną sposobie,
Zmarło tu dziecię i przy tym kościele
W zimnym złożono je grobie.

Cicho, cichutko w swéj mogile leżał
Antoś, matczyna nadzieja,

Kiedy wtem kopacz do księdza przybieżał,
I tak strwożył Dobrodzieja:

„Jakieś nam licho na cmentarz się wdarło,
„Próżno człek strzeże i czuwa;
„Dziecię, co właśnie przed tygodniem zmarło,
„Wciąż rączkę z grobu wysuwa.“

Dziwi się pasterz, krzyż i stułę bierze,
Biegnie na miejsce zjawiska,
I trzykroć żegna, i zmawia pacierze,
I sam rączkę w ziemię wciska.

Wznosi się sercem, duszą w niebo wznosi,
Przy drobnéj klęczy mogile;
Ale daremnie i błaga i prosi,
Widmo powraca za chwilę.

Dzwoni więc pleban, całą wioskę woła,
Młodzież i starce i dziatki,
A kiedy wszyscy już staną do koła,
Tak się odzywa do matki:

„Co w syna twego dzieje się tu grobie,
„Ja ludzką myślą nie schwycę;
„Saméj to tylko wiadomém jest tobie,
„A więc wyjaw tajemnicę.“

Wzbrania się matka i zalewa łzami,
I ręce łamie z rozpaczy;
Gdy wtem strasznemi zaklęta słowami
Tak się wśród jęku tłómaczy:

„Kara to mojéj matczynéj ślepoty,
„Bóg mi złem za złe odmierzył;
„Synek ten memi popsuty pieszczoty
„Raz mię w swym gniewie uderzył.“

„Bierz więc tę rózgę i chłoszcz rękę syna,“
Tak pasterz na nią zakrzyknął,
„Ziemskiéj on się tu kary dopomina,
„Aby wieczystéj uniknął.“

„Uderz!“ zawoła — i silném ramieniem
Matka do grobu ciągniona
Odwraca oczy i z ciężkiém westchnieniem
Okropnéj kary dokona....

I patrz! zaledwię różczkę puszcza z dłoni
I pada, jakby nieżywa,
Sama się rączka w grób swój wraca, chroni,
I znów ją ziemia pokrywa.

I wszystkie serca zimny przestrach ściska,
Śmiertelnym dreszczem przenika;
A ksiądz na pamięć strasznego zjawiska
Różczkę na grobie zatyka.

I drugim cudem, w pierwszéj zaraz wiośnie,
Gęsty liść ją ozielenia,
Coraz się wyżéj i wzmaga i rośnie,
W rozległe drzewo zamienia.

Runął kościołek i niejedne czasy,
Niejedna przeszła nawała,
Walą się dęby, całe walą lasy,
A brzoza stoi, jak stała.

I wciąż liczniejsze przychodzą tam dzieci,
Patrzą nań w strachu i grozie;
I coraz daléj i słynie i leci
Powieść o Gryżyńskiéj brzozie.

Buława Madeja.

(X. I. Hołowińskiego.)

Biedny kapucyn szedł po posłuszeństwie
Do odległego swojego klasztoru;
Był zatopiony cały w nabożeństwie,
Bo się zbliżyła godzina wieczoru.
Krzyż miał na piersiach, różaniec za pasem,
A szedł powoli głuchym, wielkim lasem.
Gdy tak w modlitwie myśl do Boga niesie,
Opuścił drogę i zabłądził w lesie;
Długo się bije wśród lasu gęstwiny,
Ale nie znalazł ścieżki lub drożyny.
A wtem się ludzka jawi mu postawa,
Włos czarny w kudłach, jak noc, twarz zacienia,
Wzrostu wielkiego, a w ręku buława,
I mordem tchnące posyła wejrzenia.
Rzekł mu spokojnie zakonnik ubogi:
Bracie, nie możesz pokazać mi drogi?
— Dalekoś zabrnął, już teraz i ciemno,
Przeto dziś u mnie chciéj przyjąć gospodę:

Ubogą strawą posilisz się ze mną,
A jutro świtem na drogę zawiodę. —
Poszli i przyszli w jakiś jar głęboki,
Strumyczek jęczał tam na samym spodzie,
Pod górą grota kuta wśród opoki,
Drzewa i krzaki kryły ją przy wchodzie.
Gospodarz ogień zapala w jaskini,
Przygotowanie do wieczerzy czyni.
I milczą oba, lecz mąż świątobliwy
Wpadł nagle w trwogę i wielkie zdumienie;
Włos mu na głowie powstał jakby żywy,
Znać, że ma straszne jakieś objawienie.
— „Cóż to ci ojcze?“ gospodarz zapyta.
— „Patrz, przepaść piekła przed nami odkryta:
Patrz na katusze! — Słuchaj, co za jęki!
Patrz, potępieniec nie chce Lucypera
Słuchać, lecz darmo jemu się opiera; —
Już mu zadają niesłychane męki,
Chłoszczą żelaznym i ognistym biczem; —
— Palą go — warzą — lecz niezgięty niczem. —
— Słuchaj, nieść każą w jakieś straszne łoże,
Co na Madeja rozbójnika czeka. —
Patrz, dusza męki wytrzymać nie może
I posłuszeństwo w pokorze przyrzeka. —
O, dzięki Bogu, piekło się zapadło,
I nagle znikło to straszne widziadło.

Gospodarz upadł do nóg zakonnika
I rzekł: — Madeja widzisz rozbójnika!
Oddal odemnie piekielne katusze!
O mężu święty, nie odmów opieki!
Pomóż biednemu zbawić grzeszną duszę;
Tu mnie piecz, tu siecz, lecz przepuść na wieki.
Ksiądz go spowiada, a twarzą łaskawą
Jeszcze ośmiela, aby wyznał zbrodnie. —
Księże, rzekł zbójca, tą samą buławą
Ojca i matkę zabiłem wyrodnie;
A innych mordów pamięć nie opowie,
Może tak wiele, jak włosów na głowie. —
Nie mogę, rzekł ksiądz, dać ci rozgrzeszenia,
Jednak się nie chciéj pogrążyć w rozpaczy:
Żałuj, pokutuj, a łzy i cierpienia
Bóg dobry przyjmie i zbrodnie przebaczy.
Powstał zakonnik, a jakby z natchnienia
Wyszedł z pieczary i wziął z jego dłoni
Straszną i krwawą buławę z jabłoni,

I wbił ją w ziemię, zdala od strumienia.
Jeśli, rzekł kapłan, chcesz umrzeć w pokoju,
Noś wciąż dwie sakwy, a pełne kamienia,
I klęcząc pełzaj aż do tego zdroju,
Ustami czerpaj wodę ze strumienia,
I dniem i nocą buławę podlewaj;
Jeszcze roś łzami, westchnieniem zagrzewaj,
W poście, modlitwie, wśród łez i cierpienia
Ciągle boskiego błagaj przebaczenia:
Gdy Bóg twych jęków i prośby wysłucha,
Wtedy odżyje ta buława sucha
I w piękną jabłoń bujnie się rozwinie!
Tak im noc przeszła; o świtu godzinie
Zbójca na drogę zawiódł kapucyna,
A potém z wiarą pokutę zaczyna.

Przeszło lat wiele, z latami przechodzi
Wszystko na świecie, wszystko się przemienia;
W starców zgrzybiałych zmienili się młodzi,
Miasto ich kwitną nowe pokolenia.
W jesiennéj porze pomału się wloką
Dwaj kapucyni przez puszczę głęboką.
Wtém zapach jabłek rozszedł się w téj stronie,
Lecz zapach dziwny, jakby rajskie wonie.
Bracie, rzekł starzec, udaj się do lasu
I narwij jabłek, co tak pachną mile;
Ja tu zaczekam i skorzystam z czasu,
Bo utrudzony odpocznę przez chwilę. —
Poszedł braciszek i nie długo bawił,
Ale z próżnemi rękami się stawił.
Ojcze, rzekł, w całém życiu, jak przypomnę,
Nigdym podobnéj nie widział jabłoni,
Bo jabłka rodzi nadzwyczaj ogromne,
Jak krew czerwone, lecz ich starzec broni;
Włos go okrywa, głowa ubielona,
Klęczy i jabłoń objął w swe ramiona.
Chciałem rwać jabłka, lecz pustelnik rzecze:
Nie ty sadziłeś, nie ty zerwiesz, człecze.
A kapłan mową braciszka się zdumiał,
Coś sobie wspomniał i wszystko zrozumiał.
Zaraz tam poszedł z bratem i obaczył,
Że Bóg pokutę zbójcy przyjąć raczył.
Trzęś, rzekł do zbójcy; potrząsł, lecz nie spada
Najmniejsze jabłko; wtedy go spowiada,
A po spowiedzi znowu trzęść mu każe,
I wszystkie jabłka wnet się posypały,

Lecz dwa największe na wierzchu zostały.
„Widzisz, rzekł kapłan, że Bóg dobry maże
Wszystkie zabójstwa prócz ojca i matki:
Lecz nie rozpaczaj, Bóg kocha swe dziatki,
Jeszcze łez więcéj, jeszcze westchnień trzeba;
Błagajmy razem miłosierne nieba.“
Łzom i modlitwie Pan Bóg zawsze sprzyja.
Para gołąbków siada na jabłoni,
Wesoło grucha, wesoło się goni,
Trzepiąc skrzydełkiem te dwa jabłka zbija.
„Jak dobry zbawca modłów prędko słucha!
Mówił pustelnik rosząc łzami lice,
Bóg mi przebaczył i moi rodzice! —
Tak niebu miła w ludziach święta skrucha.“
A wtem zamilknie, na pierś głowę skłoni,
Oddaje z rajskim śmiechem Bogu ducha.
Para gołąbków zrywa się z jabłoni
I lecąc w niebo taką pieśnią grucha:

Po łzach i znoju
Chodź do pokoju,
Kochany synu nasz:
Grzech cię nie plami,
Obmytą łzami
Sukienkę cnoty masz.
Jęki i łezki
To kwiat niebieski,
Jak rozkoszna jego woń!
Błogosławiona
Miłość wcielona
Tem kwieciem zdobi ci skroń

Bóg się weseli,
Święci, Anieli,
I cały cieszy się raj,
Żeś ty zgubiony
Dziś powrócony
W ojczysty niebieski kraj.
Ach temu błogo,
Kto skruchy drogą
Zechce duszę swoję wieść;
A tobie, Panie,
Za zmiłowanie
Chwała i sława i cześć!

Chleb.

(Adama Gorczyńskiego. Wedle podania Oliwskiego klasztoru.)

Kaźmierz panował, ze szczepu Piasta
Ostatni potomek męski,
Gdy padła klęska na wioski, miasta,
Nad wszystkie straszniejsza klęski.

Bo ziemia latem zwędzona parnem
Z długiego słabła pragnienia,
Nie wypłaciła jesieni ziarnem
Wzięte na wiosnę nasienia.

Pierwszym to było w kraju przykładem,
Że Polak, co z łaski nieba

Chlebem się dzielił z swoim sąsiadem,
Dzisiaj umierał bez chleba.

Wtenczas król chłopków swemu ludowi
Królewskie śpichrze otworzył;
Lud błogosławił temu królowi,
Którego ziarnem on ożył.

Kiedy się bliżsi do króla garną,
On widząc powszechną nędzę,
Gdzie nie mógł swoje dorzucić ziarno,
Tam on posyłał pieniądze.

Ale kraina rozległą była,
Wisły przepasana wstążką,
Czołem się w wodach Baltyku myła
Stopę oparłszy o Śląsko.

A tak powszechny był niedostatek
I wszędzie równe potrzeby,
Że nie do wszystkich dojść mogły chatek
Pańskie pieniądze ni chleby.

W onym to roku powszechnéj nędzy,
Gdy z głodu naród umierał,
Był panek; zdzierstwem mnogo pieniędzy
I ziarna mnogo nazbierał.

I choć zamożny z łońskiego[1]) zbioru,
W kmiecią siermięgę się przebrał,
Do Oliwskiego chadzał klasztoru,
Nędzę udawał i żebrał.

Razu jednego gdy wracał z miasta
Chleb niosąc w zawoju szaty,
Z dzieciątkiem w ręku stara niewiasta
Z przydróżnéj wybiegła chaty.

I woła: „Ratuj! jam z głodu chora,
Pan Bóg ci będzie odpłatą,
Ty wracasz z miasta, niesiesz z klasztoru
Chleba bochenek pod szatą.

Podziel się chlebem, posil niebogę,
Jeżeli serce masz człeka:
Ja stara jestem, ranną mam nogę,
Droga do miasta daleka.“

1) przeszłorocznego.

„Babo!“ rzekł panek, „pokój daj święty,
I nie zatrzymuj mię w drodze;“
I znów litością niby przejęty
Dodał: „Zawiodłaś się srodze:

Nie chleb ja niosę, lecz kamień prosty;
U nas bo kamień jest rzadki,
A mam na rzece budować mosty,
Co płynie wedle méj chatki.“

Na to niewiasta: „Człeku! tyś skłamał:
Bo chleb ty niesiesz, nie kamień;
Lecz chleb, któregoś ze mną nie złamał,
Boże! w kamienie ty zamień.“

Ledwie co rzekła, panek postrzega,
Że chleba bochen ociężał;
Ciężarem swoim ramię przylega,
Na twardy kamień bo stężał.

Otruchlał, czołem na ziemię padł,
Inne prowadził już życie:
Za wszystkie chleby, co głodnym skradł,
Odpłacił głodnym obficie.

Dotąd w Oliwie w klasztornym ganku
Wisi ten kamień na ścianie;
I głośna powieść o skąpym panku
I chleba w kamień przemianie.

Sierota.

(X. I. Hołowińskiego.)

Ciężko żyć biednéj sierocie,
Bo wiele cierpieć potrzeba,
I służyć o krwawym pocie
Na gorzki kawałek chleba.
O! ciężko biednéj sierocie.

Józia bez rodziców jedna
Została mając rok piąty,
I odtąd sierota biedna
Wycierała cudze kąty.
O! nie daj Boże nikomu
Na łasce żyć w obcym domu.

Choć ją zdobiła uroda
I dusza bogata w cnotę,
Ale któż rękę jéj poda,
Kto zważać chce na sierotę?
Czy radość śmiech jéj wywoła,
Czy łzę wyciśnie tęsknota,
Wszystko źle: bo kiedyż zdoła
Ludziom dogodzić sierota?

Tak pięknie na bożym świecie,
Rodzice tak pieszczą dziatki!
A ją bez ojca i matki
Nędza jak gniecie tak gniecie.

Dla innych wszystko się śmieje,
I szczęściem kwitną nadzieje;
Jéj pusto i głucho w świecie,
I zimne do koła twarze,
A tylko w życia obszarze
Łzy i cierpienia jéj kwiecie,
Co zrywa o krwawym pocie:
O! ciężko, ciężko sierocie!

Gdy świat odpychał od siebie,
W strzelistéj modlitwy locie
Szukała pociechy w niebie,
Bo Bóg jest ojcem sierocie!
Jedyne szczęście jéj było,
I jedna chwilka jéj błoga,
Nad lubéj matki mogiłą
Modlić się we łzach do Boga.
I wtedy gołąbka biała
Wprost z nieba do niéj leciała,
I skrzydłem muska jéj lice,
I turkocze tak radośnie,
Że wypędza precz tęsknicę,
I dziewczynce serce rośnie.
A wszystkie sieroty łezki
Pozbierał ten ptak niebieski,
I z niemi w rajskie krainy
Białém skrzydełkiem migoce.
Czy to duch matki dziewczyny
Niesie Bogu łzy sieroce?
Po każdéj takiéj modlitwie
Odradzała się na nowo,
I ku dalszéj z losem bitwie
Była silniejszą, gotową.
A gdy rok szesnasty miała,
Ludziom, u których mieszkała,
Już się sprzykrzyła sierota,
I przed nią zaparli wrota.
Rzucając rodzinne strony
Żegnała grób ulubiony,
Skropiwszy go łzawą rosą,
Poszła gdzie oczy poniosą.

Tam za lasem niedaleko
Piękny zamek wznosi czoło,
Ze wszech stron oblany rzeką,
Daléj rozrzucone sioło.
Samotrzeć przez most zwodzony
Jechał dziedzic zamyślony,
A choć jeszcze miał wiek młody,
Już smutek wyssał jagody.
Puścił on koniowi wodze,
W świat dnmania sam się wcielił;
A koń zwolna szedł po drodze,
Jakby zamyślenie dzielił.

Tak zadumany głęboko
Przybliżył się ku dąbrowie,
I rzucił na drogę oko,
A strachu przeszło go mrowie.
Ujrzał dziewczynę ubogą;
Koronkę mówiąc szła drogą,
Lecz przy niéj w Aniołów gronie
Szła niebieskiego uroku
Niewiasta w światła obłoku.
Jéj szata jak słońce płonie,
Czoło w gwiaździstéj koronie,
I patrzy młodzian zdumiony,
Jak z ust ubogiéj dziewczynie
Za każdy pacierz zmówiony
Czerwona róża wypłynie:
A gdy Zdrowaś odmawiała,
Wychodzi lilja biała.
A te z ust dziewiczych kwiaty
Przyjmowali Aniołowie,
I spletli wieniec bogaty,
I podali swéj królowie,
Która ubogiéj dziewczynie
Włożyła wieniec na skronie;
A potém widzenie ginie,
Tylko rajskie słychać wonie.

Młodzieniec padł na kolana
Przed tą dziewczyną ubogą;
A ona przejęta trwogą
Uciekać chce od młodziana:
Bo jéj oko nie widziało,
Co się na modlitwie działo.
— O! niechaj ciebie nie trwożę, —
Wyrzekł młodzieniec nieśmiało,
Wszak cię miłosierdzie boże
Dla méj pociechy zesłało.
Dozwól niech wszystko przełożę:

Parę lat temu minęło,
Jak niebo rodziców wzięło,
I dotychczas po ich zgonie
Moje oko we łzach tonie;
A smutek był takiéj mocy,
Że zwiędło mi życie wcześnie.
Ale właśnie przeszłéj nocy
Rodzice rzekli mi we śnie:
„Czemu się żal twój przeciwi
Boskiéj woli łzami swemi?
Wiedz, żeśmy więcéj szczęśliwi,
Jak najszczęśliwsi na ziemi.
Za twe do nas przywiązanie
Pan Bóg cię pocieszyć w stanie,
Bo choć uboga dziewica
Przeznaczona ci za żonę,
Ale jéj Bogarodzica
Włoży kwiecistą koronę.“
I właśnie oto w téj dobie
Widziałem, w Aniołów gronie
Wieniec włożyła na skronie.

Trwożnie spogląda dziewica,
I od wstydu się rumieni;
A w tém z niebieskiéj przestrzeni
Biała leci gołębica,
I coś wesołego grucha
Biednéj sierocie do ucha.
Józia podnosi młodziana,
Co klęczał u jéj podnoża,
I cicho rzekła zmieszana:
Niech się dzieje wola Boża.
I jeszcze nim dzień się skończył,
Już przed ołtarzem w kaplicy
Stał młodzian obok dziewicy,
A Bóg ich wiecznie połączył.
Józia do dni swych ostatka
Dla sierot była to matka.

Baszyna.

(Przez X. I. Hołowińskiego.)

Jest wioska Baszyna,
Tam na górze dwór,
Za dworem leszczyna,
Daléj głuchy bór.

A w borze Zamczysko,
W koło wielki wał:
Tam dawniéj siedlisko
Dzielny rycerz miał.

I wpadli pohańce
A wszystko strach zdjął;
Wbiegł rycerz na szańce,
Głowę Baszy ściął.

Stąd wioskę Baszyną
Nazwał rycerz sam;
Dziś zamek ruiną
A strach mieszka tam.

Nie wielka osada,
Co otacza dwór;
Jak z pieca tam spada
Ścieżka z wielkich gór.

Po błoni na dole
Horyń wije bieg;
A srebrne topole
Wieńczą jego brzeg.

W téj niegdyś wsi byli
Sławni Prot i Jan,
Przyjaźnią zażyli,
A możny ich stan.

A wszystko łączyło
Tych przyjaciół dwóch:
Jedno serce było
I jeden był duch.

W Zamczysku na górze
Jest kaplicy szczęt;
Kamienny krzyż w murze
Był jéj cały sprzęt.

Kto przysiągł tam krzywo,
Wnet go karał Bóg:
Bo nie wyszedł żywo
Za kapliczny próg.

Tak o téj świątnicy
Zdawna chodzi słuch:
Do strasznéj kaplicy
Szło przyjaciół dwóch.

Przysięgli zwyczajem
Starodawnych lat,
Kochać się nawzajem
Jako brata brat.

Gdy przyszła na Jana
Koléj żegnać świat;
Miał syna Stefana
Jeszcze pięciu lat.

Część mienia rozdziela
Na kościół i lud,
A na przyjaciela
Zda opieki trud.

Przysięgły, rzekł, bracie,
Moim synem rządź,
I po ojca stracie
Ojcem jemu bądź.

Grosz mój pozostały
W twoim ręku masz:
Jak dójdzie lat mały,
Wtedy jemu dasz.

Już Stefan sierota
Lat szesnaście miał,
Pragnął wziąść u Prota
Ojcowizny dział.

Chciwości szatana
Prot w swéj duszy czcił,
Zaparł się, że Jana
Skarb u niego był.

„Gdy ci nędza cięży,
To ojcowski szał:
Na biednych, na księży
Dał wszystko co miał.“

„Niech ojca jałmużny
Wróci niebios pan:
On tobie jest dłużny,
Mnie nic nie dał Jan.“

Rzekł Stefan ze łzami:
Gdyś sumienie struł,
Nie puść mię z torbami,
Daj choć skarbu pół.

Część trzecią i piątą
Choć się zgadzał brać,
A nawet dziesiątą,
Lecz Prot nie chciał dać.

Chcesz w podłym mieć zysku,
Rzekł Stefan, coś wziął?
Chódź, przysiąż w Zamczysku,
Gdzieś ojcu się klął.

Poszli, i gromada
Poszła z nimi wraz:
Prot przysięgę składa,
Gdzie był krzyża głaz.

Lecz gdy się przybliża
Uczcić męki znak,
Jakaś moc od krzyża
Odpycha go w spak.

Padł na wstecz i krzyczy:
— „Ach ratujcie mnie!
Ten czartom w zdobyczy,
Kto się w fałszu klnie.

Jam z biednym sierotą
Tak nieludzki był:
Weźcie sobie złoto,
Com w komorze skrył.“ —

A w tém go oniemi,
Oczy poszły w słup;
Chcą podnieść go z ziemi,
Ale już był trup.

Wszystkich przeszło mrowie,
Spieszą pod swój dach:
Odtąd w téj budowie
Jakiś mieszka strach

Bo słychać tam w nocy
Jak łańcuchów brzęk;
Coś wzywa pomocy,
Coś zawodzi jęk.

Piorun.

(Przez Antoniego Edw. Odyńca.)

(Zdarzenie prawdziwe.)

W skromnym zaścianku wiodła szczęśliwa
Rodzina życie ciche i sielskie:
Ubogiéj szlachty para sędziwa,
I dwie ich córy anielskie. —
I to nietylko krasa ich lica
Z ust im sąsiadów dała to miano:
Z cnót serca znała je okolica,
— Wzorem je dzieci w niéj zwano.
Któżby rodziców śmiał o to winić,
Że choć im samym dość na swéj doli.
Dzieciom by wszakże radzi przyczynić
Szczęścia i świata też gwoli.
Ojciec i matka zdwoili pracę,
Pracę rąk własnych na swym zagonie,
By plon ich córkom starczył na płacę
Nauk w Panieńskim zakonie.
I błogosławił Bóg dobréj chęci, —
Aż jak kwiat, słońca pędzony siłą,
— Im w myśli jaśniéj, tém w sercu święciéj —
Życie się dziewic rozwiło.
I świat je wzywał, pełne nadziei,
Że się ofiarą wzajem i pracą,
Jak Bogu, światło szerząc z kolei,
Tak i rodzicom wypłacą.
I raz ostatni do niskiéj chatki
Wróciły obie; — by pokrzepione
Błogosławieństwem ojca i matki,
Iść na trud, każda w swą stronę.
I widzą matkę, — zdjęta niemocą
Za próg się domu ruszyć nie może:
I słyszą, jak się z ojcem kłopocą
O zbyt dojrzałe swe zboże.
„Kto tam je pożnie? tyś biedna chora,
Najmu opłacić nie jestem w stanie,
A niech dzień wietrzny, — toć do wieczora
Słoma nam tylko zostanie.“
Spojrzały na się dzieweczki obie,
Jedna myśl wzajem z ócz ich błysnęła.
Boże! Ty jeden wiesz, jak w téj dobie
Ta myśl na los ich wpłynęła!
Ledwo jutrzejsze błysło zaranie,
Już obie siostry, z sierpami w dłoni,
Stały u żniwa: a ich śpiewanie
Wesoło brzmiało po błoni.
Wieść się rozniosła na okolicę,
Tłumem się w pomoc skupili żeńcy:
Z czułością matki, z uśmiechem dziewice,
Z czcią i zapałem młodzieńcy.
I nim południa nastał spoczynek,
Już naokoło dwóch sióstr z wieńcami,
Cała drużyna, z pieśnią dożynek,
Stała przed starców wrotami.
O! i pojmijcie radość w téj chatce,
Zapał współczucia w świadków tych gronie,
Gdy takie dzieci, ojcu i matce
Wieńce wkładały na skronie! —
Któż mógł nie życzyć, kto śmiał nie wróżyć
Z błogosławieństwa starców nad niemi,
Że dzieci takie muszą zasłużyć
Najwyższe dobro na ziemi.
I nikt nie baczył, jak z po za domu
Burzliwy obłok wzniósł się, rozszerzył.
Nagle wiatr świsnął, — błysk, łoskot gromu
Piorun wśród izby uderzył! —
Jak stali, padli: ściany zadrżały.
Lecz bez płomienia przeszedł dym siarki,
Powstali wszyscy, tylko nie wstały
Obiedwie siostry żniwiarki.

U stóp rodziców, w chwili zabłysku, | Padły w objęcia i w tym uścisku
Snać jedna w drugiéj szukać opieki, | Klęcząc spoczęły na wieki [1]).

Piast.

(J. U. Niemcewicza.)

Gdy Popiel w chwilach okropnego zgonu
Karzącéj zbrodnie doświadczył prawicy, —
Naród, chcąc wybrać następcę do tronu,
Zebrał się w pięknych równinach Kruszwicy.
Stały nad Gopłem Słowiany rozliczne,
Długie oszczepy, puklerze staliste;
Zamku Popielów wieże niebotyczne
Odbijały się o jezioro czyste.
Gdzie wielkie mnóstwo, ciężko szukać zgody:
Na głośnych sporach czas upływał drogi,
Głód się czuć dawał, a obce narody
Szerzyły w Polszcze najazdy i trwogi.
Ale Bóg dobry spojrzał na Polaków,
Bo ich do wielkich przeznaczeń gotował;
W pośród Kruszwicy spokojnych wieśniaków
Był Piast, co Bogów i ludzi miłował.
Dom jego szczupły, ale zewsząd czysty;
Za Gopłem małą pasiekę posiadał;
Cienił lepiankę jawor wiekuisty,
A na nim bocian gniazdo swe zakładał.
Znaną sąsiadom była na około
I dobroć jego i gościnna hojność;
Znajdował (lemiesz prowadząc wesoło)
W pracy swą żywność, w sumieniu spokojność.
Dzień nadszedł święty dla skromnéj drużyny,
Gdzie jak pogańskie prawo nakazało,
Pierworodnego syna postrzyżyny
Obchodzić miano przez ucztę wspaniałą.

1) Roku 1855 w dniu 16 lipca, w dzień N. P. Szkaplerznéj w okolicach Kumbulu za Dźwiną (w gub. witebsk.) piorun uderzył w ubogą strzechę zaściankowéj szlachty, i nic nie podpaliwszy, zabił na miejscu dwie panienki, córki tych staruszków, w chwili gdy dały dowód najczulszego przywiązania i rzadkiéj wdzięczności dla rodziców, i gdy tę rodzinę otaczało całe grono przejętych uwielbieniem sąsiadów.

Wydarzenie to straszliwe, w którém widocznie jest zrządzenie Opatrzności, przypomina greckich młodzieńców Kleobisa i Bitona, synów kapłanki.

Gdy bowiem razu pewnego w dzień uroczysty, śnieżne woły, na których kapłanka jechać miała do świątyni, na czas oznaczony nie przyszły, a lud niecierpliwić się i szemrać począł: synowie jéj zaprzęgli się do wozu matki i zawieźli ją do świątyni. Lud uniesiony tym dowodem synowskiéj miłości, z uwielbieniem witał ich po drodze; matka zaś, stanąwszy w świątyni, prosiła uroczyście bogów, aby ich wynagrodzili największém dobrem na ziemi. Przy końcu ofiary obaj synowie klęcząc przed ołtarzem, zostali nagle ogarnieni sennością i obok siebie zasnęli na wieki. Mitologia umieściła ich w rzędzie półbogów.

Hoża Rzepicha i Piast nasz sędziwy
Od rana całym trudnią się obchodem,
Stół zastawiają tłustemi mięsiwy,
I duże czary napełniają miodem.

W gronie przyjaciół zaczęły się gody,
Pierwszemi dary już uczczone Bogi;
Gdy dwóch młodzieńców przecudnéj urody
Wchodzi w gościnne biesiadników progi.

Piast i Rzepicha z czołem nachyloném
Proszą, by miejsca chcieli zasiąść swoje;
Lud się gromadzi, a z tłumem zwiększonym
Mnoży się pokarm i słodkie napoje.

Po uczcie świetni zniknęli młodzieńcy,
A lud zgodnemi zawołał głosami:
„Piast luby Bogom, po cóż czekać więcéj:
„Niech będzie królem, rządzi Polakami!“

„Większéj, Piast rzecze, potrzeba mądrości,
By berłem rządzić podług ludu woli;
Zostawcie Piasta w szczęśliwéj mierności
Przy jego pługu, pasiece i roli!“

Gdy wieczór nadszedł, Piast głowę na ręce
Oparłszy, siedział pod jaworu cieniem;
Znów przed dom jego ciż sami młodzieńce
Przyszli, światłości okryci promieniem.

Postać ich Niebian mieszkańców wskazuje,
Od barków śnieżne skrzydła się podnoszą,
Białe ich szaty do ziemi zstępują,
A ciemne włosy woń lubą roznoszą.

Rzekli do Piasta: „Pan co mieszka w niebie,
„Co zedrze wnukom twym błędu zasłonę,
„Aniołów swoich przysyła do ciebie
„Z rozkazem, żebyś wziął polską koronę.

„Szanuj z pokorą świętą jego wolę,
„Wielkie on w Polszcze zakreśla zawody,
„Do chlubnych czynów otworzy wam pole,
„Da wam zwycięztwa, chwałę i swobody.

„Z plemienia twego dzielni wojownicy,
„Pędząc przed sobą barbarzyńskie kupy,
„Na wschód i zachód kres państwa granicy
„Naznaczą w rzekach żelaznemi słupy.

„Przez dziewięć wieków ród wasz istnąć będzie,
„A po was inni tron Piastów osiędą,
„Ujrzy się Polska w pierwszych mocarstw rzędzie,
„A cne książęta hołdować jéj będą.

„Ale pomyślność przywiedzie zepsucie:
„Wkradną się zbytki i ciężkie niezgody,

„Pogwałcą wszystko wyuzdane chucie,
„I kraj ten obce rozszarpią narody.
„Dnia ostatniego głos trąby straszliwy
„Zagrzmi już dla was w pośród gromów bicia,
„Gdy Bóg wszechmocny zawsze litościwy
„W oziębłych sercach wskrzesi iskrę życia."
Tu znikły męże w światłości powodzi,
A Piast zdziwiony pozostał samotnym,
Słodki się zapach w powietrzu rozchodzi,
Jak woń fiołków po deszczu wilgotnym.
Jeszcze Piast dumał, gdy z jutrzenki blaskiem
Lud niecierpliwy tłumnie się gromadzi,
Wita go panem z radosnym oklaskiem,
I na królewskie komnaty prowadzi.
Już wdział purpurę, wziął miecz wojowniczy,
Świetną koroną uwieńczył swe skronie,
A wdzięczny, pragnąc uczcić stan rolniczy,
Rozkazał pług swój postawić przy tronie.
„Ziomkowie, rzecze, kiedy mam panować,
Gdy wy i same Nieba tak zrządziły,
Zaklinam, chciejcież rolnictwo szanować:
W mieczu i pługu są Polaków siły!"

Święty Izydor.

(Franciszka Morawskiego.)

W pośród wiejskie matki, córy,
Znużon drogą, wiekiem zgięty,
Zasiadł pielgrzym z Jasnéj Góry,
I rozłożył towar święty.
Miał różańce, miał szkaplerze,
Mnóstwo krzyżów wydobywał,
A lud wierny swojéj wierze
Za poczciwy grosz nabywał. —
I miał jeden obraz śliczny,
Każdy o treść jego badał,
Pytał, słuchał gmin rozliczny,
A on tak mu rozpowiadał:
„O! nie wiecie wy ludkowie,
Jak za dawnéj tam pamięci
Byli z pośród was królowie,
Byli nawet nieraz święci.
Tam, gdzie tacy, jak my ludzie,
Wśród dalekie ztąd Hiszpany,
W ciągłych modłach, postach, trudzie,
Żył Izydor, Oracz zwany.
Takim, jak wy, był on chłopkiem,
Tak się, jak wy, męczył, nużył;
Przecież mnogich cnót dorobkiem
Myta niebios się dosłużył.
Dziki nad nim pan przewodził,
Sprzęgał z bydłem, kuł do taczek,
Krzywdził, więził, chłostał, głodził,
Wszystko święty zniósł prostaczek.
Zniósł: bo męki Jezusowe
Stokroć bardziéj go bolały:
Cierń, co w boską wrył się głowę,
Rany, co krew świętą lały.
Zniósł, bo sroższe widział dole,
Nieszczęśliwych szereg długi;
Zniósł, bo wiedział, że tu pole,
Nie nagrody, lecz zasługi. —
I raz pan ów bez sumienia
Podwójną mu orkę zadał;
A w przypadku niespełnienia,
Straszną karę zapowiadał.

Westchnął biedny, wstał przed świtem,
Zaprzągł wołki uporczywe,
Szedł z spojrzeniem w ziemię wrytem,
I tak zawiódł je na niwę.
A że w każdéj trudnéj porze
Wprzód do Boga się odnosił,
U stóp krzyża klął w pokorze,
I gorąco błagał, prosił. —
Głowę w świętéj schylił skrusze,
Sercem nieba przywoływał,
Korzył myśli, czyścił duszę,
I w Chrystusa się wpatrywał.
I tak długo i głęboko
Zatapiał się w męce krzyża,
Aż tu słońce już wysoko,
I południe się przybliża.
Zląkł się, jakby z snu przecucił,
I zapłakał w swéj niedoli;
Gdy w tem w koło okiem rzucił:
Jakaś jasność, woń po roli!
Patrzy — widzi zadumiały
Niepojęte cuda! dziwy!
Anioł śliczny, jak śnieg biały,
Doorywa jego niwy!
Każdy zagon wyciągnięty
Tak prościuchno i tak ładnie;
Nie ma bicza rataj święty,
Wołki przecież idą składnie.
Idą z okiem tak wesołém,
Pług tak lekko płynie w ziemi;
Pada chłopek, bije czołem,
Łzami zlewa się wdzięcznemi.
Gdy w tém anioł promienisty
Nagle w górę wzlata, leci;
A jak tęcza pas ognisty,
Długi ślad się za nim świeci.
Niknie, ginie postać święta;
Ginąc, takie słowa głosi:
„Kto o Bogu swym pamięta,
„Temu pomoc Bóg przynosi.“
Wiele, wiele wieków zbiegło,
Nim w tém samém miejscu cudu
Wielkie miasto się rozległo,
A w niém mnóstwo zlało ludu.
Od poranku do wieczora
Nie zliczyłbyś gmachów licznych,
Ni w kościele Izydora
Wszystkich bogactw, wołów ślicznych.
Król po królu w wielkiém mieście,
Włada, rządzi, rozkazywa;
A gdy przyjdzie umrzeć wreście,
Chłopka tego w pomoc wzywa.“

Wyroki.

(Przez Teofila Lenartowicza.)

Czy to tak woda szemrze w strumieniu?
Czy ptastwo śpiewa ukryte w cieniu?
Ani to chłodne strumienie grają,
Ani w gaiku ptacy śpiewają, —
Lecz święci pańscy w rajskiéj ustroni,
Gwarzą ze sobą w cieniu jabłoni.
Święty Mikołaj staruszek siwy,
O ludzką nędzę wielce troskliwy,
Co ma w opiece nasze bydlęta,
O każdéj wiejskiéj krowie pamięta,
Wraca do trzody zbłąkaną w boru
Chroni od wilka i od pomoru,
Wsparty na krzywym kiju pastucha
Pod gałęziami siedzi i słucha,
Łagodny wietrzyk rajskiéj dąbrowy,
Rozwiał mu brodę na dwie połowy,
A wonne zioła perłową rosę
Strzęsły dziadkowi na nogi bose.
Przy nim Piotr święty przyrządza sieci,
W którą gdy złotych rybek naleci,
Zaniesie Panu przez jasne pole
I złoży w niebie na srebrnym stole!
Obadwaj siwi — gołąbki prawe,
Obudwu serca wielce łaskawe,
Gorliwi stróże około ludzi;
Lecz się i święty na świecie strudzi:
Trzy dni powraca Piotr bez połowu,
Co sieć wyciągnie, to spuszcza znowu,

Posnęły rybki w tym świata stawie;
Więc się okropnie staruszek smuci:
Co powie panu, jak próżno wróci?
Może mu Jezus sieci odbierze,
I sam założy srebrne więcierze,
A jak nie znajdzie nic w mętnéj fali,
To spuści ogień i wody spali.
I drugi święty ma swoje troski,
Do nieba skargi przychodzą z wioski.
Że wilcy krówki z przed chaty biorą.
Że wczora zdechło jagniąt kilkoro,
Że spiekłéj ziemi deszczyk nie rosi,
Że święty pasterz Boga nie prosi:
Niby to prawda... lecz na téj ziemi
Trudnoć się spierać z ludźmi grzesznymi. —
Gdy tak biadają schyliwszy czoła,
Słyszą z daleka skrzypki anioła.
Oj, to nie była anielska skrzypka,
Jeno wieść dobra, co leci szybka,
Że tam na ziemi, na chmurnym świecie,
Powiła matka ubogie dziecię.
„A dziękiż tobie, łaskawy Boże!
„Toż mi zakładać niewód pomoże.“
A drugi rzecze: „Chwała na niebie,
„Ja go do trzody wezmę dla siebie.“
Na święte głosy, matka królowa,
Gdy usłyszała dalekie słowa,
Z brylantowego zamku wychodzi,
I miłościwém spojrzeniem godzi,
I rzecze do nich: „Dla téj sieroty,
„Nie miecz skrwawiony, ani laur złoty,
„Nie kij pastuszy, nie sieć rybacka,
„Jeno uboga skrzypka tułacka;
„W odwiecznéj księdze ona wyryta,
„Cieniem żałobnym cała pokryta,
„A na niéj będzie pod niebem brzmiała,
„Wiernego ludu cicha pochwała,
„Samotny pójdzie smętną doliną,
„Dni jego łzami, *pieśniami słyną*...“
„Niechże więc idzie — rzekli miłośnie —
„Niechaj mu serce w boleściach rośnie,
„Niech mu na oczy w cichém uśpieniu
„Przychodzą męże w stalném odzieniu,
„Niewiasty święte w śnieżnéj bieliźnie,
„Wszystko co wielkie w jego ojczyznie,
„I niech mu czasem w noc lazurową,
„Twoje oblicze błyśnie królowo!“
I wyciągnęli swe dłonie drżące,
Trzy święte duchy, potrójne słońce...
A w biednéj chatce wtedy schylona
Pieściła matka dziecię u łona,
Pełna miłości, sercem bogata,
Patrzała w dziecię, w swe skarby świata.

C.

Poezya dramatyczna.

OBCHÓD URODZIN.

ZABAWA NA PRĘDCE.

OSOBY.

Ciotka.	Kostuś.
Marynia.	Adaś.
Krysia.	

(Scena na wsi, w ogrodzie.)

SCENA PIERWSZA.

Marynia, Krysia.

(Teatr wyobraża piękne miejsce w ogrodzie opasane drzewami; zdobią go kwiaty w doniczkach, kanapki.)

Krysia do Maryni, stojącéj smutnie pod drzewem. Otóż stało się jak mówiłam; nadszedł dzień Urodzin Mamy, a myśmy nic nie wymyśliły. Gadałyśmy o nich od Nowego roku, miały być komedye, balety, obrazy, widowiska i skończyło się na niczém.

Marynia. Gdzietam na niczém! skończyło się na tragedyi; doprawdy, że ja dziś w nocy prawie nic nie spałam, budziłam się co chwila, wstałam przededniem i tak się martwię, że téż mamie żadnéj niespodzianéj przyjemności nie sprawimy.

Krysia. Dobrze wam tak, czemuście mnie nie słuchali? Już cztery tygodnie jak mówiłam: grajmy Sielankę Tańskiego, albo Powrót Posła; już Adaś był za mną, aleś ty z Kostusiem nie chciała.

Marynia. Jakże, kiedy nam brakowało strojów, teatru i osób.

Krysia. Wielkie rzeczy! można sobie było poradzić; a wreszcie mniejszą sztukę wybrać, albo dać: *Co kto lubi*, to także bardzo ładne. Radziłam, żeby wziąć Scenę z Barbary, Scenę z Krakowiaków, Scenę z Jadwigi; ty masz piękny głos, Kostuś tak ślicznie wiersze mówi, i byłoby!

Marynia. O zapewne! w twojéj głowie wszystko się zmieści; ale czyż podobieństwo, żeby na wsi we cztery osoby, bez muzyki, dekoracyi, ubiorów można z takiém widowiskiem wystąpić!

Krysia. Już co się tycze osób, to bardzo cię przepraszam, ale mamy ich więcéj jak cztery, bo i Ciocia byłaby chętnie do nas należała; ona tak nas kocha.

Marynia. Jakże chcesz, dopiero wczora przyjechała; nie było już czasu.

Krysia. Gdzietam czasu! nie było zgody, a gdzie niema zgody, tam nic dobrego być nie może....

SCENA II.

Też same, Kostuś, Adaś.

Adaś, który wchodząc usłyszał słowa siostry, mówi za nią poważnie: „Gdzie niema zgody, tam nic dobrego być nie może!“ Prawdziwie! sentencya wyborna i prawdziwa. Nigdym się nie spodziewał, żeby z ust takiego trzpiota wyjść mogła.

Krysia. Ani wątpię; bo w waszém mniemaniu tylko wy chłopcy możecie mieć rozum, i coś do rzeczy powiedzieć. Ja się nie uczę łacińskich sentencyj, ale za to sama stwarzam polskie. Ciekawam w czém większa sztuka?

Kostuś. Jak wy dzisiaj sprzeczać się możecie, i mówić o czém inném, kiedy my w takim jesteśmy kłopocie?

Marynia. Zwyczajnie pustki w głowie; ale ja wiem dobrze, że oni w sercu zarówno z nami cierpią.

Adaś. Bo i prawda. Dziś Mamy urodziny, te szczególnie raz na rok bywają, mieliśmy więc cały rok do namysłu, taką długą zimę, i niceśmy nie wymyślili; a przecież zawsze dawniéj bywał jakiś koncept.

Krysia. A co najgorsza, żadnego roku nie było tak wiele projektów i szeptów. Mama przekonana, że my z prześliczną komedyą wystąpimy, a tu nic! O! będzie miała prawdziwe zdziwienie. (Śmieje się i Adaś toż samo.)

Marynia. Przynajmniéj się nie śmiejcie, bo mnie doprawdy płakać się chce. Wam jeszcze nic, ale ja najstarsza.

Kostuś. Prawda, że to wielka biéda! najbardziéj, że wiem zawczasu, jak to Mamie przykro będzie.... Ach! gdyby jeszcze można co wymyśleć?

Krysia. Trzebaby do tego kogoś prędzéj myślącego od ciebie, mój bracie! bo ja nie raz widzę, jak ty godzinę nad jednym wierszem myślisz. Ktoby nam mógł w momencie coś poradzić, to Ciocia! tylko nie wiem, czy już wstała? zobaczę. (Chce wychodzić, spotyka się z Ciotką.) Ach! otóż i ona.

SCENA III.

Ciż sami, Ciotka.

Dzieci biegnąc ku niéj i całując ją. Ach! Ciociu, kochana Ciociu! wymyśl nam co dla Mamy.

Ciotka. Czegóż chcecie?

Krysia. Jakiéj komedyi na prędce.

Ciotka. Komedyi? to już trochę zapóźno. Szkoda, żeście do mnie nie napisały, byłabym wam przysłała jaką z Warszawy. Ale dzisiaj, w sam dzień urodzin?

Krysia. To nic nie szkodzi! My się jeszcze nauczymy. Moja Ciociu, co wiejskiego! ja mam taki ładny różowy gorsecik, byłyby ubiory.

Adaś. A jabym pożyczył sukmany od ogrodniczka, jużem jéj raz przymierzał; wyborna, i byłbym pasterzem.

Kostuś. Ej! wstydzilibyście się takie baśnie klecić! Cóż wy chcecie? żeby Ciocia wymyśliła, napisała komedyą, my jéj się nauczyli, i to wszystko dzisiaj? Oj! dzieci! dzieci!

Marynia. Żeby to przynajmniéj można choć maleńką przyjemność Mamie sprawić? Żeby wstawszy miała jakie miłe zdziwienie! żeby wiedziała, żeśmy o niéj, o jéj urodzinach pamiętali. Moja Ciociu, pomyśl trochę.

Ciotka. Oto wiecie co zrobić? (Wszystkie dzieci otaczają ją.) Ach! co? co? mów, kochana Ciociu!

Ciotka. Moja Siostra bardzo to miejsce lubi, co rano tu przychodzi, przynieście dary, które jéj ofiarować macie; ja was między temi drzewami ustawię. Mam wieńce z kwiatów, przyozdobią się wasze ubiory; ona tu przyjdzie, zadziwi się, powiecie jéj powinszowania, i będzie mała *zabawa na prędce.*

Dzieci skaczą, klaszczą w ręce i ściskają ciotkę.

O ślicznie! ślicznie! Dziękujemy Cioci!

Marynia. Ale zabierzmy się zaraz do tego; ja idę po mój podarek.

Inne dzieci. I my to samo.

Ciotka do Kostusia. Mój Kostusiu, ty ze mną zostań, pomożesz mi trochę; pójdziesz potem po swój podarek.

(Krzątają się oboje, ustawiają doniczki, Ciotka wieńce z kwiatów przynosi.)

Kostuś ustawiając: Ach! dziękuję Ci, kochana Ciociu, żeś nam tę myśl podała. Pewny jestem, że Mama będzie kontenta. Ale jakie powinszowanie jéj powiedzieć? Ja dosyć myślę, i bardzo wiele czuję; lecz kiedy mam najwięcéj myśli w głowie i uczucia w sercu, wtenczas właśnie słów mi nie dostaje.

Ciotka. Wielu osobom podobnie się zdarza; i ja przewidując ten nowy wasz kłopot, napisałam dla każdego z was po cztery wierszyki; są one stosowne do darów, które ofiarować macie; będzie czas do nauczenia ich się na pamięć, bo gdym z domu wychodziła, Mama jeszcze spała.

Kostuś. Kochana Ciociu dawaj! dawaj! biegnę wołać siostr i brata, a przez drogę sam się moich nauczę. (Ciotka daje mu karteczkę, on wybiega.)

SCENA IV.

Ciotka sama.

Domyśliłam się jeszcze wczora kłopotu tych biednych dzieci, i jakże mi miło, żem im tę radość sprawiła. Nic dziwnego, iż chciałyby Matce dzień urodzin uprzyjemnić. Ach! któreż dziecię dobrą Matkę mające podobnego dnia nie błogosławi? któreżby go upięknić nie pragnęło? Szkoda tylko, że zdatniejszego doradcy nie mają. Ale spodziewam się, że i tę drobnostkę przyjmie ona mile. Matce tak mało potrzeba, żeby z dzieci zadowolniona była.

SCENA V.

Ciotka, Krysia, Marynia, Adaś.

(Marynia niesie pęk kwiatów, Krysia kosz cukrów i przysmaczków, Adaś ptaszka w klatce.)

Dzieci wszystkie razem. Ciociu! Ciociu! Kostuś nam powiedział; dawaj wiersze! prosimy! oto masz nasze dary. (Ciotka odbiera od każdego co przyniósł, i daje karteczki. Dzieci rozchodzą się po całym teatrze; Marynia siada, Krysia chodzi, Adaś opiera się o drzewo, i uczą się głośno; Ciotka jeszcze ustawia, wtem Kostuś powraca z koszem jabłek i mówi:) Oto mój dar; i moje wiersze już umiem.

Dzieci. I my umiemy.

Ciotka. Co już?

Krysia. O już! takie łatwe; a wreszcie mamy je napisane, będzie można sobie przypomnieć.

Marynia do Ciotki. Ciociu! zacznij nas ustawiać!

Kostuś. O! zacznij! bo mi kredencerz powiedział, że Mama już się obudziła.

Dzieci. Ach! spieszmyż się! (Ciotka ustawia dzieci: dwie dziewczynki ubrane w białe sukienki, połączone wieńcami z kwiatów, stoją na wyniesieniu, jedna wyżéj, druga niżéj, wśród kwiatów i krzewów. Adaś tuż przy nich, prawą ręką oparty o drzewo, lewą wskazuje klatkę stojącą na ziemi, Kostuś z drugiego boku klęcząc na jedném kolanie, w obydwóch rękach kosz z jabłkami trzyma. Ciotka ustawiwszy ich, oddala się i przypatruje. Teraz odbędziemy próbę, rzecze; ja będę przedstawiała Mamę. a spojrzawszy w bok, spostrzega niby zbliżającą się Matkę. Mama idzie! woła i wybiega. Wraca wnet jako Mama na scenę, a dzieci stoją spokojnie na miejscach swoich.)

SCENA VI. I OSTATNIA.

Wszyscy.

Ciotka, jako Matka. Cóż ja widzę? cóż się to znaczy?
Marynia. Obchodząc dzień tak szczęśliwy
Zebrały się twoje dziatki;
Rzuć na nie wzrok twój życzliwy,
Przyjmij od córki te kwiatki.
Krysia. Niechaj całe twoje życie
Wolne będzie od goryczy!
Niechaj każde twoje dziecię,
Doda mu wdzięku, słodyczy.
Adaś. Jak ja ptaszka, tak ty zdrowie
Ułów sobie na wiek długi,
I niech ci kiedyś kraj powie:
„Mają twe syny zasługi!“
Kostuś. Po długich zabiegach, pracy,
Jabłoń owoc mi wydała.
I my także będziem tacy,
I z nas Ciebie czeka chwała.

(Powiedziawszy wiersze, dzieci podnoszą się z miejsc swoich, biegną ku Matce, oddają dary, rzucają jéj się na szyję, a zasłona spada.)

MAZUR I LUBLINIANIN

czyli

WET ZA WET TRZYDZIEŚCI LAT PÓŹNIÉJ.

Komedya w 1 akcie, oryginalnie napisana.

(Teatr dla dzieci przez Z. H. Warszawa 1853.)

OSOBY.

Sędzia, obywatel ziemski.
Pułkownik.
Boleś, syn jego.
Jan Skirmunt, rządzca na wsi.
Wicuś, syn jego, uczeń trzeciéj klassy.
Walenty, stary sługa.
Zosia, wiejska dziewczyna, albo też: Grzesio, służący.

Rzecz dzieje się na wsi, w Lubelskiém, w roku 1840.

Scena wyobraża wiejską okolicę; po lewéj stronie ławka, daléj dom i szyld, na którym wymalowany rzymski rycerz.

SCENA I.

Boleś i Wicuś.

(Wicuś z tłomoczkiem na plecach, który przy wstępie na scenę kładzie na ławce, jako i czapkę, otarłszy ją z kurzu, co też czyni i Boleś.)

Boleś. Już daléj iść nie mogę, tak jestem zmęczony. A cóżto za góry! wąwozy! jakie bezdroża!

Wicuś. Zapewne, Bolesiu, pierwszy raz jesteś w Lubelskiém, kiedy się naszym drogom i górom dziwisz.

Boleś. Nie inaczéj, pierwszy raz w życiu... i wyznać muszę, ta okolica wcale mi się nie podoba; gór nie cierpię.... Bodajto bezpieczne wygodne szose i nasze Czerskie okolice!

Wicuś. Dziwi mnie to, Bolesiu; przecież dla oka niema nic powabniejszego nad góry: poeci je opiewają, ktokolwiek ma czucie, unosi się nad niemi. Oho! gdybyś był czytał ostatnie moje wypracowanie o Alpach, dopierobyś wiedział, co to góra.

Boleś. Ej, co mi tam po Alpach... chciałbym je widzieć wprawdzie... ale z daleka, a nie jak kot drapać się po nich. Niech żyje nasze Mazowsze!...

Wicuś. A ja powiadam... niech żyje Lubelskie! Kto mego zdania nie podziela, gotówem się z nim pokłócić.

Boleś. Jak widzę, bardzo jesteś burzliwy.

Wicuś. Lwem mnie w klassie przezwali.

Boleś. O, proszę, bądź ze mną barankiem; nie zaczynajmy naszéj przyjaźni od sprzeczki; mam do niéj wstręt jak największy, a co dopiero z tobą, któremu jestem wielce zobowiązany: bo gdyby nie ty, Wicusiu,

błąkałbym się dotąd w lesie, i nie wiem, cobym począł w téj chwili z utrudzenia i głodu. Jeść mi się chce okropnie....

Wicuś. To ostatnie twe zdanie podzielam zupełnie... coś mi się żołądek ściska.... Ale na pewny czas odkładam tylko dysputę: bo koniecznie wyliczyć ci muszę wszelkie zalety Lubelskiego, i przekonać o wyższości iego nad Mazowszem. A teraz powiedz mi, proszę, jakim sposobem zabłąkałeś się w lesie?

Boleś. Jak najprostszym. Wczoraj wieczorem przyjechaliśmy z ojcem z Warszawy do Zacisza, wioski pana sędziego.

Wicuś. Znam pana sędziego, godny to człowiek.

Boleś. A do tego przyjaciel z lat dziecinnych mego ojca. Nie widzieli się z sobą podobno od lat dwudziestu. Bo mój ojciec dawniéj mieszkając w Poznańskiém, rzadko bywał w Królestwie; dopiero od lat kilku przeniósł się w Czerskie koło Grójca, gdzie odziedziczył majątek po stryju. Ale wracając się do mojéj przygody, trzeba ci wiedzieć, że dziś bardzo rano ojciec pozwolił mi iść do lasu z Walentym, starym naszym sługą; on wielkim jest lubownikiem grzybów; jak téż las ujrzał, zaraz się wziął do ich szukania, co mnie wcale nie bawiło.

Wicuś. Zapewne... to schylanie się ciągłe jest nieznośnym... wolałbym grzybów nie jeść, jak je zbierać.

Boleś. O, i ja także.... Dla tego zacząłem sobie biegać tu i owdzie, zważając jednak na głos chrapliwy Walentego, który wołał dosyć często: hop, hop, hop! Ale cóż? w chwili kiedym zapewne najbardziéj był od niego oddalony, spostrzegłem ślicznego motyla; cały czerwony w połyskujące prążki, tyle miał w sobie powabu, tak błyszczał w powietrzu, że koniecznie złapać go chciałem; ale on skrzydełkami swojemi tak zwinnie się uwijał, że wkrótce znikł mi zupełnie z oczu, ja zaś wtenczas ujrzałem się w gęstwinie lasu mi nieznanego; głos Walentego ucichł mi zupełnie. Długo, bardzo długo chodziłem w różne strony, błądząc coraz więcéj, gdy na szczęście moje spotkałem ciebie, Wicusiu.

Wicuś. Ja z gościńca w las zboczyłem, aby wytchnąć cokolwiek pod cieniem drzew; idę z Lublina na wakacye do domu; mój ojciec jest rządcą w sąsiedzkiéj wsi, będzie tu dziś w kościele, dla tego ja już daléj nie pójdę. Ale wiesz co, Bolesiu, zaprowadzę cię do dworu, tutejszy dziedzic każe cię odwieść do pana sędziego.

Boleś. O, nie, dziękuję ci bardzo: w takim ubiorze nie śmiałbym się pokazać nikomu; wolę sobie nająć jaką bryczkę lub wóz u chłopa; zresztą tak jestem znużony, że spocząć muszę cokolwiek i czém się posilić.... (obraca się i spostrzega dom na lewo). Ale co widzę... wszak to dom zajezdny! jakież pocieszne malowidło.... (czyta:) „Pod rycerzem. Tu dostanie doskonałych obiadów i kolacyj w każdym czasie.“ Oby było śniadanie!

Wicuś. Bardzo mnie dziwi ten napis: bo wiem, że tu dotąd szynk utrzymywał dawny żołnierz, Paweł z żoną, i oprócz czasami jaj, kwaśnego mleka i starych obwarzanków z jarmarku, niczém więcéj podróżnych posilić nie mogli. Ale zobaczymy... od przeszłego roku wiele rzeczy zmienić się mogło... może i tu jaki restaurator francuzki prosto z Warszawy

zabłądził, a co ciekawsze się osiedlił (idzie do drzwi i stuka). Jest tam kto? hej! (stuka coraz bardziéj) bo drzwi wybiję!

SCENA II.

Ciż sami, Zosia.

Zosia (za sceną). Zaraz, zaraz... gdzie są drzwi tam i dom, a w nim przecież i ludzie.... Po cóż tak hałasować... zaraz otworzę... wszakże dziś niedziela, do kościoła ogarnąć się trzeba (wychodzi na scenę poprawiając swój ubiór). Otóż jestem, cóż państwu tak pilnego? Ach, to pan Wincenty! Witam, witam w naszych stronach. Jak widzę, zawsze trzpiot i wesół, gdzie może, tam hałasu narobi.

Wicuś. Jak się masz, Zosiu; proszę cię, daj nam zjeść cokolwiek: bo ja i ten kawaler umieramy z głodu.

Zosia. Zjeść... cóż takiego?

Wicuś. Zapewne przyjęliście kucharza dla dogodności podróżujących.

Zosia. Ej co się panu widzi; ja gotuję jak zwykle.

Boleś. A cóż to znaczy napis na szyldzie: „doskonałe obiady i kolacye w każdym czasie“?

Zosia (śmieje się). Czy doprawdy tam tak stoi? Ach mój Boże, nie wiedziałam... bo czytać nie umiem, ani nikt we wsi... a ten śliczny obraz kupił mój ojciec chrzestny u żyda w Lublinie; bardzo mu się podobał, rozczula się nad nim codziennie i powiada, że mu przypomina dawne czasy, kiedy służył w wojsku i zupełnie tak był ubrany jak ten malowany jegomość.

Boleś. Co znowu?... wszak to rzymski rycerz.

Zosia. Rycerz czy nie rycerz, dosyć że mój ojciec chrzestny ciągle powtarza: „ot widzicie, temu lat trzydzieści takom też chwacko na koniu siedział i bawił się wojaczką!“ a na wsi wszyscy zbyt poważają mego ojca chrzestnego, by mu wierzyć nie mieli. Pani Pawłowa aż płacze na to wspomnienie....

Wicuś (do Bolesia). Poczciwy stary bredzi cokolwiek... służył kiedyś w artyleryi pieszéj, był kanonierem, zaprzęgał pewnie konie do armaty, ale nigdy na żadnym nie jeździł przed frontem, szczególnie w takiéj odzieży! — (Do Zosi) W istocie, śliczny obraz, podobny do twego ojca chrzestnego jak dwie krople wody.... A teraz daj nam co zjeść.

Boleś. Wielką miałbym ochotę na bifsztyk z kartoflami i na omlet.

Zosia. Cóż takiego?

Wicuś (do Zosi). Widzisz, Zosiu, po warszawsku bifsztyk, to kawał mięsa wołowego, a omlet, to jaja.

Zosia. Rozumiem... zapewne sadzone... będą za chwilę... a mięsa kawałek wyjmę z krupniku, który się dziś gotuje.

Wicuś. Dobrze, dobrze, byle co było; głodnemu wszystko smakuje. Tymczasem pójdźmy, Bolesiu, na drugą stronę domu, tam pod jawora cieniem zjemy śniadanie; tłomoczek mój, Zosiu, i czapki weź do izby (odchodzą na lewo).

SCENA III.

Zosia sama

(mówi do odchodzących).

Za chwilę wszystko będzie gotowe, (do siebie) Hamlet, to jaja... birsztyk, mięso... dobrze żem się przecież co nowego nauczyła. Jak pójdę do Warszawy służyć za kucharkę w jakim bogatym pańskim domu, o! już będę wiedziała jak każdą rzecz nazwać po swojemu (odchodzi do domu, zabierając ze sobą tłomoczek i czapki).

SCENA IV.

Sędzia i Pułkownik

(wchodzą ze strony na prawo. Sędzia może być w polskim ubiorze).

Sędzia. Któżby powiedział, kochany pułkowniku, że gawędka o dawnych czasach doprowadzi nas aż o milę od domu.

Pułkownik. Czy podobna?... nie spostrzegłem tego bynajmniéj. Jak widzę zaszliśmy do wsi bardzo porządnéj. Kościół w dali, zapewne parafia twoja, sędzio. Oho, i dom zajezdny z bardzo zabawném malowidłem... ale napis wiele obiecujący... w samą porę mi się ukazał, bo przechadzka wzbudziła we mnie apetyt niepospolity.

Sędzia. Więc chodźmy do dworu, tu nic nie dostanie.

Pułkownik. Choćby kawałek chleba i sera, może jaj kilka... żołnierz czémkolwiek się zadowala... nieraz cierpiał głód i nędzę... a nogi, nogi koniecznie potrzebują wypoczynku... (siada na ławce) dosyć się w życiu nachodziły i gościa z sobą noszą.

Sędzia. Gościa? jakiego?

Pułkownik. Dwie rany z pod Lipska 1813 roku, i kula, która tak ślicznie w prawéj nodze się zakwaterowała, że niczem jéj wydobyć nie można. Dokucza mi nie mało.

Sędzia. Żal mi cię, pułkowniku. Prawda, okryłeś się chwałą, zbierałeś wawrzyny, zwiedzałeś obce kraje, nabyłeś wiele wiadomości, ale cóż z tego, kiedyś zdrowie stracił? Ja nigdzie nie byłem, całe życie moje przeszło na gospodarce we wsi méj dziedzicznéj; ale dzięki Bogu zachowałem zdrowie czerstwe, umysł swobodny i sumienie czyste.

Pułkownik (wstaje). To ostatnie w każdym stanie uzyskać nie trudno; dzięki Bogu, i jabym się niém mógł szczycić, bo postępując zawsze uczciwie i honorowo, nic nie mam sobie do wyrzucenia... gdyby nie wspomnienie z lat dziecinnych... błąd jeden w młodości popełniony, który ciągle tkwi w mém sercu i niczem zatrzeć się nie zdoła.

Sędzia. Co mówisz, pułkowniku? stary wojak miałby się dręczyć błędem w dzieciństwie popełnionym! zapewne jakaś fraszka.

Pułkownik. O, nie fraszka; jeśli chcesz, to ci go opowiem.

Sędzia. I owszem, w naszym wieku nie ma nic milszego, jak wspominać dawne czasy.

Pułkownik. Posłuchaj więc, co ci powiem. Trzeba ci wiedzieć, że od najpierwszych lat życia mego byłem dzieckiem bardzo trudném do prowa-

dzenia; nadzwyczajna żywość i drażliwość charakteru wprowadzała mnie często w stan popędliwości takiéj, że wtenczas mógłem był posunąć się do największego zapomnienia się i uchybienia drugim. Strofowanie ojca i nauczycieli, żal matki, — nic nie pomagało, aby mnie poprawić.

Sędzia. Poczciwi twoi rodzice... pamiętam, jak cię kochali.

Pułkownik. A ja byłem przyczyną wielu ich zmartwień... szczęściem późniéj starałem się zatrzeć w ich pamięci wspomnienie mych wad dziecinnych, zdołałem pokonać burzliwość mego charakteru... wprawdzie, bardzo smutny wypadek dopomógł mi do zupełnéj poprawy.

Sędzia. Ciekawym jaki?

Pułkownik. Było to roku... nie pamiętam którego... miałem wtenczas lat czternaście; na wsi u ojca, gdzie zwykle spędzałem wakacye, poznałem się i zaprzyjaźniłem z synem rządcy dóbr naszych. Kochałem go bardzo, ale dokuczałem mu nie mało. Pewnego dnia, nie wiem o co, przyszło do sprzeczki, i tak uporczywéj z méj strony, że porwawszy kamień rzuciłem nim w Jasia i trafiłem w samo oko.

Sędzia. Źle... bardzo źle.

Pułkownik. Jaś zaczął okropnie płakać, twarz miał całą krwią zbroczoną.... O, nigdy nie zapomnę wrażenia, którego doznałem, widząc go w tym stanie; żal, boleść, wstyd ogarnął duszę moję... stałem jak wryty, czując się niegodnym przystąpienia do niego. W tem nadszedł ojciec mój, kazał mi zaraz odjechać do Pijarów, gdzie znów wtenczas pobierałem nauki. Słuszny gniew jego, odjazd do Warszawy w pół wakacyj, wszystko przyjąłem jako należną a może nazbyt jeszcze małą karę za moję winę... zwłaszcza, że jak późniéj ojciec mi doniósł, Jaś stracił oko i wiecznym został kaleką.

Sędzia. Biedny chłopiec.

Pułkownik. Oj, biedny zapewne... może gdzie umarł z nędzy. Wkrótce po tym nieszczęsnym wypadku, ojciec jego przeniósł się w inne strony, i odtąd nie wiem, co się z nimi stało.

Sędzia. Tobie, pułkowniku, jak się zdaje to zdarzenie korzystną było nauką, bo przecież w pułku, do którego razem z moim bratem wstąpiłeś, na dobre imię sobie zasłużyłeś; wszyscy unosili się nad twym rozsądkiem, i mimo żeś liczył się wtenczas do najmłodszych, Nestorem cię przezwali. Brat mi powiadał nieraz, żeś ty wszelkie nieporozumienia i wady ułagadzał, a sam z kolegami żył, jak się należy, po przyjacielsku, ale zawsze w zgodzie.

Pułkownik. Przy pomocy Boskiéj, wszystko człowiek z siebie zrobić może, byleby tylko chciał szczerze.

Sędzia. Nie inaczéj.... A teraz, pułkowniku, przypominam ci śniadanie, na które miałeś ochotę (idzie do drzwi i puka). Hej jest tam kto?

SCENA V.

Ciż sami, Zosia.

Zosia. Spieszę na usługi wielmożnego państwa (dyga).

Pułkownik. Moje dziecko, chcielibyśmy co przekąsić... na przykład sadzonych jajek.

Sędzia. Ja wolałbym pieczeni, ale téj pewnie nie macie.

Zosia. Wielmożne państwo pewnie nie z Warszawy.

Pułkownik. Dla czego?

Zosia. Bo nie wiedzą, że sadzone jajka po warszawsku nazywają się: hamlet, a pieczeń wołowa: bersztyk.

Sędzia. No proszę... cudzoziemczyzna aż tu się wkrada... *o tempora! o mores!*

Zosia. Mores... co to? może kartofle?

Sędzia. Nie, moja dzieweczko... nie chwytaj mnie za słówka... odemnie pewnie się nie nauczysz obcych języków. Co za czasy, pułkowniku, co za czasy! kiedy nawet wiejskie dziewczęta chciałyby paplać po francuzku.

Pułkownik. W naszéj młodości inaczéj bywało: włościanki gotowały smaczną kaszę, barszcz, kluski ze skwarkami, nie trudniły się bynajmniéj ani wymową, ani sporządzeniem twardego bifszteku.... A cóż, moje dziecię, jaj dost nie? może sera i masła?

Zosia. Wszystko będzie za chwilę: ale po jaja muszę pobiegnąć do sołtysowéj, po świeże masło do pani ekonomowéj, a po pieczeń to chyba do dworu.

Pułkownik. O możemy się bez niéj obejść (Zosia wybiega).

Sędzia. Tymczasem pułkowniku, chodźmy ponad rzekę, ztamtąd śliczny widok na moje Zacisze, chciałbym ci go pokazać.

Pułkownik. A czy daleko?

Sędzia. Kilka kroków.

Pułkownik. Służę ci więc szanowny sędzio (odchodzą na prawo).

SCENA VI.

Boleś i Wicuś

(wchodzą z przeciwnéj strony).

Boleś. Coraz więcéj się przekonywam, mój Wicusiu, że bardzo lubisz się sprzeczać, bo proszę, czy jest o co? Ty powiadasz, że Lublin okazałe i powabne jest miasto: nie przeczę; jednakże Warszawa sto razy piękniejsza.

Wicuś. O Warszawie ani słychać było, kiedy Lublin już istniał; dotądby o niéj wcale nie wiedziano, gdyby nie myśl, wcale nie potrzebna, Władysława czwartego, nową tworzyć stolicę.

Boleś. Myśl to była Zygmunta trzeciego; Władysław czwarty ją tylko w wykonanie wprowadził.

Wicuś. Mniejsza o to, dosyć że myśl nie koniecznie szczęśliwa; bo proszę, czyż Kraków nie śliczną i dostateczną był dla nas stolicą? A Kra-

kowiacy, dziarski lud, nad innymi przodkować powinien; po nich zaś mieszkańcom Lubelskiego pierwsze miejsce się należy.

Boleś. A to dla czego?

Wicuś. O, dla wielu bardzo przyczyn. Najprzód znaczny w sobie mają zarodek oświaty.

Boleś. Oświaty? w czém, proszę?

Wicuś. W mowie... i to przecie coś znaczy; uważałeś zapewnie jak czystą mówią polszczyzną.

Boleś. O, słyszałem, że wciąż i nie wiem czy bardzo stosownie używają wyrazu *musi;* na przykład: „musi zrobię to lub owo... musi pójdę tam“... a najlepsze: „musi nie może.“

Wicuś. Wolę to, jak wasze: „pójdźwa, zróbta, chodźta Maćku.“

Boleś (żartobliwie). Ilość wyrazów stanowi bogactwo języka, mają więc zasługę poczciwi Mazurzy, że przyczyniają się więcéj jak Lublinianie do wykrycia onego; zresztą przecież i w greckim języku mamy dwie liczby mnogie.

Wicuś. A „gajdy,“ śliczne wyrażenie.

Boleś. Lepsze jak kartofle, żywo wzięte z niemieckiego.

Wicuś (żywo). Z tém wszystkiem nie cierpię Mazowsza i wszystkich Mazurów.

Boleś. Ho... ho... zbyt śmiało się wyrażasz... to ani szlachetnie, ani sprawiedliwie.

Wicuś (unosi się coraz bardziéj). Co? ty mnie będziesz morały prawił... mnie, uczniowi trzeciéj klasy, któremu wszyscy koledzy ulegać muszą!

Boleś (spokojnie). Jak widzę, źle czynią, bo za wiele sobie pozwalasz.

Wicuś (w największym gniewie podnosi kamień z ziemi). O, tego za nadto... ubliżyłeś mi... podobnéj urazy darować ci nie mogę.... Daléj, broń się... wzywam cię do walki.

Boleś (zakładając ręce). Ani myślę... kłótnią się brzydzę, bójką pogardzam... uderz jeśli chcesz... twego kamienia się nie zlęknę. (Wicuś podniesioną rękę nagle wstrzymuje; sędzia wchodzi, odbiera mu kamień, który rzuca w stronę).

SCENA VII.

Ciż sami, Sędzia i Pułkownik.

Sędzia. Czyż się godzi porywać z kamieniem na bliźniego swego?

Pułkownik. Co widzę... syn mój!

Boleś (przystępuje do pułkownika i całuje go w rękę). Przebacz, ojcze, że mnie tu znajdujesz; zabłąkałem się w lesie, ten kawaler wyprowadził mnie z wielkiéj biedy, przyprowadziwszy mnie tu, zkąd wybierałem się z powrotem do Zacisza.

Pułkownik. I zamiast wdzięczności dla niego, kłótnię wywołałeś, aż do utarczki przyjść miało.

Wicuś (poruszony). Kłótnia, wyznać muszę panu, z mojéj winy tylko wynikła... jestem żywy, popędliwy... uniosłem się zbytecznie.... Ale twoja odwaga, twój rozsądek, Bolesiu, rozbroiły mnie zupełnie, a cho-

ciaż zamierzyłem się wprawdzie, wierzaj mi, nie miałbym nigdy serca uderzyć w ciebie kamieniem.

Pułkownik (na stronie). Trzydzieści lat później, jeszcze dla mnie nauka.

Wicuś. W obecności państwa dobrodziejstwa przepraszam cię Bolesiu. Jeśli mną nie pogardzasz, proszę, podaj mi rękę na znak zgody. (Boleś podaje mu rękę, którą Wicuś przyjmuje z zapałem.) Jestem synem poczciwego człowieka.

SCENA VIII.

Ciż sami i Skirmunt.

Skirmunt. I dawnego wojaka.... (do Wicusia) A! jesteś tu już, chłopcze, niechże cię uściskam. (Wicuś przystępuje nieśmiało, ojciec ściska go serdecznie, daléj obraca się do sędziego) Pana sędziego sługa uniżony.

Sędzia. Pan Skirmunt... witam serdecznie.

Pułkownik. Skirmunt... to nazwisko... te rysy... prawda zmienione wiekiem, włos posiwiały... ale nie mylę się, to Jasio Skirmunt.

Skirmunt (zdziwiony). Tak jest, panie.

Pułkownik. Jasiu, oko twoje.

Skirmunt. Oko?... ach, przypominam sobie, uderzenie kamieniem.... Do stu tysięcy karabinów! wszak to Józio, syn pana Sędziwoja, mego dobroczyńcy (rzuca się pułkownikowi w objęcie).

Sędzia. A do tego pułkownik.

Skirmunt (czyniąc mu ukłon wojskowy). Wachmistrz w pierwszym pułku hułanów.

Pułkownik. Ale oko twoje, Jasiu, oko....

Skirmunt. Ej, to fraszka, nic nie było! zwykle jak mazgaj rozpłakałem się zbytecznie. Kamień trafił w czoło, ale nie w oko; trochę krwi i koniec. Aż mi wstyd teraz, a i wtenczas niemało się zmartwiłem, gdym się dowiedział, że ojciec pański odesłał pana w pół wakacyj do szkoły.

Pułkownik. Na dobre mi to posłużyło.

Skirmunt. Błagałem pana Sędziwoja, aby panu przebaczył, ale on niczém uprosić się nie dał. Pokazywał mi kilka listów pana, takim żalem, taką skruchą i pokorą przejętych, że aż mi się serce krajało. Pan zaś mówił: dzięki Bogu, nic ci się nie stało, Jasiu, ale stać mogło: niech się chłopiec pomartwi trochę, niech cierpi, myśląc, że jest przyczyną cudzego nieszczęścia; to będzie dla niego nauką i może ułagodzi ten zbyt popędliwy charakter, który go pewnie na prawego obywatela nie wykieruje.

Pułkownik. I ja dziś to samo moim dzieciom powtarzam. Ileż nieszczęść w naszym kraju wynikło z owéj żywości niepohamowanéj i burzliwości umysłów!... Ale cóż daléj stało się z tobą, drogi Skirmuncie?

Skirmunt. Mój ojciec wkrótce po odjeździe pana do Warszawy przeniósł się w Augustowskie, gdzie zdrowie straciwszy, zubożał i podupadł zupełnie, o czém dowiedział się pan Sędziwoj, przyszedł nam w pomoc, i nie przestawał nigdy opiekować się nami. Boże, świeć nad jego duszą!

Pułkownik. Poczciwe ojczysko!

Skirmunt. Ja winien mu jestem los cały życia mego; smutna z Józiem przygoda wywarła na mnie zmianę niepospolitą; jakoś z mazgaja wyszedłem na zucha i w szesnastym roku życia mego wstąpiłem do wojska. Pan Sędziwoj przysłał mi dosyć znaczną sumkę na umundurowanie i polecił mnie memu pułkownikowi. Wkrótce też z żołnierza postąpiłem na wachmistrza, i gdyby nie pokój... niefortunny dla mnie...

Pułkownik. Byłbyś dzisiaj jenerałem.

Skirmunt. O zapewne... ale z losem swoim pogodzić się trzeba. A teraz pozwól pan pułkownik, bym mu przedstawił mego syna. (Wicuś zbliża się z nieśmiałością do pułkownika, który go całuje w czoło). Chłopiec uczy się doskonale, ale żywy jak ogień.

Sędzia. Mieliśmy sposobność przekonania się o tém przed chwilą.

Skirmunt. Co, naraził się państwu? Ho, ho, mój panku, miéj się wasze na ostrożności: bo ja żartować z tobą nie myślę, a wstydu z ciebie doczekać się nie pragnę.

Wicuś. Przebacz, ojcze, wyznaję, zbłądziłem.

Boleś. Ale poprawić się możesz. Ja ręczę za niego i żadnego żalu do niego nie czuję.

Pułkownik. To mój syn, Skirmuncie.

Skirmunt (całuje Bolesia). A mój go obraził, jak widzę.

Pułkownik (cicho do Skirmunta). Wet za wet, Jasiu; trzydzieści lat późniéj; przebacz twemu synowi.

Skirmunt. Radość oglądania pana pułkownika odejmuje mi wszelką chęć do gniewu, a więc o niczém wiedzieć nie chcę i przebaczam ci, Wicusiu. (Wicuś całuje go w rękę.)

SCENA IX.

Ciż sami, Walenty.

Walenty (za sceną). Hop! hop! hop! hop! (wchodzi z koszałką w ręku). Już mi nóg i gardła nie staje: hop, hop! Ach, to państwo dobrodziejstwo! uniżony sługa (spostrzega Bolesia). A! jesteś ptaszku, szukam cię od czterech godzin.

Boleś. Przepraszam cię, mój Walenty, ale w lesie zabłądziłem, uganiając się za motylami....

Walenty. Które cię pewnie odbiegły, a ty błądzić musiałeś, biedne dziecię. O młodości! młodości! wszystko co błyszczy i buja gdzieś tam wysoko... wabi ją do siebie, kiedy nawet nędzny motyl podobać jéj się może. Ja czasu napróżno nie zmarnowałem, praca zawsze się odpłaca. Patrzcie państwo dobrodziejstwo, co za plon do domu przynoszę.

Sędzia. Grzyby!

Walenty. Dodaj pan z łaski swojéj: śliczne grzyby... sam wybór, świeże i młode. To mi dopiero dzieło natury arcy-doskonałe.

SCENA X.

Ciż sami, Zosia.

Zosia. Śniadanie gotowe.

Pułkownik. Wiadomość pożądana mile się przyjmuje.

Walenty. A moje grzyby?

Sędzia. Zjedzą się na obiad, tymczasem chodźmy wszyscy na śniadanie.

Pułkownik. A potem do kościoła. Ja więcéj jak kto inny mam dziś powodów do złożenia Bogu hołdu dziękczynienia: bo nietylko znalazłem dawnego przyjaciela, ale omyłem się z grzechu, któryby do śmierci był ciążył na mojem sumieniu.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

A. Poezya dydaktyczna i liryczna.

a) Bajki i Apologi czyli Allegorye.

Str.

Dzieci i żaby ... 5
Ptaszki w klatce ... 5
Dziecię i ojciec ... 5
Pszczółka i gołąbek ... 5
Skała i kropla ... 6
Kruk żebraczek ... 6
Kruk i lis ... 6
Wróble ... 7
Kotek, piesek, myszka i ptaszek ... 7
Mysz i kot ... 8
Czapla, ryby i rak ... 8
Jowisz i owce ... 9
Lew i zwierzęta ... 9
Chłopek z furką siana ... 9
Żydek ... 9
Tulipan i fijołek ... 10
Chleb i szabla ... 10
Wilczki ... 10
Wróbel ... 11
Bratki ... 11
Gołębnik ... 12
Kruk z dzwonkiem ... 12
Jaś poprawiony ... 13
Chłopczyk śród drogi ... 15
Grosz wdowi ... 16
Skarb ukryty ... 16
Niewinny żarcik ... 17
Przyjaciele ... 17

Str.
Zachód słońca 18
Pożar 19

b) Nauczki, Piosneczki i Pieśni.

Do zdrowia 21
Do pana Jana 21
Do dzieci 21
Rzetelnicki 22
Macierzyńskie napomnienia 22
Do bociana 23
Sierotka 23
Domek rodzinny 24
Czém jesteś 25
Mazur od ucha 26
U nas inaczéj 26
Stara ale dobra piosnka 27
Pieśń żniwiarska 27
Oracz do skowronka 28
Treny Jana Kochanowskiego 29
Pieśń poranna 33
Pieśń wieczorna 33
Kolęda 33
Pieśń o Najświętszéj Pannie Częstochowskiéj 34
Do Najświętszéj P. Maryi Ostrobramskiéj 35
Modlitwa wiosenna 36
O dobroci Boga 36
Modlitwa o deszcz 37
Hymn do Boga 38
Psalm XXVIII 38
Psalm XCI 39
Psalm CXXXVII 40

B. Poezya epiczna czyli opisowa.

1. Obrazki i powiastki.

Wiosna 43
Lato 44
Lato 44
Jesień 45
Jesień 45
Zima 46
Zima 47
Cztery pory roku 47
Wieczór na wsi 49

Str.
Pieśń świętojańska o Sobótce ... 49
Wigilia ... 51
Chłopek ... 52
Wiochna ... 52
Pieśń o ziemi naszéj ... 54
Jak to na Góralach ... 60
Jak to na Mazurach ... 61
Wesele ... 62
Puszcza litewska ... 63
Łowy na niedźwiedzia ... 65
Polowanie ... 67
Wojna ... 68
Dzień Najświętszéj Panny ... 70
Kozak na stepie ... 71
Miecznik i Marya ... 72
Natarcie na Tatarów ... 74
Mały światek ... 76
Zachwycenie ... 81
Widzenie nieba ... 84
Błogosławiona ... 85

2. Ballady i Baśni.

Powrót taty ... 90
Ballada, jakich wiele ... 92
Powitanie ... 94
Branka Litwina ... 95
Giermek ... 96
Kniaź Dymitr Wiśniowiecki ... 98
Napierski ... 99
Piotr Pszonka Jasieńczyk ... 100
Dziewczę polskie ... 104
Wesele ... 105
Lubor ... 107
Trzech Budrysów ... 109
Wesele Bieleckiego ... 110
Król dębów ... 112
Alpuharra ... 112
Śmierć zdrajcy ojczyzny ... 113

3. Śpiewy historyczne.

Czarniecki Stefan ... 115
Leszek Biały ... 115
Zawisza Czarny ... 116
Duma o Stefanie Potockim ... 119

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
UNIWERSYTETU A.M. w POZNANIU
1413864

Str.
Bolesław Krzywousty 120
Władysław Jagiełło 121
Kazimierz Jagiellończyk 123
Karól Chodkiewicz 125
Konstanty książę Ostrogski 127
Duma o Żółkiewskim 129

4. Legendy czyli Podania święte.

Legenda wstępna 131
Brzoza Gryżyńska 132
Buława Madeja 134
Chleb 137
Sierota 139
Baszyna 141
Piorun 143
Piast 144
Święty Izydor 146
Wyroki 147

C. Poezya dramatyczna.

Obchód urodzin. Zabawa na prędce 151
Mazur i Lublinianin czyli Wet za wet trzydzieści lat późniéj. Komedya w jednym akcie oryginalnie napisana 155

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA POZNAŃ

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
UNIWERSYTETU A. M. w POZNANIU
1413864